

Poul Anderson

Zaklęty miecz

The Broken Sword

Przełożyła Ewa Witecka

PRZEDMOWA

Pod koniec roku pańskiego 1018 Sighwat syn Thordara podróżował przez Gotlandię w misji zleconej mu przez norweskiego króla Olafa. Większość Gotlandczyków nadal oddawała cześć dawnym bogom. W pewnej samotnie stojącej zagrodzie gospodyni nie przyjęła na nocleg Sighwata i jego przyjaciół, gdyż szykowano tam Alfarblót, czyli biesiadę kulturową. W owych czasach mężczyzna, który otrzymał staranne wykształcenie, umiał ułożyć pieśń o każdej porze dnia i nocy, a Sighwat był skaldem. Powiedział więc:

*Trzymaj się z dala, byś nie rozgniewał
Odyna — rzekła niewiasta.
Jesteśmy poganami i obchodzimy
Święty wieczór, ty nikczemniku!
Gospodyni, która nie po chrześcijańsku
Wyrzuciła mnie z zagrody,
Zdradziła się, ze tego wieczoru
Zamierzają uczcić Elfów.*

Tak opowiada o tym *Heimskringla* Snorriego Sturlasona. Inne źródła podają, że gdy okręty wojenne Wikingów zbliżały się do domu, z ich dziobów zdejmowano smocze głowy, bo w przeciwnym razie Elfowie mogliby się obrazić. W ten sposób postrzegamy owe istoty takimi, jakimi były na początku, to znaczy bogami.

Oczywiście w czasach, kiedy mieszkańcy Północy zaczęli pisać księgi, Elfowie stali się zwykłymi bóstwami opiekuńczymi, takimi jak greckie driady czy *kami* z jakiejś japońskiej rzeki. *Starsza* i *Młodsza Edda*¹ umieściły wielu z nich w Asgardzie jako sługi Asów. Lecz mianem tym określano dwa różne ludy władające dwoma spośród Dziewięciu Światów. Alfheim należał do wysokich, pięknych, jasnych Elfów. I chociaż nie jesteśmy tego całkiem pewni, ale Swartalfheim, która — to nazwa oznacza ojczyznę ciemnych Elfów, zamieszkują Niziołkowie. Nasuwa się tu interesujące spostrzeżenie: ci ostatni są znacznie ważniejsi w opowieściach, które do nas dotarły.

Później w folklorze Elfowie jeszcze bardziej tracą na znaczeniu. Uczyniono z nich jedynie duszki, zmniejszając ich rozmiary i zapominając o pokrewieństwie z wciąż jeszcze potężnymi Niziołkami. Mimo to duch Alfheimu nawiedzał Wieki Średnie i Renesans w postaci Krainy Czarów, której mieszkańcy byli ludzkiego wzrostu — posiadali wszakże nieziemską urodę i magiczny kunszt.

W naszych czasach J.R.R. Tolkien w pewnym stopniu przywrócił Elfom dawną postać w zachwycającym cyklu powieściowym *Władca Pierścieni*. Ale zdecydował się uczynić ich nie tylko pięknymi i wykształconymi; są także mądrzy, poważni, honorowi, dobrzy, przyjaźnie nastawieni wobec wszystkiego co żywe. Krótko mówiąc, jego Elfowie bardziej należą do kraju Gloriany* niż do tamtej zagrody w pogańskiej Gotlandii. Nie trzeba dodawać, że nie ma w tym niczego niewłaściwego. Wręcz przeciwnie, było to niezbędne dla zamysłu profesora Tolkiena.

Jakieś dwadzieścia kilka lat temu pewien młody człowiek, który nazywał się tak samo jak ja, cofnął się jeszcze dalej w czasie — aż do dziewiątego wieku — i przekonał się, że zarówno

1* Zbiory islandzkich sag (wszystkie przypisy w tej książce są dziełem tłumacza).

* Królowa Elfów.

Elfowie, jak i bogowie mają zupełnie inne usposobienie. IX wiek nie należał do najłagodniejszych, przynajmniej w Europie. Szerzyły się wtedy okrucieństwo, zachłanność i rozpasanie. Zbrodnie dokonane przez Wikingów w Anglii i Francji nie były wcale mniejsze od tych, które Karol Wielki popełnił na Saksończykach, czy tych, których pierwsza krucjata miała się dopuścić w Jerozolimie. Wprawdzie cywilizacja dwudziestego wieku bez wątpienia wypadła z łask humanistów, ale bardzo daleko jej do absolutnego dna, które może mimo wszystko być normą w historii.

Ponieważ ludzie mają tendencję do kształtowania bogów i półbogów na swój obraz i podobieństwo, więc pisarz ów przedstawił Elfów i Asów jako istoty amoralne, które, gdy są rozgniewane, stają się całkiem bezlitosne. Pasowało to do tego, co możemy o nich wyczytać w obu *Eddach* i sagach.

Pisarz postanowił zabawić się i zracyjonalizował przyjęte założenia. Wydawało mu się zupełnie naturalne, że mieszkańcy Krainy Czarów będą technicznie bardziej zaawansowani od współczesnych im ludzi. Drodzy czytelnicy, przyjmijcie, jeżeli zechcecie to uczynić, że naprawdę istniały kiedyś rasy, które władały mocą czarodziejską — to znaczy kontrolowały zjawiska zewnętrzne za pomocą nie znanych dotąd naszej nauce zdolności psychicznych. Załóżcie, że istoty te mogły żyć nieskończenie długo, zmieniać postać itd. Taki obcy metabolizm miałyby jednak sobie tylko właściwe ułomności, jak niemożność wytrzymania blasku i aktywności promieni słonecznych, czy katastrofalne reakcje elektrochemiczne wywołane przez zetknięcie z żelazem. A czyż ci upośledzeni nieśmiertelni nie byli w stanie zrekompensować swych słabych stron poprzez odkrycie metali kolorowych i właściwości ich stopów? Czy elfowe statki nie mogły „mknąć na skrzydłach wiatru”, dlatego że ich kadłuby praktycznie nie wytwarzały tarcia? Wprawdzie ten rodzaj kamiennego zamku, o jakim dzisiaj zwykle myślimy, nie istniał w Europie za czasów króla Alfreda, ale ludy Krainy Czarów mogły budować je od dawna. W ten sposób wszystkie widoczne w tej powieści anachronizmy po prostu okazałyby się osiągnięciami ras starszych niż ludzka. Natomiast arystokratyczna kultura wojowników, konserwatywna z powodu długości życia, raczej nie miałaby większych osiągnięć naukowych. Dlatego nie powinniśmy szukać prochu strzelniczego ani maszyn parowych w ruinach Krainy Czarów.

Co do dalszych losów postaci pozostałych przy życiu pod koniec tej książki, miecza i samej Krainy Czarów — która najwidoczniej już nie istnieje na Ziemi — jest to całkiem inna historia i może kiedyś ją opowiem.

I

Żył sobie raz mąż imieniem Orm, zwany też Silnym, syn Ketila Asmundsona, który był wolnym kmięciem na północy Jutlandii. Ród Ketila mieszkał tam od niepamiętnych czasów i władał rozległymi włościami. Małżonką Ketila była Asgerd, nieprawa córka Ragnara Kosmate Portki. Orm zatem pochodził z dobrego rodu, lecz jako piąty syn nie mógł liczyć na dużą schedę.

Orm Silny został żeglarzem i latem często wypływał na wiking. Ketil umarł, gdy Orm był jeszcze młodzieńcem. Asmund, najstarszy z braci, przejął gospodarstwo po ojcu. Było tak aż do czasu, gdy skończywszy lat dwadzieścia Orm poszedł do brata i rzekł:

— Od kilku lat tkwisz tu w Himmerlandzie, użytkując to co nasze. Inni bracia również chcą mieć swoje udziały. Ale jeśli podzielimy ziemię, nie mówiąc już o wywianowaniu naszych sióstr, staniemy się biedakami i nikt nie będzie pamiętał o nas, gdy pomrzemy.

— To prawda — odparł Asmund. — Najwięcej zyskamy pracując razem.

— Nie będę piątym mężem u steru — rzekł na to Orm. — Mam dla ciebie inną propozycję. Daj mi trzy statki z wyposażeniem, zapasy żywności i broń, jakiej mogą potrzebować ci, którzy pójdą ze mną, a znajdę ziemię dla siebie i zrzeknę się wszelkich roszczeń do ojcowizny.

Asmund był bardzo z tego zadowolony, zwłaszcza że dwaj inni bracia oświadczyli, iż popłyną z Ormem. Do wiosny nabył trzy długie statki i wyposażył je; znalazł też w okolicy wielu młodych i niezamożnych mężów, którzy chętnie popłynęliby na zachód.

Kiedy nastał pierwszy pogodny dzień, choć morze było wzburzone, statki Orma odpłynęły z Limfiordu i Asmund nigdy już go nie zobaczył.

Wioślarze szybko pchali statek w stronę północy i wkrótce pozostawili za sobą wrzosowiska i gęste lasy Himmerlandu. Opłynawszy Skaw natrafili na przychylny wiatr i postawili żagle. Odwrócenie teraz rufami do ojczyzstego kraju, umieścili smocze łby na dziobach statków. Wiatr świszcział w takielunku, piana morska lizała pokład, a mewy kwiliły wokół rei. Radość napelniała serce Orma i ułożył taką strofę:

*Białogrzywe konie
(posłuchaj ich rżenia!)
siwe, chudobokie,
cwałują na zachód.
Pijane zimowymi wiatrami,
parskają i stają dęba
niosąc dla mnie ciężary.*

Wyruszywszy tak wcześnie Orm dotarł do Anglii na długo przed innymi Wikingami i zdobył tam bogate łupy. Pod koniec lata zatrzymał się w Irlandii. Syn Ketila nigdy już nie opuścił zachodnich wysp, każdego lata zajmując się braniem łupów, zimą zaś sprzedając część zdobytych w ten sposób bogactw, by zakupić więcej statków.

Lecz w końcu i on zapragnął mieć własny dom. Połączył swą małą flotę z wielką flotą Guthorma, zwanego przez Anglików Guthrumem. Walcząc pod rozkazami tego jarla, zarówno na lądzie, jak i na morzu, zyskał wiele, ale wiele też stracił, gdy król Alfred zwyciężył w bitwie pod Ethandun*. Sam Orm i część jego ludzi byli wśród tych, którym udało się przebić. Później dowiedział się, że Guthrumowi i innym wziętym do niewoli Duńczykom darowano życie w

* W roku 878 n.e.

zamian za przyjęcie chrztu. Orm przewidział, że teraz nastanie niepewny pokój pomiędzy jego ludem a poddanymi króla Alfreda, i że nie będzie mógł tak jak dotąd bezkarnie grabić Anglii.

Przeto więc udał się na tereny, które później nazwano „krajem Duńczyków”,* w poszukiwaniu nowego domu.

Znalazł ładną włość położoną nad niewielką zatoką, do której mogłyby zawijać jego statki. Właściciel majątku, zamożny i dość wpływowy Anglik, nie chciał go sprzedać. Orm powrócił więc nocą, otoczył swymi ludźmi dwór i go spalił. Uparty Anglik, jego bracia i większość sług zginęli w płomieniach. Mówiono, że matka zabitego, czarownica, uratowała się, gdyż napastnicy pozwolili odejść wszystkim niewiastom, dzieciom i niewolnikom pragnącym opuścić płonący dwór. Czarownica rzuciła klątwę na mordercę swych synów: najstarszy syn Wikinga miał zostać wychowany poza światem ludzi, sam Orm zaś — wykarmić wilka, który rozszarpie go pewnego dnia.

Ponieważ w okolicy mieszkało już wielu Duńczyków, krewni zabitego nie ośmielili się wystąpić przeciw zabójcy, lecz przyjęli od Orma główczyznę* i zapłatę za ziemię, czyniąc go w ten sposób prawowitym właścicielem majątku. Orm zbudował przestronny nowy dwór i inne budynki, a ponieważ posiadał dużo złota, liczną drużynę i wojenną sławę, wkrótce został uznany za wielkiego wodza.

Kiedy pomieszkał rok w nowej ojczyźnie, uznał, że dobrze będzie, jeśli się ożeni. Pojechał więc z wieloma wojownikami do angielskiego ealdormana* Athelstana i poprosił o rękę jego córki Elfrydy, o której powiadano, że jest najpiękniejszą panną w całym królestwie.

Athelstan pochrząkiwał i jękał się, ale Elfryda powiedziała Ormowi prosto w oczy:

— Nigdy nie wyszłabym za pogańskiego psa i nie uczynię tego. I chociaż mógłbyś wziąć mnie siłą, przysięgam, że sprawi ci to niewiele radości.

Elfryda była smukłą dziewczyną o miękkich kasztanowatych włosach i błyszczących szarych oczach, Orm zaś — wielkim, barczystym mężem o ogorzałej cerze i wypłowiałych od słońca i morskich wiatrów kędziorach. A jednak czuł, że jest ona w jakiś sposób silniejsza od niego, więc po namyśle rzekł:

— Skoro się osiedliłem w kraju, którego mieszkańcy czczą Białego Chrystusa, dobrze bym zrobił, gdybym zawarł pokój z Nim i z Jego ludem. Zaiste, postąpiła tak już większość Duńczyków. Ochrzczę się, jeżeli zgodzisz się mnie poślubić, Elfrydo.

— To nie jest powód! — zawołała.

— Pomyśl tylko — odparł chytrze Orm — jeżeli za mnie nie wyjdiesz, nie zostanę ochrzczony, a wówczas, jeśli mamy wierzyć kapłanom, moja dusza będzie potępiona. Odpowiesz przed swoim Bogiem za to, że dopuściłaś do jej zguby. — Szepnął też cicho do Athelstana: — Poza tym spalę twój dom i zrzucę cię ze skały do morza.

— Tak, tak, córko, nie możemy skazać ludzkiej duszy na potępienie — powiedział szybko ealdorman.

Elfryda nie opierała się długo, gdyż na swój sposób Orm był urodziwym mężem i miał dobre maniere. Oprócz tego rodowi Athelstana mógł się przydać tak wpływowy i bogaty sprzymierzeniec. W ten sposób Orm ochrzcił się, po czym poślubił Elfrydę i zabrał ją do domu. Żyli ze sobą dobrze, choć nie zawsze zgodnie.

W okolicy nie było żadnego kościoła, gdyż wszystkie zostały spalone przez Wikingów. Na życzenie małżonki Orm sprowadził do swego domu księdza, dla którego zamierzał wybudować

* „Kraina Duńczyków” (Danelaw) — wschodnie obszary Anglii zasiedlone przez Wikingów w IX i X wieku n.e.

* Główczyzna — suma, którą płacono jako rekompensatę panu lub krewnym zabitego.

* Ealdorman — rządcą dystryktu w Anglii przed podbojem normańskim.

kościół jako pokutę za dawne grzechy. Jako człowiek przezorny nie chciał urazić żadnej z Boskich Mocy, więc dla zapewnienia sobie spokoju i dobrych zbiorów, w środku zimy składał ofiary Thorowi, na wiosnę zaś — Freyrowi, podobnie jak Odynowi i Egirowi*, by dalej szczęście mu się na morzu.

Przez całą zimę spierał się o to z księdzem, wreszcie na wiosnę, niedługo przed narodzinami dziecka Elfrydy, stracił cierpliwość, wyrzucił duchownego za drzwi i kazał iść precz. Elfryda robiła małżonkowi nieustanne wyrzuty z tego powodu, aż w końcu znieczepliwiony Orm zawołał, iż nie zniesie dłużej babskiej gadaniny i będzie musiał uciec jak najdalej. Tak więc wypłynął wcześniej, niż planował, i przez całe lato pustoszył wybrzeża Szkocji i Irlandii.

Ledwie statek Orma zniknął Elfrydzie z oczu, chwyciły ją bóle i powiła dziecko. Był to duży, ładny chłopiec, którego zgodnie z życzeniem Orma nazwała Walgardem, pradawnym imieniem w jego rodzie. Nie było teraz we dworze księdza, który mógłby ochrzcić dziecko, a najbliższy kościół znajdował się o dobre dwa lub trzy dni drogi. Elfryda niezwłocznie posłała tam niewolnika.

Cieszyła się bardzo z narodzin syna, była z niego dumna i śpiewała mu tę samą kołysankę, którą niegdyś słyszała z ust matki:

*Śpij moja ptaszyno,
Z wszystkich najpiękniejsza,
Słońko wnet zachodzi,
Iść spać już się godzi.*

*Spij moje kochanie
Na matczynej piersi,
Jasna gwiazdka wschodzi,
Iść spać już się godzi.*

*Spij moje maleństwo,
Sam Bóg na niebiesiech
Od zła cię odgrodzi.
Iść spać już się godzi.*

* Odyn — najwyższy bóg w mitologii skandynawskiej, Egir — władca mórz, Thor — bóg piorunów, pogody i zbiorów, Freyer — bóg płodności, pokoju i pomyślności.

II

Imryk, jarl Elfów, wyruszył nocą w drogę, żeby zobaczyć, co nowego wydarzyło się w krainie ludzi. Był chłodny, wiosenny zmierzch, księżyc zbliżał się do pełni, szron lśnił na trawie, a gwiazdy świeciły jasno i ostro jak w zimie. Noc była bardzo cicha, tylko wiatr szeleścił w gałęziach drzew, a cały świat zalewało morze ruchomych cieni i zimnej, białej poświaty. Kopyta Im — rykowego konia podkute były stopem srebra; uderzając o ziemię dzwoniły przenikliwie.

Elf wjechał do lasu. Drzewa spowijał gęsty mrok, lecz w oddali majaczyła czerwona poświata. Kiedy się zbliżył, spostrzegł, że był to blask ognia przeświecającego przez ściany chaty, plecione z gałęzi i oblepione gliną. Chata stała pod wielkim rosochatym dębem, z którego druidzi* ścinali niegdyś jemiołę. Jarl Elfów wyczuł, że mieszka tam czarownica, zsiadł więc z konia i zapukał do drzwi.

Otworzyła mu niewiasta równie stara i zgarbiona jak odwieczny dąb. Zobaczyła Elfa stojącego pod drzwiami; promienie księżyca załamywały się na hełmie, kolczudze i siwym niby mgłą koniu, który z tyłu szczypał oszronioną trawę.

— Dobry wieczór, matko — odezwał się Imryk.

— Niechaj żaden z Elfów nie nazywa mnie matką, mnie, która urodziłam małżonkowi rosłych jak topole synów — mruknęła czarownica. Ale wpuściła Elfa do środka i pośpieszyła podać mu róg piwa. Zapewne mieszkający w pobliżu wieśniacy zaopatrywali ją w żywność i piwo w zamian za czary, którymi im służyła. We wnętrzu chałupy Imryk musiał się zgarbić i uprzętać stos kości i innych śmieci, zanim mógł usiąść na jedynej ławie.

Spojrzał na czarownicę dziwnymi, skośnymi oczami Elfów, o barwie przesłoniętego mgłą nieba, bez widocznych białek czy źrenic. W oczach Imryka błędziły małe księżycowe plamki i cienie pradawnej wiedzy, gdyż żył już długo na świecie. Lecz miał wiecznie młody wygląd: szerokie czoło, wystające kości policzkowe i delikatnie rzeźbiony nos. Srebrzysto — złote kędziory, cieńsze niż pajęczne nici, spływały spod rogatego hełmu na okryte czerwonym płaszczem szerokie ramiona Elfa.

— Za życia kilku ostatnich pokoleń Elfowie niezbyt często zaglądali do ludzi — powiedziała czarownica.

— Tak, za bardzo zajęci byliśmy wojną z Trollami — odparł Imryk, a jego głos brzmiał jak westchnienie wiatru w konarach dalekich drzew. — Ale teraz zawarliśmy rozejm i bardzo jestem ciekaw, co się wydarzyło w ciągu ostatnich stu lat.

— Wiele, lecz mało dobrego — mruknęła wiedźma. — Zza mórz przybyli Duńczycy. Zabijają, palą i grabią. Zagarnęli dla siebie większą część wschodniej Anglii i nie wiem, co jeszcze.

— To nie jest złe. — Musnął wąsa Imryk. — Kiedyś czynili to samo Anglowie i Sasi, przedtem zaś Piktowie i Szkoci, przed nimi Rzymianie, wcześniej od nich Brytowie i Gaelowie, a jeszcze dawniej... lecz opowieść jest bardzo długa i nie skończy się na Duńczykach. I ja, który przyglądałem się temu niemal od chwili stworzenia tej ziemi, nie widzę tu nic złego, gdyż mogę interesująco spędzać czas. Chciałbym zobaczyć tych przybyszów.

— Wobec tego nie musisz daleko jechać — odparła czarownica — gdyż Orm, zwany Silnym, mieszka nad brzegiem morza, w odległości jednej nocy jazdy na śmiertelnym koniu lub nawet mniej.

— To krótka podróż dla mego ogiera. Pojadę tam.

* Starożytni kapłani celtyccy. Sprawowali też funkcje sędziów, lekarzy i magów.

— Zaczekaj... zaczekaj, Elfie! — Przez chwilę czarownica siedziała mamrocząc coś pod nosem, a słaby blask niewielkiego ogniska odbijał się w jej oczach, tak że wydawało się, iż to dwa czerwone ogniki poruszają się wśród dymu i cieni. Potem nagle zachichotała radośnie i wrzasnęła: — Tak, tak; jedź, Elfie, do dworu Orma na brzeg morza. Orm jest daleko, lecz jego małżonka chętnie cię ugości. Niedawno wydała na świat syna, który jeszcze nie został ochrzczony.

Na te słowa Imryk nastawił długie, spiczaste uszy.

— Czy mówisz prawdę, czarownico? — zapytał cichym, bezbarwnym głosem.

— Tak, przysięgam na Szatana. Mam swoje sposoby, by zawsze wiedzieć, co się dzieje w tym przeklętym dworze. — Odziana w łachmany starucha, przykucnąwszy przy żarzących się słabo węglach, kołysała się tam i z powrotem. Wielkie, niekształtne cienie ściagały się po ścianach chaty. — Ale pojedź i sam się przekonaj.

— Nie odważyłbym się zabrać dziecka duńskiego wodza. Ono może być pod opieką Asów*.

— Nie. Orm jest chrześcijaninem, chociaż niezbyt gorliwym, a jego syn dotychczas nie został poświęcony żadnemu z bogów.

— Złe kończą ci, którzy próbują mnie okłamać.

— Nie mam nic do stracenia — odparła czarownica. — Orm spalił żywcem moich synów w ich własnym domu i mój ród zginie wraz ze mną. Nie boję się bogów ani diabłów, Elfów czy Trollów. Mówię szczerą prawdę.

— Pojadę zobaczyć — rzekł Imryk i wstał. Pierścienie jego kolczugi srebrzyście zadźwięczały. Okręcił się swym szerokim, czerwonym płaszczem i wskoczył na białego ogiera.

Mknął przez pola i lasy niczym powiew wiatru, jak smuga księżycowego światła. Kraina ludzi ciągnęła się daleko i szeroko: zacienione drzewa, wyniosłe wzgórza, białe od szronu łąki drzemiące w poświacie księżyca. Tu i tam ludzkie domostwo mającyło ciemną plamą pod rozgwieżdżonym niebem. Jakieś istoty krążyły w ciemnościach, lecz nie byli to ludzie — Imryk usłyszał wycie wilka, odgłos drobnych kroczków pomiędzy korzeniami dębu, dostrzegł błysk zielonych oczu żbika. Zwierzęta wiedziały, że w pobliżu przejeżdża jarl Elfów, i głębiej kryły się w mroku.

Niebawem Elf dotarł do dworu Orma. Stodoły, szopy i domostwa służby, zbudowane z grubo ociosanych bali, z trzech stron otaczały brukowany dziedziniec. Z czwartej dwór wznosił ku niebu rzeźbione w smoki szczyty dachu, które odcinały się na tle gwiazdnych chmur. Imryk odszukał małą niewieścią komnatę z drugiej strony domostwa. Psy zwęszyły Elfa, zjeżyły się i warknęły. Lecz nim zdążyły zaszczezać, Imryk zwrócił na nie okrutne spojrzenie niby — ślepych oczu i nakreślił ręką w powietrzu jakiś znak. Psy odpełzły skowycząc cicho.

Elf jak błędny nocny wiatr podjechał prędko do niewieściej komnatki. Czarodziejskim sposobem otworzył od wewnątrz okiennice i zajrzał do środka. Snop księżycowych promieni padł na łożo, srebrną kreską rysując sylwetkę Elfrydy w obłoku rozpuszczonych włosów. Lecz Imryka interesowało tylko nowo narodzone dziecko przytulone do matki.

Jarl Elfów roześmiał się, choć jego twarz pozostała nieruchoma jak maska. Zamknął okiennice i zawrócił na północ. Elfryda drgnęła, obudziła się i przytuliła do siebie śpiące obok dziecko. Jej oczy przesłaniała mgła niespokojnych snów.

* Asowie — główny lud skandynawskich bogów. Drugim byli Wanowie.

III

W tamtych czasach różne ludy z Krainy Czarów nadal przebywały na powierzchni ziemi, lecz nawet wówczas coś niesamowitego unosiło się nad ich posiadłościami, jak gdyby zawieszono je w połowie drogi pomiędzy światem śmiertelnym a nadprzyrodzonym. Miejsce, które w określonym czasie mogło wyglądać jak zwykle samotne wzgórze lub las, o innej porze jaśniało niezwykłym przepychem. Dlatego ludzie unikali gór północnych, znanych jako elfowe wzgórza.

Imryk jechał w stronę Elfheugh, który postrzegał nie jako skalny pagórek, lecz jako wysoki zamek o smukłych wieżach, bramach z brązu i wykładanych marmurem dziedzińcach. Ściany korytarzy i komnat zawieszono najpiękniejszymi czarodziejskimi gobelinami o zmiennych wzorach i ozdobiono wielkimi błyszczącymi klejnotami. W księżycowej poświacie mieszkańcy Elfheugh tańczyli poza murami zamku. Imryk minął ich kierując się ku głównej bramie. Kopyta jego konia wzbudziły echa i niziolkowi niewolnicy pośpieszyli, żeby mu usłużyć. Zeskoczył na ziemię i skierował się do zamku.

A tam blask niezliczonych świec załamywał się w złożonych i wysadzanych drogimi kamieniami mozaikach, tworząc zmienną, oślepiającą grę barw. Z wnętrza komnat dobiegały dźwięki muzyki: plusk harf, lament kobz i szemrzące niczym górskie potoki tony fletów. Postacie na gobelinach i kobiercach poruszały się powoli jak żywe. Same podłogi, ściany i żebrowane, przesłonięte niebieskawą mgiełką wysokie sufity przypominały żywe srebro: nigdy nie były takie same, a przecież nikt nie umiałby powiedzieć, w jaki sposób się zmieniły.

Imryk schodził do lochów; ciszę przerywał tylko brzęk jego kolczugi. Nagle otoczyły go ciemności, z rzadka tylko rozjaśnione blaskiem pochodni, a powietrze podziemi zmroziło mu płuca. Co jakiś czas słychać było szcęk metalu lub żalospny jęk, odbijający się echem w wilgotnych korytarzach nierówno wykutych z kamienia. Lecz jarl nie zwracał na to uwagi. Jak wszyscy Elfowie poruszał się szybko, cicho i zwinnie, niczym kot schodząc w głąb lochów.

W końcu zatrzymał się przed dębowymi drzwiami, wzmocnionymi sztabami z brązu. Były zielone od pleśni i pociemniałe ze starości; tylko Imryk posiadał klucze do trzech wielkich zamków. Otworzył je, mamrocząc pewne słowa, i szarpnął drzwi. Zaskrzypiały przeraźliwie, gdyż minęło trzysta lat od czasu, gdy otwierał je po raz ostatni.

W celi za dębowymi drzwiami siedziała niewiasta z ludu Trollów, przykuta za szyję do ściany łańcuchem z brązu na tyle ciężkim, że mógłby zakotwiczyć statek. Blade światło z zatkniętej za drzwiami pochodni padało na jej olbrzymie ciało, nagie i muskularne. Była zupełnie łysa, a jej zielona skóra poruszała się na kościach. Gdy zwróciła swą ohydłą głowę ku Imrykowi, wykrzywione w wilczym grymasie wargi odsłoniły ostre zęby. Lecz oczy miała puste jak dwie czarne studnie, w których można było zatopić duszę. Imryk więził ją od dziewięciuset lat i była obłąkana.

Jarl Elfów spojrzał na swą branę, ale unikał jej wzroku. Powiedział cicho: — Musimy znów spłodzić odmienca, Góro.

Głos Trollicy był jak odgłos gromu docierającego z wnętrza ziemi: — Oho, oho — rzekła — znów mnie odwiedził. Witaj, kimkolwiek jesteś, przybyszu z nocy i chaosu. Ha, czyż nikt nie zetrze szyderczego uśmiechu z twarzy wszechświata?

— Śpiesz się — ponaglił ją Imryk. — Muszę dokonać zamiany przed świtem.

— Śpiesz się, śpiesz się, jesienne liście śpieszą się na wietrze, śnieg śpieszy się z nieba na ziemię, życie śpieszy się do śmieci, bogowie śpieszą się do zapomnienia. — Głos obłąkanej grzmiał w podziemnych korytarzach. — Wszystko jest popiołem i prochem unoszonym przez

bezmyślny wiatr i tylko mamrotanie szaleńców powtarza muzykę gwiazdnych sfer. Ha, oto czerwony kogut na kupie gnoju!

Imryk zdjął ze ściany bicz i smagnął ją. Trollica zatrzęsa się i położyła na ziemi. Szybko, ponieważ nie lubił dotyku jej zimnej, wilgotnej skóry, Imryk zrobił, co było trzeba. Później okrążył ją dziewięciokrotnie, idąc przeciw słońcu, podczas gdy Góra kulila się, nucąc pieśń, której nie mogłoby wyśpiewać żadne ludzkie gardło. Elf śpiewał, a Trollica drżała, puchła i jęczała z bólu. Kiedy okrążył ją po raz dziewiąty, Góra zakrzyczała tak, że aż rozboleły go uszy, i urodziła chłopca.

Żadne ludzkie oko nie odróżniłoby go od Ormowego syna, poza tym że potomek Trollicy i Elfa zawył z wściekłości i ugryzł swoją matkę. Imryk przewiązał pępownię i wziął odmieńca na ręce, czym go uspokoił.

— Świat jest mięsem rozkładającym się na martwej czaszce — mamrotała Góra. Zadzwoń łańcuchem, wzdrygnęła się i położyła na ziemi. — Narodziny są tylko rozplodem robaków. Już teraz wargi nie osłaniają trupich zębów, a wrony wydziobują oczy. Wkrótce wiatr rozrzuci wszystkie kości. — Zawyla, gdy Imryk zamknął za sobą drzwi. — Czeka na mnie, czeka na wzgórzu, gdzie szalały ciosy mgły, czeka już dziewięćset lat. Czarny kogut kracze...

Imryk ponownie zamknął drzwi celi na klucz i spiesznie wbiegł na schody. Płodzenie odmieńców nie sprawiało mu radości, lecz szansa zdobycia ludzkiego dziecka była zbyt cenna, by ją stracić.

Kiedy wyszedł na dziedziniec zamku, zobaczył, że pogoda się popsowała. Czarne chmury mknęły po niebie, księżyc uciekał przed nadciągającym mrokiem. Na horyzoncie szalała burza, zapisując runami* błyskawic obszar między niebem a ziemią. Wiatr świszczął i wył.

Imryk wskoczył na siodło i skierował konia na południe. Śmigali wśród turni i wzgórz, mknęli dolinami i między drzewami targanymi wichurą. Księżyc rzucał na świat nierówne białe refleksy; jarl Elfów wyglądał jak jedna z takich zjaw.

Pędził, a jego płaszcz trzepotał niczym skrzydła nietoperza. Światło księżycy odbijało się na kolczudze i w oczach. Kiedy jechał niżej położonym, bardziej płaskim wybrzeżem krainy Duńczyków, wielkie fale rozbijały się u jego stóp, obryzgując mu pianą policzki. Raz po raz zygzaki błyskawic rozświetlały wzburzoną wodną pustynię. W nadciągającym mroku huk gromu rozbrzmiewał znacznie głośniejszy, niż turkot wielkich kół na niebie. Imryk ponaglił swego konia do jeszcze szybszej jazdy. Nie chciał spotkać Thora tej nocy.

We dworze Orma ponownie otworzył okno Elfrydy. Nie spała, tuląc do piersi dziecko i pocieszając je szeptem. Podmuch zasłonił jej twarz włosami, oslepiając na chwilę. Będzie przypuszczała, że to wiatr w jakiś sposób rozwarł okiennice.

Błyskawica rozwidniła niebo. Uderzył piorun. Elfryda poczuła, że dziecko wysunęło się jej z rąk. Pochwyciła je szybko i znów miała w rękach kochane brzemie, jakby ktoś je tam położył. — Dzięki Bogu — jęknęła. — Upuściłam cię, ale zdołałam złapać.

Śmiejąc się głośno Imryk jechał w stronę domu. Nagle zawtórowało mu dziwne echo; zebrał wodze czując, że robi mu się zimno koło serca. Poprzez wyrwę w chmurach snop księżycowych promieni padł na postać, która przecięła Imrykowi drogę. Z grzbietu mknącego dziko rumaka dostrzegł przelotnie ośmionogiego konia, który pędził szybciej niż wiatr, i jeźdźca o długiej siwej brodzie, w kapeluszu zasłaniającym mu twarz. Promień księżycy zalśnił na grocie włóczni i w jedynym oku strasznego męża.

Hej, ho–hej! przemknął obok Elfa z drużyną martwych wojowników i sforą wyjących psów. Wezwał ich jego róg; kopyta nieziemskich rumaków dudniły jak grad na dachu. Potem jeźdźcy

* Runy — tu: litery, znaki o magicznym charakterze.

zniknęli i nad światem rozszalała się ulewa.

Imryk zacisnął usta. Spotkanie z Dzikimi Myśliwymi nie wróżyło niczego dobrego temu, kto ich zobaczył, a nie przypuszczał, że Jednooki Łowca tylko przypadkiem znalazł się obok niego. Ale teraz musi jechać do domu. Dookoła były błyskawice i Thor mógłby rzucić młotem w kogoś w okolicy. Imryk owinął Ormowego syna płaszczem i spiął konia ostrogami.

Elfryda znów widziała; przytuliła do siebie rozkrzyczanego chłopca. Powinna go nakarmić, chociażby po to, żeby się uspokoił. Zaczął ssać jej pierś, lecz przy tym ugryzł, aż zaboląło.

IV

Imryk nazwał ukradzione dziecko Skaflokiem i dał je na wychowanie swojej siostrze Leei. Była równie piękna, jak jej brat, miała delikatnie rzeźbione rysy twarzy, srebrzystozłote pukle spływały spod ozdobionego klejnotami diademu, a w ciemno-błękitnych oczach migotały księżycowe plamki. Jej smukłą postać opływały szaty z pajęczego jedwabiu i gdy tańczyła w księżycowej poświacie, patrzącym wydawało się, iż to płąsa biały płomień. Uśmiechała się do Skafloka bladoróżowymi, pełnymi wargami, a mleko, które czarodziejskim sposobem przepełniało jej piersi, było jak słodki ogień w jego ustach i żyłach.

Na uroczystość nadania imienia przybyło wielu dostojników Alfheimu. Przywieźli wspaniałe dary: puchary i pierścienie pięknej roboty, wykute przez Niziołków miecze, kolczugi, hełmy i tarcze, szaty z brokatu, atlasu i złotogłowia oraz amulety i talizmany. Ponieważ Elfgwie, podobnie jak bogowie, olbrzymy, Trollowie i inne pokrewne im istoty, nie znali starości, mieli więc niewiele dzieci, które przychodziły na świat co kilka stuleci. Każde takie narodziny były wielkim wydarzeniem. Za znacznie donioślejsze uważali jednak przyjęcie na wychowanie człowieka.

W czasie uczty nagle rozległ się przerażający tętent końskich kopyt, aż zadrżały ściany zamku i zadzwoniły wrota z brązu. Strażnicy zadęli w trąby, lecz nikt nie śmiał zastąpić drogi jeźdźcowi i sam Imryk powitał go niskim ukłonem przy głównej bramie.

Był to wysoki, urodziwy mąż w kolczudze i w hełmie, które świeciły słabiej niż jego oczy. Ziemia zadrżała pod kopytami jego rumaka.

— Witaj, Skirnirze — rzekł Imryk. — Zaszczycasz nas swoimi odwiedzinami.

Wysłannik Asów jechał przez zalany księżycowym blaskiem dziedziniec. U boku miał podskakujący niespokojnie miecz Freyra, który jaśniał jak samo słońce. Otrzymał go za wyprawę do Jotunheimu po Gerdę*. W rękach dzierżył inny miecz, długi i szeroki, wolny od rdzy, choć nadal pokryty ziemią, w której przeleżał wiele lat, i złamany na dwoje.

— Przywożę imienninowy podarunek dla twego przybranego syna, Imryku — rzekł. — Strzeż dobrze tego brzeszczotu, a gdy chłopiec będzie na tyle duży, by móc nim władać, powiedz mu, że olbrzym Bolwerk może uczynić miecz znów całym. Nadejdzie bowiem dzień, kiedy Skaflok rozpaczliwie zapagnie dobrej broni i właśnie wtedy dar Asów będzie mu potrzebny.

Skivnir cisnął złamany miecz na ziemię, zatoczył koniem i zniknął w mroku wśród donośnego tętentu kopyt. Elfowie stali w milczeniu, gdyż wiedzieli, że darując miecz Asowie mają jakiś ukryty cel, ale musieli ich posłuchać.

Żaden z Elfów nie mógł dotknąć żelaza, więc jarl wezwał niziołkowych niewolników i polecił im podnieść miecz. Pod jego wodzą zanieśli złamany brzeszczot do najgłębszych lochów Elfheugh i zamurowali go w niszy w pobliżu celi Góry. Imryk umieścił na ścianie znaki runiczne, po czym odszedł i przez długi czas unikał tego miejsca.

Minęło kilka lat, lecz Elfowie nie otrzymali od bogów żadnych wieści.

* * *

Skaflok rósł w oczach. Był pięknym chłopcem, wysokim i wesołym, o błękitnych oczach i płowych włosach. Bardziej hałaśliwy i niesforny niż nieliczne potomstwo Elfów, dorastał tak

* Jotunheim — ojczyzna olbrzymów w mitologii skandynawskiej. Gerda córka Gymira — olbrzymka, która została żoną Freyra.

szybko, że wkrótce stał się dojrzałym mężem, podczas gdy jego towarzysze zabaw wcale się nie zmienili. Elfowie nie mieli zwyczaju dawać swym dzieciom dowodów przywiązania, ale Leea często okazywała je Skaflokowi, usypiając go pieśniami, które były jak morze, wiatr i szelest liści. Nauczyła go dwornych manier elfowych wielmożów i korybanckich kroków, jakich używali pod gołym niebem, tańcząc boso po rosie, upojeni księżycową poświatą. Część magicznej wiedzy uzyskał właśnie od niej — pieśni, które mogły oślepić, olśnić i zwabić, pieśni, które przesuwwały skały i drzewa oraz bezgłośnie pieśni, przy których wtórze zorze polarne płasły w zimowe noce.

Skaflok miał szczęśliwe dzieciństwo. Upłynęło mu ono na zabawach z młodymi Elfami i ich towarzyszami. Wielu z nich było duchami nawiedzającymi okoliczne wzgórza i doliny. Żył w królestwie czarów i śmiertelni ludzie i zwierzęta, którzy tam zabłądzili, czasem nie powracali. Nie wszyscy mieszkańcy tej krainy byli niegroźni czy przyjaźnie nastawieni, dlatego Imryk polecił jednemu ze swych gwardzistów, aby towarzyszył chłopcu w wędrówkach po okolicy.

Duchy wód wirowały we mgłę wokół wodospadów; ich głosy odbijały się echem od urwistych skał. Skaflok widział je niewyraźnie: pełne wdzięku ciała w otoczce z tęczy. W jasne noce, zwabione blaskiem księżyca jak inne ludy Krainy Czarów, wychodziły z wody, siadały na porośniętych mchem brzegach, zupełnie nagie, z wyjątkiem wodorostów wplecionych we włosy i girland z lilii wodnych. Wówczas dzieci Elfów mogły z nimi rozmawiać. Duchy wód potrafiły opowiadać bez końca o wartkich rzekach i żyjących w nich rybach, żabach, wydrach, zimorodkach, o zalanych słońcem kamienistych dnach potoków, o tajemniczych jeziorach, gdzie woda była spokojna i zielona i o tym, jak one same pędziły przez wodospady wśród huków, bryzgów i tęczowych mgieł, by jak błyskawica spaść w dół i swawolić w odmętach.

W okolicy Elfheugh były również inne zbiorniki wodne, trzęsawiska i ciche, ciemne górskie stawy, przed którymi ostrzegano Skafloka, gdyż ich mieszkańcy nie lubili intruzów.

Wychowanek Imryka często bywał w lesie, żeby porozmawiać z jego maleńkimi mieszkańcami, skromnymi Gnomami z brodami po pas, odzianymi w szarobrazowe szaty i długie spiczaste czapki. Gnomowie mieszkali między korzeniami największych drzew i radzi byli odwiedzinom elfowych dzieci. Lękali się jednak dorosłych Elfów i uważali, że to dobrze, iż żaden z nich nie mógł się wcisnąć do ich domów — chyba że skurczyłyby się do rozmiarów Gnoma, czego, słusznie, nie oczekiwali od wyniosłych arystokratów.

W okolicy Elfheugh żyło też kilku Goblinów. Kiedyś mieli wielkie wpływy w Krainie Czarów, lecz Imryk napadł na nich z ogniem i mieczem i ci, którzy nie zostali zabici lub wygnani, utracili dawną moc. Teraz ukrywali się w jaskiniach, ale Skaflokowi udało się zaprzyjaźnić z jednym z nich i dzięki temu poznał kilka sekretów ciekawej goblinowej wiedzy.

Kiedyś chłopiec usłyszał z oddali niesamowite dźwięki fujarki, które bardzo go poruszyły. Niezwłocznie pobiegł do doliny, z której dochodziły. Nauczył się tak cicho stapać, że stanął przed grajkiem, zanim ten go zauważył. Była to dziwna istota podobna do człowieka, ale z kozimi nogami, uszami i rogami. Grała na trzcinowej fujarce melodię równie smutną jak jej oczy.

— Kim jesteś? — zapytał zdumiony Skaflok.

Grajek opuścił fujarkę i sprężył się do ucieczki, po chwili jednak uspokoił się i usiadł na pniu. Miał dziwny akcent: — Jestem Faunem — odrzekł.

— Nigdy nie słyszałem o kimś takim. — Skaflok usadowił się na trawie, skrzyżowawszy nogi.

W szarym świetle zmierzchu Faun uśmiechnął się smutno. Pierwsza gwiazda zamrugła nad jego głową.

— W tych stronach poza mną nie ma żadnego Fauna. Jestem wygnańcem.

— A skąd przybyłeś, Faunie?

— Przybyłem z południa, wkrótce po tym, jak umarł wielki Pan*, a Helladą zawładnął nowy bóg, którego imienia nie mogę wymówić. Dla dawnych bogów i duchów nie było już miejsca w naszej ojczyźnie. Kapłani nowego boga wycięli święte gaje i zbudowali kościoły... Och, pamiętam, jak krzyczały Driady*, choć tamci ich nie słyszeli, a krzyki te drżały w gorącym powietrzu, jakby miały trwać tam wiecznie. Zawsze będą dźwięczeć mi w uszach. — Faun potrząsnął kędzierzawą głową. — Uciekłem na północ, ale zastanawiam się, czy ci moi pobratymcy, którzy zostali, walczyli i zostali uśmierceni za pomocą egzorcyzmów, nie okazali się mądrzejsi ode mnie. Było to bardzo dawno temu, młody Elfie, i nie wiem, czy bardziej dokuczył mi upływający czas, czy samotność. — Łzy zabłyśły mu w oczach. — Nimfy, Faunowie i sami bogowie zamienili się w proch. Ich świątynie stoją puste, bielą się pod rozpalonym niebem i powoli popadają w ruinę. A ja — ja błąkam się po obcej ziemi. Gardzą mną tutejsi bogowie, unikają jej mieszkańcy. Jest to kraj mgły, deszczu i surowych zim, kraj gniewnych szarych mór i bladych promieni słonecznych z trudem przedzierających się przez chmury. Nie ma tu szafirowej wody, łagodnych wzgórz, skalistych wysepek i kochanych ciepłych lasów, w których czekały na nas Nimfy. Nie znajdę tu winorośli ani obsypanych owocami drzew figowych, majestatyczni bogowie już nie mieszkają na wyniosłym Olimpie...

Faun przestał zawodzić, zeszywniał, nastawił uszu, po czym wstał i skoczył w krzaki. Skaflok rozejrzał się wokół i zobaczył elfowego gwardzistę zbliżającego się, by zabrać go do domu.

Lecz najczęściej chłopiec przebwał w lesie sam. Mógł wytrzymać światło dzienne, którego musieli unikać rdzenni mieszkańcy Krainy Czarów, a Imryk nie sądził, żeby jego wychowankowi zagrażało jakiegokolwiek niebezpieczeństwo ze strony śmiertelnych zwierząt. Tak więc Skaflok zapuszczał się o wiele dalej od innych dzieci z Elfheugh i poznał tę krainę znacznie lepiej niż człowiek, który spędziłby tam całe życie.

Z dzikich zwierząt lisy i wydry odnosiły się najprzyjaźniej do Elfów; sądzono nawet, że łączy ich jakieś pokrewieństwo i jeżeli miały jakiś język, Elfowie znali go dobrze. Dzięki lisom Skaflok poznał sekrety lasów i łąk, ścieżki wijące się przez upstrzone słonecznymi plamami cienie i milion drobnych znaków opowiadających całą historię temu, kto umiał posługiwać się zmysłami, które dała mu natura. Dzięki wydom przed wychowankiem Imryka otworzył się świat otaczający jeziora i strumienie; chłopiec nauczył się pływać tak jak jego zwinne nauczycielki i przemykać się przez leśne poszycie, które z trudem ukryłoby połowę jego ciała.

Równie dobrze poznał też i inne zwierzęta. Najbardziej płochliwy z ptaków siadał mu na palcu, gdy Skaflok zagwizdał w jego własnym języku, a niedźwiedź mruczał na powitanie, kiedy chłopiec wchodził do gawry. Odkąd zaczął polować, jelenie, łosie, zające i kuropatwy unikały go, lecz udało mu się zawrzeć pokój z niektórymi z nich. Opowieść o przygodach Skafloka wśród zwierząt byłaby bardzo długa.

* * *

Tak płynęły lata, niosąc go w przyszłość. Wymykał się z zamku na wiosnę, gdy nieśmiało zieleniła się pierwsza trawa, kiedy przebudzone z zimowego snu lasy rozbrzmiewały śpiewem ptaków, rzeki walczyły z topniejącym lodem, a nieliczne białe kwiatki błyszczały na mchu jak zapomniane płatki śniegu. Latem biegał nago, ogorzały, z wypłowiałymi na słońcu włosami, goniąc po wzgórzach umykające ku niebu motyle, staczając się w dół po trawie dla samej radości życia; w jasne noce, będące sennym wspomnieniem dnia, wśród grania świerszczy wędrował pod

* Grecki bóg pasterzy i myśliwych.

* Boginka leśna.

rozwieżdzonym niebem po rosie lśniącej w księżycowej poświacie. Obmywały go rzęsiste jesienne deszcze, a w pogodne dni wił sobie wieniec z płomiennych liści i stał nieruchomo w ostrym powietrzu, wsłuchując się w okrzyki odlatujących ptasich stad. Zimą przemykał się wśród płatków śniegu lub krył się pod zwałonymi przez wiatr drzewami, gdy wokoło szalała zamieć, a las jęczał na wietrze. Czasami stał na zaśnieżonych polach zalanych księżycowym blaskiem i słuchał, jak lód pęka z zimna na jeziorze, budząc dalekie echa wśród wzgórz.

V

Kiedy Skaflok zaczął szybciej rosnać, Imryk zaczął się nim zajmować, na początku niewiele, ale z czasem coraz więcej, aż wychował go na wojownika Alfheimu. Ponieważ ludzie żyli krótko, uczyli się znacznie szybciej od mieszkańców Krainy Czarów i zasób wiedzy Skafloka rósł nawet prędzej niż jego ciało.

Chłopiec nauczył się jeździć na rumakach z Alfheimu: pełnych dziwnego uroku czarnych i białych ogierach, i klaczach, szybkich i niezmordowanych jak wiatr. Co noc cwałował od Caithness do Lands Endu*, aż mu w uszach świszczało. Nauczył się też władać mieczem, włócznią, łukiem i toporem bojowym. Choć mniej zręczny i bardziej powolny niż Elfowie, z czasem stał się od nich silniejszy i mógł nosić ekwipunek bojowy tyle dni, ile to było konieczne; miał też tak wiele gracji w ruchach, że każdy inny śmiertelnik wydawałby się przy nim niezgrabny jak niedźwiedź.

Skaflok polował po okolicy, sam lub w towarzystwie Imryka i jego świty. Jego strzały przeszyły niejednego jelenia o wspaniałym porożu, a włócznia wypiła krew wielu odyńców. Ścigał też zawzięcie przez lasy i turnie inną, bardziej niebezpieczną zwierzyńkę, jednorożce i gryfy, które Imryk sprowadził z końca świata dla przyjemności.

Syn Orma nauczył się dwornych manier Elfów, ich dumnej postawy, nie kończących się intryg i kwiecistej wymowy. Mógł nagi tańczyć nocą przy dźwiękach harfy i fujarek, upojony księżycową poświatą jak najdzikszy z Elfów. Umiał grać i śpiewać ich dziwne, rytmiczne pieśni, starsze od człowieka. Nauczył się kunsztu skaldów tak dobrze, że przemawiał wierszami równie łatwo jak potoczną mową. Poznał wszystkie języki Krainy Czarów i trzy ludzkie. Potrafił wymienić nazwy wszystkich wyszukanych elfowych potraw i płynnych ogni, tłących się w zakurzonych butlach w zamkowych piwnicach, lecz nie zmniejszyło to jego upodobania do myśliwskiego czarnego chleba, solonego mięsa, słodkich od słońca jagód czy zimnej wody górskich potoków.

Kiedy pierwszy zarost pokrył policzki młodzieńca, Elfiny zaczęły poświęcać mu wiele uwagi. Nie znający lęku przed bogami i posiadający niewiele dzieci Elfowie nie znali instytucji małżeństwa. A Elfiny bardziej pragnęły miłości niż Elfowie, których natura uczyniła mniej namiętnymi od śmiertelnych mężów. Dzięki temu Skaflok miał wielkie powodzenie wśród mieszkanki Elfheugh i przeżył wiele przyjemnych chwil.

Najtrudniejszą i najbardziej niebezpieczną częścią jego wykształcenia była nauka magii. Imryk czuwał nad nim od chwili, gdy chłopiec potrafił nauczyć się czegoś więcej niż prostych czarów, jakie mogło rzucać dziecko. Choć Skaflok nie mógł poznać magii tak dobrze jak jego przybrany ojciec, gdyż urodził się człowiekiem i czekał go krótki żywot, stał się w niej równie biegły jak większość elfowej szlachty. Na początku nauczył się unikać i omijać żelazo, którego nie był w stanie znieść żaden Elf, Troll czy Goblin. Nawet kiedy powiedziano mu, że nic mu się nie stanie i gdy dla potwierdzenia prawdziwości tych słów lekliwie dotknął gwoźdźnia w domu wieśniaka, z przyzwyczajenia trzymał się odeń z daleka. Potem poznał runy leczące rany i choroby, nauczył się chronić przed nieszczęściem i rzucać uroki na wroga. Zapamiętał też pieśni, które mogły sprowadzać lub odpędzać burze, zsyłać dobre lub złe zbiory, budzić gniew w piersi śmiertelnika lub go uśmierzać. Skaflok nauczył się wydobywać ze złóż nie znane ludziom metale, których stopy zajmowały w Krainie Czarów miejsce stali. Umiał też narzucać płaszcz mroku i zamieniać się w zwierzęta, których skóry przywdziewał. Pod koniec nauki poznał

* Lands End — najdalej wysunięty na południowy zachód przylądek w Kornwalii.

potężne runy, pieśni i zaklęcia zdolne wskrzeszać umarłych, odsłaniać przyszłość i zmuszać bogów do posłuszeństwa. Odwoływano się do nich w największej potrzebie, gdyż nikt nie chciał odczuć ich strasznego wpływu, ani narazić się na zemstę, którą mogli zesłać.

Skaflok często przebywał nad morzem. Siedział godzinami na brzegu, wpatrując się w zamazaną linię horyzontu, gdzie niespokojne fale stykały się z niebem. Nigdy nie męczył go szum fal, słona woń, ostry wiatr czy zmienne nastroje oceanu. Pochodził z rodu żeglarzy i miał morze we krwi. Rozmawiał z fokami w ich szczekliwym języku, a mewy krążyły mu nad głową, przynosząc wieści z całego świata. Czasami, gdy był w towarzystwie innych wojowników, wodnice wynurzały się z morskiej piany, wykręcając swe długie, zielone włosy; później zaś wszyscy bawili się wesoło. Miały one zimną, wilgotną skórę, pachniały wodorostami i przez wiele godzin Skaflok czuł w ustach słaby rybi smak, ale nie przeszkadzało mu to, gdyż lubił morskie panny.

Kiedy skończył piętnaście lat, dorównywał prawie wzrostem Imrykowi, miał szerokie ramiona, mocne mięśnie i długie jasne kędziory odcinające się od ogorzałej cery. W jego szczerzej twarzy o wyrazistych rysach uśmiechały się wydatne usta i duże błękitne oczy. Zwykły śmiertelnik powiedziałby, że w oczach Skafloka, które widziały więcej niż oczy przeciętnego człowieka, kryje się jakaś tajemnica, uwydatniająca się w przężystym, lamparcim kroku.

Imryk rzekł do niego tak:

— Jesteś dostatecznie dorosły, by nie używać już mojej starej broni, lecz otrzymać własną, a poza tym wezwał mnie Król Elfów. Popłyniemy za morze.

Usłyszawszy to młodzieniec krzyknął z radości, zatoczył koniem i pocwałował przez ziemie ludzi, rzucając czary z samej potrzeby zrobienia czegokolwiek. Sprawił, że garnki zatańczyły na piecu, dzwony zadzwoniły na wieżach, a siekiery same narąbały dREW na opał. Za pomocą pieśni zagnał krowę na dach chaty wieśniaka, wezwał wiatr, który rozrzucił jego siano po okolicy, i spuścił na podwórze złoty deszcz. Narzuciwszy na ramiona płaszcz mroku, całował dziewczęta pracujące na polach o zmierzchu, mierzwił im włosy i wrzucał do rowu ich ukochanych. Później przez wiele dni odprawiano msze, aby powstrzymać zalew czarów, ale wówczas Skaflok był już na morzu.

Długi czarny korab Imryka płynął z żaglem wyдутym przez wiatr, wezwany przez jarla Elfów. Załogę stanowili doborowi wojowie, gdyż mogli spotkać Trollów czy z krakena*. Skaflok stał na ozdobionym smoczą głową dziobie statku, chciwie wpatrując się w dal. Wcześniej otrzymał czarodziejski wzrok i widział w nocy równie dobrze jak za dnia. Wypatrzył stado delfinów, srebrzystoszarych w świetle księżyca, i pozdrowił znajomego starego samca. Raz natknęli się na wieloryba, po którego bokach z sykiem spływała woda. Zamglone, skośne oczy Elfów i ich wychowanka Skafloka widziały rzeczy, o których śnili lub które tylko przelotnie dostrzegali śmiertelni żeglarze: wodnice śpiewające i igrające w morskiej pianie, zatopioną wieżę Ys*, krótki błysk bieli i złota i przeciągły krzyk sokoła w górze — Walkirie* śpieszące na jakąś bitwę na wschodzie.

Wiatr śpiewał w takielunku, fale z szumem omywały pokład. Przed świtem statek Imryka dotarł na drugi brzeg morza, został wyciągnięty na plażę i ukryty za pomocą czarów.

Elfowie schowali się pod kadłubem, lecz Skaflok krążył po okolicy przez większą część dnia. Wspiął się na drzewo i ze zdziwieniem przyglądał się falistym ornym polom ginącym na południu. Ludzkie domostwa były tu inne niż w Anglii. Młodzieniec dostrzegł wśród nich

* Bajeczny potwór morski.

* Zatopione miasto u wybrzeży Bretanii.

* Służebnice Odyna, które wybierały poległych w walce bohaterów, żeby zabrać ich do Walhalli, raju wojowników.

wysoki, szary zamek jakiegoś barona. Pomyślał ze współczuciem o trudnym życiu ludzi, którzy mieszkali w jego mrocznym wnętrzu. Za nic nie zamieniłby się z nimi.

Gdy zapadła noc, Elfowie wsiedli na przywiezione z Anglii konie i jak burza pomknęli w głąb łądu. O północy znaleźli się w górzystej krainie, gdzie światło księżyca rzucało wąskie srebrzyste cienie i grube pasma mroku na turnie, ściany skalne i daleki, zielonkawy lodowiec. Elfowie jechali wąskim traktem, trzymając wysoko włócznie. Dzwoniły ozdoby na końskiej uprzęży, długie pióra i płaszcze powiewały na wietrze. Kopyta rumaków dźwięcznie uderzały o kamienie, budząc nocne echa.

Nagle w górze ktoś zadął ochryple w róg, a ktoś inny odpowiedział mu z dołu. Elfowie usłyszeli szcęk metalu i odgłos kroków. Kiedy dojechali do końca traktu, ujrzeli oddział Niziołków strzegących wejścia do jaskini.

Krzywonodzy mężowie ledwie sięgali Skafloкови do pasa, lecz mieli szerokie bary i długie ręce. Na ich ciemnych, brodatych twarzach malował się gniew, oczy płonęły pod krzaczastymi brwiami. W rękach trzymali żelazne miecze, topory i tarcze. W przeszłości Elfowie pokonali ich swymi włóczniami i strzałami, gdyż górowali nad nimi szybkością i zręcznością, a w dodatku układali lepsze plany strategiczne.

— Czego chcecie? — zagrział przywódca Niziołków. — Czy Elfowie i Trollowie nie wyrządzili nam dość krzywd, napadając na nasze ziemie i biorąc do niewoli naszych braci? Ale tym razem jest nas więcej i jeśli się zbliżycie, zabijemy was.

— Przybywamy w pokoju, Motsognirze — odparł Imryk. — Chcemy jedynie kupić wasze wyroby.

— Znam cię dobrze, Imryku zwany Chytrym — rzekł szorstko Motsognir. — Chciałbyś uspić naszą czujność.

— Dam zakładników — zaproponował jarl Elfów, a król Niziołków przyjął jego ofertę. Pozostawiając kilku Elfów rozbrojonych i otoczonych przez swych wojowników, Motsognir zaprowadził pozostałych w głąb jaskiń.

Wewnątrz ogniska rozjaśniały krwawo mrok, a Niziołkowie pracowali niezmordowanie w swych kuźniach. Ich młoty uderzały i stukwały tak głośno, że Skafloka rozbolała głowa. Tu powstawały najniezwyklejsze na świecie przedmioty — wysadzane klejnotami czasze i puchary, delikatnej roboty pierścienie i naszyjniki z czerwonego złota, tu wykuwano broń z metalu wydartego z serca góry, broń godną bogów — a Niziołkowie istotnie pracowali dla bogów w przeszłości — oraz broń ociekającą od zła. Niziołkowie potrafili też ryc potężne runy i zaklęcia i naprawdę posiadali niezwykle umiejętności.

— Chciałbym, żebyś wykonał ekwipunek bojowy dla mego przybranego syna — przemówił Imryk.

Krecie oczka Motsognira odszukały w półmroku wysoką postać Skafloka. Jego tubalny głos zagłuszył stuk młotów:

— Ejże, czyżbyś znowu zajmował się starymi sztuczkami z odmieńcami, Imryku? Któregoś dnia padniesz ofiarą własnych matactw. Ale ponieważ to jest człowiek, przypuszczam, że będziesz chciał mieć broń ze stali.

Skaflok zawahał się. Nie mógł od razu pozbyć się wieloletnich uprzedzeń, lecz wiedział, co nastąpi. Brąz był za miękki, a niezwykle stopy Elfów zbyt lekkie, aby mógł w pełni wykorzystać swe rosnące siły.

— Tak, ze stali — powiedział stanowczo.

— To dobrze, to dobrze — mruknął Motsognir i odwrócił się w stronę kuźni. — Powiem ci, chłopcze, że wy, ludzie, choć jesteście słabi, nieświadomi i tak krótko żyjecie, przewyższacie siłą Elfów i Trollów, ba, nawet olbrzymów i bogów. I to, że możecie dotykać zimnego żelaza, jest

tylko jednym ze źródeł waszej mocy. Hej! — zawołał. — Hej, Sindri, Thekku, Draupnirze, chodźcie pomóc!

Teraz stuk młotów stał się szybszy, tryskały iskry, dźwięczał metal. Tak wielkie były umiejętności Niziołków, że upłynęło niewiele czasu, a Skaflok nosił już skrzydlaty hełm i błyszczącą kolczugę. Tarczę zawiesił na plecach, miecz zaś u boku i dzierżył topór w dłoni, wszystko wykute z błękitnawej stali. Młodzieniec krzyknął z radości, zakręcił w górze młynka toporem i mieczem i wydał z siebie przenikliwy okrzyk bojowy Elfów.

— Ha! — zawołał wsuwając na powrót miecz do pochwy. — Niech Trollowie albo Goblinowie, ba, nawet olbrzymi ośmielą się zbliżyć do Alfheimu! Uderzymy w nich jak piorun i przeniesiemy wojnę do ich kraju! — I ułożył te oto strofy:

*Trwają szermiercze zmagania,
Miecze dzwonią w górach.
Szczęk stali przyzywa,
Dociera pod chmury:
Lecą, lecą gniewnie strzały,
Topór wznosi się ku niebu,
Uderza w kolczugi,
Miażdży helmy i tarcze.*

*Trwają szermiercze zmagania.
Deszcz włóczni spada na wroga;
Wojowie prą jak szaleni,
Rwąc szeregi nieprzyjaciół.
Niesie się bitewny zgielk,
Krew barwi topory.
Szary wilk i czarny kruk
Zerują na zwłokach.*

— Dobrze powiedziane, choć jeszcze zanadto chłopięce — rzekł zimno Imryk — ale pamiętaj, żebyś nie dotykał Elfów swymi nowymi zabawkami. Chodźmy stąd. — Podał Motsognirowi worek złota. — Oto zapłata za waszą pracę.

— Wolałbym raczej otrzymać w zapłacie wolność dla niewolników z naszego ludu — powiedział król Niziołków.

— Są nam zbyt potrzebni — oświadczył Imryk i oddalił się. O świcie jego oddział schronił się w jaskini, a następnej nocy

wjechał do wielkiego lasu, w którym stał zamek Króla Elfów.

Znajdował się tam taki skomplikowany splot czarów, że Skaflok nie potrafił go rozwikłać. Niejasno postrzegał wysokie, smukłe wieże na tle księżyca, błękitnawy zmierzch, w którym migotało i tańczyło wiele gwiazd, muzykę, co przeszywała ciało i kości, by poruszyć samą duszę, ale dopóki nie znaleźli się w sali tronowej, nie mógł niczego zobaczyć wyraźnie.

W otoczeniu swych dostojników, na tronie z cieni zasiadł Król Elfów. Jego korona i berło były ze złota, szaty zaś z purpury, która zlewała się z panującym tu półmrokiem. Włosy i brodę król miał siwe i jako jedyny z Elfów — zmarszczki na czole i policzkach. Poza tym jego oblicze wyglądało jak wykute z marmuru, tylko oczy płonęły.

Imryk uklonił się głęboko, a wojownicy z jego świty przyklękli na jedno kolano przed swym władcą. Kiedy Król Elfów przemówił, jego głos zabrzmiał jak pieśń wiatru: — Bądź

pozdrowiony, Imryku, jarlu brytyjskich Elfów.

— Bądź pozdrowiony, panie — odparł Imryk i spojrzał w spokojne, straszne oczy Króla Elfów.

— Wezwaliśmy naszych dostojników na naradę — rzekł władca — gdyż otrzymaliśmy wieści, że Trollowie znów szykują się do wojny. Nie ma wątpliwości, że zbroją się przeciw nam i że możemy się spodziewać zakończenia rozejmu za kilka lat.

— To dobrze, panie. Nasze miecze rdzewiały w pochwach.

— Może nie być tak dobrze, jak ci się zdaje, Imryku. Ostatnim razem Elfowie przepędzili Trollów i wtargnęliby do ich kraju, gdyby nie zawarto pokoju. Illrede, Król Trollów, nie jest głupcem. Nie wszczynalby wojny, gdyby nie sądził, że jest silniejszy niż uprzednio.

— Przygotuję moją prowincję do wojny, panie, i roześle wywiadowców.

— Dobrze, może dowiedzą się czegoś pożytecznego, chociaż nasi zawiedli. — Teraz Król Elfów skierował oczy na Skafloka, któremu zrobiło się zimno koło serca, jakkolwiek próbował i wytrzymać owo płomienne spojrzenie. — Słyszeliśmy o twoim odmieńcu, Imryku — mruknął władca. — Powinieneś być zapytać nas o zgodę.

— Nie było na to czasu, panie — dowodził jarl. — Chłopiec zostałby ochrzczony, nim zdołałbym przesłać wieść i otrzymać od ciebie odpowiedź. Teraz trudno jest ukraść dziecko.

— I jest to wielce ryzykowne, Imryku.

— Tak, panie, ale warto zachodu. Nie muszę ci przypominać, że ludzie potrafią robić wiele rzeczy niedostępnych Elfom, Trollom, Goblinom i im podobnym. Mogą używać wszystkich metali, dotykać wody święconej, chodzić po poświęconej ziemi, wymawiać imię nowego boga — tak, nawet starzy bogowie muszą umykać przed pewnymi rzeczami, które w niczym nie szkodzą ludziom. My, Elfowie, potrzebujemy kogoś takiego.

— Odmieniec, którego pozostawiłeś na jego miejscu, mógł zrobić wszystko, o czym mówiłeś.

— To prawda, panie. Ale dobrze znasz dziką i złą naturę takich mieszańców. Nie można by mu zawierzyć w sprawach magii tak jak temu człowiekowi. Elfowie muszą płodzić odmieńców, gdyż w przeciwnym razie ludzie zyskiwaliby pewność, że dzieci ukradziono im, i mogliby wzywać pomsty bogów.

Dotychczas prowadzono rozmowę o tym, co wszyscy rozumieli, nie śpiesząc się, jak to było w zwyczaju u nieśmiertelnych. Lecz teraz Król Elfów powiedział ostro:

— Czy można wierzyć temu człowiekowi? Niech no tylko zwróci się do nowego boga, a będzie dla nas stracony. Może już stał się za silny.

— Nie, panie! — Skaflok wystąpił przed wspaniałe zgromadzenie i spojrzał władcy Elfów prosto w oczy. — Jestem niezmiernie wdzięczny Imrykowi za to, że ocalił mnie przed jałowym i ślepym żywotem śmiertelnika. Jestem Elfem we wszystkim, z wyjątkiem krwi. Jako dziecko ssalem pierś Elfiny, mówię językiem Elfów i sypiam u boku elfowych dziewcząt. — Podniósł głowę mówiąc niemal wyzywająco: — Pozwól tylko, panie, a będę najlepszy z twoich psów. Jeśli jednak wygna się psa z domu, stanie się on wilkiem i będzie polował na stada swego pana.

Niektórych Elfów przerażała taka otwartość, lecz ich król skinął głową i uśmiechnął się ponuro.

— Wierzmy ci — rzekł. — Istotnie w przeszłości wychowankowie Alfheimu okazali się dzielnymi wojownikami. Co do ciebie, niepokoi mnie jedynie dar, który otrzymałeś od Asów w dniu nadania imienia. Czuję w tym ich rękę, a ich cele na pewno nie są naszymi.

Dreszcz przebiegł zgromadzonych Elfów i niektórzy nakreślili w powietrzu znaki runiczne. Lecz Imryk rzekł:

— Panie, nawet bogowie nie mogą zmienić wyroków Norn*. I uważałbym za rzecz haniebną, gdybyśmy mieli stracić najbardziej obiecującego z ludzi z powodu niejasnych obaw przed przyszłością.

— Niech więc tak będzie — skinął głową Król Elfów i rada zajęła się innymi sprawami.

Po zakończeniu posiedzenia rady królewskiej wydano wspaniałą ucztę. Skafloki zakreśliły sobie w głowie od przepychu, jaki panował na dworze władcy Elfów. Kiedy wreszcie powrócił do domu, przepełniała go tak wielka pogarda i zarazem litość dla ludzi, że przez jakiś czas nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Upłynęło może pół tuzina lat. Elfowie nie zmienili się, ale Skaflok urosł tak bardzo, że niziołkowi niewolnicy na dworze Imryka musieli przerobić jego ekwipunek bojowy. Młodzieniec był teraz wyższy i szerszy w ramionach od swego przybranego ojca i stał się najsilniejszym mężem w całym królestwie. Walczył z niedźwiedziami i dzikimi turami i potrafił prześcignąć w biegu jelenia. Nikt w całym Alfheimie nie mógł napiąć łuku Skafloka, ani swobodnie władać jego toporem, bez względu na to, czy broń ta została wykonana z żelaza, czy też nie.

Twarz młodzieńca stała się bardziej pociągła; wychowanek Imryka zapuścił też wąsy, równie jasne jak długie włosy, które spadały mu na ramiona. Jednocześnie młodzieniec był teraz weselszy i bardziej nieopanowany niż kiedykolwiek. Uwielbiał sowizdrzalskie figle i niebezpieczne wyczyny. Zmienił się w wielkiego zawadiakę i pijaka. Stał się psotnym czarodziejem, wywołującym wir powietrza tylko po to, żeby podnieść dziewczynie spódnicę. Nie mogąc znaleźć spokoju, krążył po kraju polując na najniebezpieczniejszą zwierzyńnię, jaką udało mu się znaleźć. Wyszukiwał w bagnach potwory z krwi Grendela* i zabijał je, odnosząc czasem straszliwe rany, które mogły uleczyć tylko czary Imryka. Pomimo to zawsze gotów był wyruszyć na poszukiwanie nowych przygód. Później jednak leżał beczynnym całym tygodniami, niemal nie ruszając się z miejsca, i marzycielsko wpatrywał się w płynące po niebie chmury. Innym razem w zwierzęcej postaci, władając nie znanymi ludzom zmysłami, szukał lasów i wód, żeby swawolić jako wydra, biec wielkimi susami jako wilk, czy szybować dumnie jako orzeł.

— Nigdy w życiu nie zaznałem trzech rzeczy — pochwalił się kiedyś. — Strachu, klęski i nieszczęśliwej miłości.

Imryk spojrzał na niego dziwnie.

— Jesteś jeszcze za młody, aby poznać trzy krańcowości ludzkiego żywota.

— Jestem bardziej Elfem niż człowiekiem, przybrany ojciec.

— Jesteś — jak dotąd.

Któregoś roku Imryk wyposażył około tuzina długich statków i wyruszył na daleką wyprawę. Flota jarla brytyjskich Elfów przepłynęła wschodnie morze i złupiła Goblinów zamieszkujących jego skaliste wybrzeże. Później Elfowie wtargnęli w głąb kraju, napadli na jakieś miasto Trollów i spalili je po wybiciu do nogi jego mieszkańców i zagarnięciu ich bogactw. Choć wojna jeszcze nie została wypowiedziana, takie wypadki i próby sił były powszechnie praktykowane przez obie strony. Płynąc wciąż na północ, potem zaś na wschód przez dziwną białą krainę mgieł, chłodu i dryfujących gór lodowych, Imryk, Skaflok i ich wojownicy okrążyli w końcu nieznaną przylądek, przepłynęli jakąś cieśninę i skierowali się na południe. Tam walczyli ze smokami i grabili miejscowe demony. Następnie popłynęli znów na zachód, trzymając się linii brzegowej do miejsca, gdzie skręcała ona na południe, po czym ponownie podążyli na północ. Najcięższą bitwę stoczyli na pustynnym brzegu z gromadą wygnanych bogów, wychudłych, wyschniętych, oszalałych z samotności, lecz nadal władających przerażającymi mocami. Imryk zwyciężył, ale po walce Elfowie musieli spalić trzy statki, gdyż nie ocalał nikt, kto mógłby je obsadzić.

* Norny — bogowie losu w mitologii skandynawskiej.

* Grendel — potwór, którego zabił Beowulf, bohater średniowiecznej angielskiej sagi o tej samej nazwie.

Czasami spotykali ludzi, lecz nie poświęcali im wiele uwagi, ponieważ interesowała ich tylko Kraina Czarów. Śmiertelnicy zaś widywali ich tylko przelotnie, a i wtedy ogarniało ich przerażenie. Elfowie nie wojowali ze wszystkimi: w większości królestw przyjęto ich gościnnie i chętnie z nimi handlowano, co było powodem długotrwałych postojów. Po trzech latach statki Imryka powróciły do Elfheugh obładowane bogactwami i jeńcami. Była to wspaniała wyprawa. Wieści o niej rozeszły się po Alfheimie i sąsiednich królestwach, a Imryk i Skaflok okryli się sławą.

VI

Przez te wszystkie lata czarownica mieszkała samotnie w lesie, za całe towarzystwo mając jedynie wspomnienia, które obudziły w jej duszy nienawiść i pragnienie zemsty. Próbując tego i owego zdołała nieznacznie powiększyć swą moc. Mogła teraz wywoływać duchy ziemi i porozumiewać się z demonami powietrza, które nauczyły ją jeszcze innych rzeczy. Poleciała także na miotle na Czarny Sabat na górze Brocken. Była to straszliwa biesiada, podczas której ohydne pradawne potwory śpiewały wokół czarnego ołtarza i piły krew z wielkich kotłów, ale chyba najgorsze okazały się młode niewiasty, biorące udział w bezbożnych obrzędach i spółkujące z demonami.

Czarownica powróciła z Sabatu znacznie mądrzejsza, za Chowańca* mając szczura, który ostrymi ząbkami kąsał jej wyschłe piersi i pił z nich krew, nocami zaś kulił się obok swej pani na poduszce i pisał jej do ucha podczas snu. Teraz czarownica uznała, że posiada już dość mocy, aby wezwać tego, którego pragnęła.

Pioruny były wokół jej nory, otaczało ją niebieskie światło i smród piekielnych otchłani. Niewyraźna postać, przed którą się płaszczyła, była na swój sposób piękna, jak każdy grzech w oczach niepoprawnego grzesznika.

— O wieloimienny Książę Ciemności, Zły Towarzyszu — zawołała czarownica. — Pragnę, byś spełnił moje życzenie, i gotowa jestem zapłacić za nie twą zwyczajową cenę.

Ten, którego przywołała, przemówił do niej cicho, tłumacząc cierpliwie: — Zaszłaś już daleko, moja droga, ale jeszcze nie należysz do mnie duszą i ciałem. Miłosierdzie tych z góry jest nieskończenie wielkie i tylko jeśli sama się go wyrzekniesz, zostaniesz potępiona.

— A cóż mnie obchodzi miłosierdzie? — zapytała czarownica. — Nie pomści ono moich synów. Gotowa jestem oddać ci duszę, jeżeli wydasz wrogów w moje ręce.

— Nie mogę tego uczynić — oświadczył gość — ale dostarczę ci środków do schwytania ich w pułapkę, jeżeli będziesz chytrzejsza od nich.

— To wystarczy.

— Zastanów się jednak, czy już nie zemściłaś się na Ormie? To dzięki tobie ma odmieńca zamiast najstarszego syna i ta istota może uczynić mu wiele zła.

— Lecz prawdziwy syn Orma żyje szczęśliwie w Alfheimie, a pozostałe dzieci szybko rosną. Chciałabym zetrzeć z powierzchni ziemi jego ohydne potomstwo, tak jak on zrobił to z moim. Nie pomogą mi w tym pogańscy bogowie ani nie uczyni tego Ten, Którego Imienia lepiej nie wymawiać. Wobec tego, ty, Panie Ciemności, musisz być moim przyjacielem.

Spoczęło na niej zamyślane spojrzenie oczu, w których igrały ogniki bardziej lodowate niż zimowe chłody.

— Pogańscy bogowie również interesują się tą sprawą — zaszemrał spokojny głos — jak zapewne już słyszałaś. Odyn, znający ludzkie losy, snuje plany, których realizacja trwa wiele lat... Ale pomogę ci. Dam ci moc i wiedzę, tak że staniesz się potężną czarownicą. I wskażę sposób na zemstę, która będzie niezawodna, chyba że twoi wrogowie są mądrzejsi, niż sądzisz.

— W świecie istnieją trzy Moce, którym nie mogą się przeciwstawić ani bogowie, ani demony, ani ludzie, Moce, których nie zwyciężą czary, których nie pokona żadna potęga, a są to: Biały Chrystus, Czas i Miłość.

— Pierwszy tylko może pokrzyżować twoje plany i musisz uważać, żeby w żaden sposób ani

* Chowaniec (*familiar*) — w angielskiej demonologii ludowej demon — utrzymanek czarownicy, który przybrał postać zwierzęcia.

On, ani Jego wyznawcy nie włączyli się do walki. Zdołasz to uczynić, jeśli będziesz pamiętała, że Niebo pozostawia niższym istotom wolną wolę i w ten sposób nie zmusza ich do przestrzegania Jego przykazań. Nawet cuda tylko otworzyły przed ludźmi jeszcze jedną możliwość wyboru.

— Druga Moc ma więcej imion niż ja sam — Los, Przeznaczenie, Prawo, Norny, Dola, Konieczność, Brahma i nieskończone mnóstwo innych — lecz nie można się do niej zwracać, gdyż nikogo nie słucha. Nie jesteś w stanie pojąć, jak może ona współistnieć ze swobodą wyboru, o której mówiłem, podobnie jak nie potrafiłabyś zrozumieć, jak mogą być jednocześnie starzy i nowi bogowie. Ale zanim użyjesz swych największych czarów, powinnaś się nad tym zastanowić, aż pojmiesz całą duszą, że prawda ma tyle postaci, ile jest umysłów, które usiłują ją dojrzeć.

— Trzecia Moc jest śmiertelna, więc równie dobrze może czynić szkodę, jak i pomagać, i nią właśnie musisz się posłużyć.

Teraz czarownica wymówiła pewną przysięgę i dowiedziała się, gdzie i w jaki sposób ma zdobyć potrzebną jej wiedzę, i na tym spotkanie zakończyło się.

Poza jedną rzeczą: kiedy przybysz wychodził z chaty czarownicy, przyjrzała mu się uważnie i spostrzegła, że był to ktoś inny niż ten, który się jej ukazał. Zobaczyła bowiem niezwykle wysokiego męża, który oddalał się szybko, choć miał długą brodę, siwą jak wilcza sierść. Odziany był w fałdzysty płaszcz, w rękę dzierżył włócznię, a spod szerokiego runda kapelusza zdawało się spoglądać na świat tylko jedno oko. Czarownica przypomniała sobie kogoś równie przebiegłego i oszukańczego, kto lubił przybierać najróżniejsze postaci w swych nie kończących się wędrówkach po świecie — i zadrżała.

Ale przybysz zniknął — i tak naprawdę nie widziała go wyraźnie — może coś się jej przywidziało w gwiazdnej poświacie — a w dodatku nie chciała rozmyślać o równie niemiłych sprawach, tylko o utracie najbliższych i rychłej zemście.

* * *

Poza tym, że odmieniec był dziki i hałaśliwy, nie można było go odróżnić od prawdziwego dziecka, i choć Elfydę dziwiło zachowanie małego synka, nigdy nie przyszło jej do głowy, że to wcale nie on. Ochrciła go imieniem Walgard, tak jak życzył sobie Orm, śpiewała mu, bawiła się z nim i była mu wielce rada. Tylko karmienie sprawiało jej wielki ból, ponieważ odmieniec mocno kąsał.

Orm ucieszył się, kiedy po powrocie do domu ujrzał tak ładnego i silnego chłopca.

— Będzie wielkim wojownikiem! — zawołał. — Będzie dzielnie walczył, jeździł konno i pływał po morzu. — Rozejrzał się po dziedzińcu. — Ale gdzie są psy? Gdzie jest mój wierny stary Gram?

— Gram nie żyje — odparła bezbarwnym głosem Elfyda. — Chciał się rzucić na Walgarda i rozszarpać go, więc kazałam zabić to biedne, szalone zwierzę. Lecz musiało ono zarazić inne psy, które warczą i uciekają, kiedy wynoszę dziecko na dwór.

— To dziwne — rzekł Orm — moi rodowcy zawsze lubili psy i konie.

W miarę jak Walgard rósł, stawało się jasne, że żadne zwierzę nie chce przebywać w pobliżu niego: bydło uciekało, konie parskwały i wierzgały, koty prychały i wspinały się na drzewa i chłopiec musiał wcześniej nauczyć się władać włócznią, żeby opędzać się od psów. Walgard również nie lubił zwierząt, rozdawał kopniaki i przekleństwa, i szybko stał się zapalonym myśliwym.

Odmieniec był ponury, milczący, nieposłuszny i lubił wyczyniać dzikie figle. Niewolnicy nienawidzili go za złą wolę i okrutne żarty, jakich im nie szczędził. I z czasem, choć starała się z

tym walczyć Elfryda przestała kochać swego najstarszego syna.

Jednak Orm lubił Walgarda, nawet jeśli nie zawsze zgadzali się ze sobą. Gdy musiał uderzyć syna, choćby nie wiem jak mocny zadał cios, chłopiec nigdy nie krzyczał z bólu. A kiedy ćwiczył go w walce na miecze i ze świstem opuszczał brzeszczot, jakby chciał rozplątać czaszkę Walgardowi, ten ani drgnął. Odmieniec wyrósł na silnego i zręcznego młodzieńca, lgnął do broni, jakby się z nią urodził, i bez względu na okoliczności, nigdy nie okazywał ani strachu, ani litości. Nie miał prawdziwych przyjaciół, za to wielu zwolenników.

Orm miał z Elfrydą jeszcze kilkoro dzieci — dwóch obiecujących synów — rudego Ketila i ciemnowłosego Asmunda, oraz dwie córki, Asgerd i Frede, która odziedziczyła urodę po matce. Ta czwórka była jak inne dzieci, na przemian wesoła i smutna. Początkowo bawiły się pod okiem matki, później zaś wędrowały po okolicy. Elfryda kochała je bardzo. Orm również je lubił, ale Walgard był jego ulubieńcem.

Dziwny, milczący, stroniący od ludzi młodzian zbliżał się do wieku męskiego. Zewnętrznie niewiele różnił się od Skafloka, lecz włosy miał nieco ciemniejsze, skórę zaś bielszą i kamienne spojrzenie. Zaciśnięte ponuro usta odmienca uśmiechały się tylko wtedy, gdy przelewał krew lub zadawał ból, a i wówczas był to jedynie ukazujący zęby grymas. Wyższy i silniejszy niż większość chłopców w jego wieku, Walgard nie zadawał się z rówieśnikami, chyba że wiódł ich całą gromadą, szykując jakąś psotę. Rzadko pomagał w gospodarstwie, z wyjątkiem pory rzezi bydła; wolał samotne dalekie wędrówki.

Orm nigdy nie zbudował kościoła, jak to niegdyś zamierzył, ale gdy okoliczni wolni kmiecie wznieśli świątynię z własnych składek, nie zabraniał swoim ludziom chodzić tam na mszę. Elfryda namówiła księdza, żeby przyszedł i porozmawiał z Walgardem. Chłopak roześmiał mu się w nos: — Nie będę się kłaniał twemu płacziwemu bogu — powiedział — ani żadnemu innemu, jeśli już o to chodzi. Jeżeli zwracanie się do nich w ogóle ma jakiś sens, ofiary składane przez mego ojca Asom bardziej pomagają niż jakiekolwiek modlitwy, które on lub ty ofiarowujecie Chrystusowi. Gdybym to ja był bogiem, można byłoby mnie nakłaniać krwawymi ofiarami do zsyłania szczęścia, ale człowieka skąpego, który tylko drażniłby mnie słodkimi modlitwami, rozdeptałbym — o tak! — I stopą w ciężkim bucie nadepnął księdzu na nogę. Usłyszawszy o tym, Orm zaśmiał się w kułak. Łzy Elfrydy na nic się nie zdały i ksiądz otrzymał niewielkie zadośćuczynienie.

Walgard najbardziej lubił noc. Wtedy często wymykał się z domu. Zwabiony sobie tyko znanymi księżycowymi czarami, potrafił biec wilczymi susami aż do świtu. Nie wiedział, czego pragnie, lecz czuł przejmujący smutek i tęsknotę za czymś nieokreślonym. Rozpromieniał się tylko wtedy, gdy zabijał, kaleczył lub niszczył. Wybuchał wówczas dzikim śmiechem, a krew Trollów pulsowała mu w skroniach!

Pewnego razu zauważył dziewczęta pracujące w polu w sukienkach lepiących się do spoconych ciał i od tego czasu znalazł sobie inną zabawę. Był silny, urodziwy i miał obrotny elfowy język, jeżeli tylko zechciał się nim posłużyć. Niebawem Orm musiał płacić odszkodowania za zhańbione córki lub niewolnice.

Niewiele o to dbał, lecz sprawy przybrały inny obrót, kiedy Walgard pokłócił się po pijanemu z Olafem, synem Sigmunda, i zabił go. Orm zapłacił główczynę, ale zrozumiał, że jego syn jest niebezpieczny dla otoczenia. Ostatnimi czasy syn Ketila większą część roku spędzał w domu i odbywał tylko pokojowe, handlowe podróże, lecz tamtego lata zabrał najstarszego syna na wiking.

Było to prawdziwe objawienie dla chłopca, który szybko zyskał szacunek towarzyszy dzięki odwadze i umiejętności władania bronią, choć niezbyt się im podobało, że niepotrzebnie zabija bezbronych. Po pewnym czasie Walgarda zaczął ogarniać szal bojowy: trząsał się, toczył pianę,

gryzł krawędź tarczy i rwał do przodu, rycząc i mordując. Jego miecz zmieniał się w krwawą błyskawicę. Odmieniec nie czuł ran i miał tak straszny wyraz twarzy, że wielu wrogów zamierało z przerażenia, dopóki ich nie zarąbał. Kiedy atak mijał, Walgard był jakiś czas bardzo słaby. Zazwyczaj otaczał go wtedy krąg trupów.

Jedynie brutalni i nieokrzesani mężowie zadawali się z berserkerem i tylko takim Walgard chciał przewodzić. Każdego lata wyruszał po łupy, z ojcem lub bez. Niebawem Orm w ogóle zaprzestał zbójceckich wypraw. Kiedy odmieniec osiągnął pełnię sił męskich, zyskał sobie przerażającą sławę. Zdobył też dostatecznie dużo złota, żeby zakupić statki. Obsadził je najgorszymi złoczyńcami, póki Orm nie zabronił mu wysadzać ich załóg na terenie swej włości.

Inne dzieci Orma były lubiane niemal przez wszystkich. Ketil wdał się w ojca — był wysoki, wesoły, zawsze gotów do bitki lub psoty, a kiedy podrośł, często wypływał na morze. Tylko raz wyruszył na wiking, pokłócił się jednak z Walgardem i odtąd pływał już jako kupiec. Asmund był smukły, spokojny, dobrze strzelał z łuku, chociaż nie lubił walki, i w coraz większym stopniu przejmował w swoje ręce kierowanie pracami w majątku. Asgerd wyrosła na wysoką, jasnowłosą, błękitnooką pannę o mocnych dłoniach, natomiast Freda z każdym dniem coraz bardziej przypominała z urody matkę.

Tak się rzeczy miały, kiedy czarownica uznała, że nadszedł czas, by zatrzasnąć pułapkę.

VII

Pewnego pochmurnego jesiennego dnia, gdy w powietrzu czuć było zapach deszczu, a liście zamieniły się w złoto, miedź i brąz, Ketil wybrał się na polowanie z kilkoma towarzyszami. Nie ujechali daleko, kiedy ujrzeni białego jelenia, tak wielkiego i pięknego, że ledwie uwierzyli własnym oczom.

— To godne króla zwierzę! — zawołał Ketil. Spiał konia ostrogami i pomknęli ponad pniami i kamieniami, przeskakując przez kłody i omijając drzewa, przedzierając się przez krzaki, miażdżąc opadłe liście, a wiatr świszcział im w uszach i las zmienił się w kolorową smugę. O dziwo, psy niezbyt chętnie wzięły udział w pościgu i choć Ketil nie dosiadł najlepszego konia, wyprzedził zarówno psy, jak i pozostałych myśliwych.

Przed nim w wieczornym zmierzchu majaczył biały jeleni sadząc długimi skokami; jego rogi odcinały się na tle nieba jak korona drzewa. Przez jakiś czas lodowaty deszcz sączył się między nagimi konarami, lecz Ketil niemal go nie czuł. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, rosnącej odległości od domu. Upajał się kołyszącym galopem konia i radością pościgu.

Wreszcie wypadł na niewielką polanę i o mało nie dogonił jelenia. Choć było już ciemno, młodzieniec cisnął włócznią w biały kształt. Lecz gdy to uczynił, jeleni zdał się kurczyć, rozwiewać jak mgła, aż zniknął, i tylko szczur śmignął przez zeschnięte liście.

Ketil uświadomił sobie, że znacznie wyprzedził swoich towarzyszy i że zgubił ich w lesie. Zimny wiaterek zaszemrał w półmroku. Koń Ketila zadrżał ze zmęczenia. Miał do tego prawo, gdyż znaleźli się w nie znanej części lasu, co znaczyło, że zapuścili się daleko na zachód od włości Orma. Młodzieniec nie mógł zrozumieć, co dodawało sił zwierzęciu, iż dotąd nie padło, a przypomniawszy sobie niesamowite wydarzenie, poczuł zimny dreszcz na grzbiecie.

Na skraju polany, pod wielkim dębem stała mała chatka. Ketila zastanowiło, kto mógł mieszkać na takim odludziu i z czego żył, skoro wokół nie było widać żadnych śladów uprawy roli. Ale teraz przynajmniej miał schronienie dla siebie i dla konia w schludnym, krytym słomą drewnianym domku, w którego oknach płąsało wesoło światło ogniska. Zsiadł więc z konia, podniósł włócznię i zapukał do drzwi.

Drzwi otworzyły się, ukazując ładnie umeblowaną izbę, a za nią pustą stajnię. Lecz Ketil zatrzymał wzrok na stojącej w drzwiach niewieście i nie mógł już oderwać od niej oczu. Poczul, że serce w nim zamarło, po czym jęło się rzucać jak żbik w klatce.

Nieznajoma była wysoka, a nisko wycięta suknia przylegała miłośnie do każdej wypukłości jej cudownego ciała. Ciemne włosy spadały aż do kolan, otaczając doskonały owal twarzy białej niczym morska piana. Jej duże usta o pełnych wargach były czerwone jak krew, nos zaś lekko zakrzywiony, a spod jaskółczych brwi, poprzez zasłonę rzęs, patrzyły upstrzone złotymi plamkami zielone oczy, które zdawały się czytać w duszy Ketila. Oszołomiony młodzieniec pomyślał, że dotąd nie widział, jak piękną być może niewiasta.

— Kim jesteś? — zapytała cichym, śpiewnym głosem. — Czego chcesz?

Ketilowi zaschło w ustach, serce waliło mu jak młotem zagłuszając niemal wszystko, ale zdołał odpowiedzieć: — Jestem Ketil, syn Orma... Zgubiłem się w lesie podczas polowania i chciałbym prosić o nocleg dla mego konia i... dla mnie...

— Witaj Ketilu, Ormowy synu — powiedziała niewiasta i uśmiechnęła się do niego tak słodko, że serceomal nie wyskoczyło mu z piersi. — Niewielu tu zagłada i zawsze jestem im rada.

— Czy mieszkasz... sama? — zapytał.

— Tak, chociaż nie dzisiejszej nocy! — roześmiała się, a Ketil wziął ją w objęcia.

* * *

Orm rozesłał ludzi, którzy mieli wypytać sąsiadów, nikt jednak nic nie wiedział o jego synu. Po upływie trzech dni duński wódz doszedł do wniosku, że Ketila musiało spotkać coś złego.

— Mógł złamać nogę, natknąć się na rozbójników albo popaść w inne tarapaty. Asmundzie, jutro wyruszmy na poszukiwania.

Walgard leżał na ławie, trzymając w garści róg z miodem. Przed dwoma dniami powrócił z letniej łupieskiej wyprawy. Pozostawił statki i ludzi we własnym gospodarstwie położonym niedaleko od włości Orma i przybył na jakiś czas do domu, bardziej dla dobrej kuchni i trunków, niż żeby zobaczyć się z rodziną. Światło ogniska sączyło się jak krew po jego ponurej twarzy.

— Czemu mówisz o tym do Asmunda? — zapytał. — Ja także tu jestem.

— Nigdy nie sądziłem, że ciebie i Ketila łączy braterska miłość — odparł na to Orm.

Walgard wyszczerzył zęby i wychylił róg.

— I nie ma jej między nami — rzekł — a mimo to wyruszę na poszukiwania i mam nadzieję, że to ja go znajdę i przyprowadzę do domu. Niewiele rzeczy wyda mu się gorszych niż fakt, że to ja go odszukam.

Orm wzruszył ramionami, lecz w oczach Elfrydy zabłyśły łzy.

Wyruszyli następnego dnia o świcie, gromada jeźdźców i sfera rozszczękanych psów, i zgodnie z planem rozproszyli się po lesie. Walgard poszedł sam i pieszo, jak to miał w zwyczaju. Uzbroił się w wielki topór i nakrył hełmem jasną czuprynę, lecz poza tym w swym kosmatym odzieniu przypominał leśnego drapieznika. Wciągał w nozdrza ostre powietrze i krążył wypatrując tropu. Posiadał pod tym względem nieludzkie zdolności. Niezadługo natknął się na ledwie widoczne ślady kopyt. Uśmiechnął się znów szeroko i nie zadał w róg, tylko pobiegł tropem Ketila.

W miarę jak mijał dzień, Walgard zapuszczał się coraz głębiej w gęstszą część lasu, do której nigdy dotąd nie dotarł podczas swych samotnych wędrówek. Niebo poszarzało i chmury wisiały nisko nad szkieletami drzew. Uschłe liście wirowały na wietrze, niczym duchy śpieszące piekielną drogą, a jęk i skowyt wiatru szarpały Walgardowi nerwy. Odmieniec wyczuwał, że coś jest nie w porządku, ale ponieważ nigdy nie uczył się magii, nie wiedział, dlaczego jeżą mu się włosy na głowie.

Do zmierzchu zaszedł bardzo daleko w las, był zmęczony, głodny i zły na Ketila, że sprawił mu tyle kłopotu. Będzie musiał spędzić noc poza domem, teraz, gdy zbliża się zima, więc zaprzysiągł bratu zemstę.

Ale zaraz — w gęstniejącym mroku zabłysło niewyraźne światełko. To nie błędny ogień, lecz ognisko — więc schronienie, chyba że trafił na obozowisko zbójców. A jeśli tak, warknął w duchu Walgard, z radością pozabijam ich wszystkich.

Noc wyprzedziła go w drodze do samotnej chaty. Począł zacinać deszcz ze śniegiem. Walgard ostrożnie podkrał się do okna i zajrzał do środka przez szparę między okiennicami.

Zadowolony z siebie Ketil siedział na ławie przy ognisku. W jednej ręce trzymał róg z piwem, a drugą pieścił niewiastę siedzącą mu na kolanach.

A ta niewiasta — o bogowie wszechmocni, cóż to była za niewiasta! Walgard z sykiem wciągnął powietrze. Nigdy nawet nie marzył, że może istnieć niewiasta taka jak ta, która śmiejąc się siedziała na kolanach Ketila.

Odmieniec podszedł do drzwi i uderzył w nie obuchem. Upłynęło trochę czasu, nim Ketil otworzył drzwi i stanął w nich z włócznią w ręku, żeby zobaczyć, kto przybył. A wtedy deszcz ze

śniegiem zaciął już bez przerwy.

Rozzłoszczony Walgard zatarasował sobą otwór drzwiowy Ketil zaklął, lecz odszedł na bok i wpuścił go do środka! Z Walgarda kapłała woda z topniejącego śniegu. Oczy odmieńca zabłyśły na widok siedzącej na ławie niewiasty.

— Nie jesteś zbyt gościnnie, bracie — rzekł i ryknął śmiechem. — Trzymasz mnie na dworze, a przecież przeszedłem wiele mil, żeby cię odnaleźć, podczas gdy ty zabawiałeś się ze swoją ukochaną.

— Nie prosiłem cię tutaj — odparł ponuro Ketil.

— Nie? — Walgard nadal wpatrywał się w niewiastę. Ta zaś spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Jesteś mile widzianym gościem — szepnęła. — Jeszcze nigdy nie widziałam męża równie rosnącego jak ty.

Walgard znów się roześmiał i odwrócił się, by spojrzeć w zdumione oczy brata. — Zapraszałeś mnie, czy nie, drogi bracie, i tak spędzę tu noc. A ponieważ widzę, że w łóżu jest tylko miejsce dla dwojga, ja zaś odbyłem długą i ciężką drogę, więc obawiam się, iż będziesz musiał przespać się w stajni.

— Tak się nie stanie! — zakrzyknął Ketil. Zacisnął rękę na drzewcu włóczni tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. — Gdyby to był ojciec czy Asmund albo ktokolwiek z naszego dworu, z radością ustąpiłbym mu miejsca. Ale ty, złoczyńco i berserkerze, będziesz spał na słomie.

Walgard zaśmiał się szyderczo i zamachnął się toporem. Ostrze topora przygwoździło włócznię do nadproża i odcięło jej grot.

— Wynoś się stąd, braciszku — rozkazał. — A może mam cię wyrzucić?

Zaślepiony gniewem Ketil uderzył go złamanym drzewcem włóczni. Walgarda ogarnęła wściekłość. Skoczył, jego topór zatoczył łuk w powietrzu i utkwiał w czaszce Ketila.

Ogarnięty szalem bojowym odmieńiec zamierzył się i na piękną gospodynię, lecz ta wyciągnęła do niego ramiona. Walgard objął ją i całował, aż ich usta poczęły krwawić. Niewiasta roześmiała się głośno.

Gdy Walgard obudził się następnego ranka, ujrzał Ketila leżącego w kałuży zakrzepłej krwi i mózgu. Martwe oczy spojrzały na niego i odmieńiec poczuł wyrzuty sumienia.

— Co ja zrobiłem? — szepnął. — Zabiłem własnego brata.

— Zabiłeś słabszego od siebie męża — powiedziała obojętnie niewiasta.

Walgard stanął nad ciałem brata.

— W przerwach między naszymi kłótniami przeżyliśmy razem kilka pięknych chwil, Ketilu — wymamrotał. — Pamiętam, jak znaleźliśmy nowo narodzone cielę, które próbowało stać na drżących nóżkach. Pamiętam wiatr smagający nam twarze i słońce iskrzące się na falach, kiedy wypłynęliśmy na morze, i miód, który piliśmy na Boże Narodzenie, gdy zamieć szalała wokół dworu naszego ojca. Pamiętam, jak razem biegaliśmy, pływaliśmy i krzyczeliśmy, bracie. Teraz wszystko się skończyło, jesteś już tylko trupem, ja zaś kroczę posępną drogą — ale śpij dobrze. Dobrej nocy, Ketilu, dobrej nocy.

— Jeśli powiesz o tym ludziom, zabiją cię — ostrzegła go piękna nieznajoma. — To nie przywróci mu życia, a w mogile nie ma pocałunków ani kochania.

Walgard skinął głową. Podniósł zwłoki i wyniósł je do lasu. Nie chciał znów dotykać topora, więc pozostawił go w głowie zabitego. Wzniósł nad nim kamienny nagrobek.

Gdy powrócił do samotnej chaty, kochanka czekała już na niego i wkrótce zapomniał o wszystkim. Była piękniejsza niż słońce i wiedziała wszystko o uprawianiu miłości.

Zanim spadł pierwszy śnieg, zrobiło się bardzo zimno. Zapowiadało to długą i ciężką zimą.

Po tygodniu Walgard uznał, że dobrze zrobi, jeśli wróci do domu. W przeciwnym razie inni

zdołają go odszukać, a mogą też wybuchnąć walki między załogami jego statków. Jednak piękna nieznajoma nie chciała pójść z nim.

— To jest mój dom i nie mogę go opuścić — rzekła. — Ale przychodź, kiedy tylko zechcesz, mój kochany Walgardzie. Zawsze powitam cię z radością.

— Niedługo wrócę — obiecał. Nie przyszło mu do głowy, żeby zabrać siłą kochankę, chociaż wcześniej uczynił tak z wieloma innymi niewiastami. Oddała mu się sama, co było niezwykle cennym darem.

Ojciec powitał go we dworze z radością, gdyż obawiał się, że i tego syna utracił. Nikt inny nie był szczególnie rad, że go widzi.

— Polowałem daleko na zachodzie i północy — powiedział Walgard — lecz nie znalazłem Ketila.

— Nie — odparł Orm, czując, jak na nowo ogarnia go smutek — on na pewno już nie żyje. Szukaliśmy wiele dni, aż w końcu znaleźliśmy jego konia błakającego się po lesie. Przygotuję stypę.

Walgard spędził u rodziny tylko kilka dni, po czym znów wymknął się do lasu obiecawszy, że powróci na stypę po Ketilu. Asmund w zamyśleniu odprowadził go spojrzeniem.

Najmłodszego brata zastanowiło, że Walgard unikał rozmów o losie Ketila, a jeszcze dziwniejszym mu się wydało, iż wybrał się na łowy — jak sam powiedział — teraz, kiedy zima była za pasem. Nie znajdzie już niedźwiedzi, a pozostałe zwierzęta stały się tak płochliwe, że ludzie nie chcieli brać za nimi po śniegu. Dlaczego Walgarda nie było tak długo i czemu oszedł tak wcześnie?

Tak rozmyślał Asmund, i w dwa dni po odejściu odmienca, ruszył jego śladem. Od tamtej pory nie padał śnieg ani nie wiał wiatr, więc tropy nadal były dobrze widoczne w zamrzniętym śniegu. Asmund wybrał się sam, jadąc na nartach przez rozległe milczące przestrzenie, gdzie nie było nic żywego poza nim, i robiło mu się coraz zimniej.

Walgard wrócił trzy dni później. Z bliska i z daleka przybyli sąsiedzi do dworu Orma na stypę po Ketilu i uczta się rozpoczęła. Milczący berserker prześlizgnął się przez zatłoczony dziedziniec.

Elfryda pociągnęła go za rękaw.

— Czy widziałeś Asmunda? — zapytała nieśmiało. — Poszedł do lasu i jeszcze nie wrócił do domu.

— Nie — odparł krótko Walgard.

— Źle by się stało, gdybym utraciła dwóch synów w ciągu miesiąca i pozostał mi tylko ten najgorszy — powiedziała Elfryda i odwróciła się.

Wieczorem goście spotkali się w wielkiej izbie, aby pić na cześć zmarłego. Orm siedział w swym wysokim krześle, po prawej mając Walgarda. Mężowie stłoczyli się na ławach ustawionych wzdłuż ścian i podnosili ku sobie rogi poprzez płomienie i dym ogniska, które paliło się w rowie między nimi. Niewiasty zaś chodziły tam i z powrotem, dbając, by rogi zawsze były pełne. Z wyjątkiem rodziny zmarłego wszyscy goście weselili się w czerwonym, migotliwym świetle; wiele par oczu odprowadzało wzrokiem obie córki Orma.

Orm przybrał wesołą minę, jak przystało na wojownika, który drwi ze śmierci, lecz nikt nie potrafił powiedzieć, co się za nią kryło. Elfryda nie mogła powstrzymać się od łez i raz po raz szlochała cicho. Walgard siedział w milczeniu, wychylając róg za rogiem, aż zakreśliło mu się w głowie. Mocny trunek tylko pogłębił jego ponury nastrój. Z dala od kochanki i zbrojnych utarczek nie miał nic do roboty, poza rozmyślaniami o swoim czynie, i widział w mroku przed sobą twarz Ketila.

Piwo płynęło szeroką strugą, aż wszyscy mężczyźni popili się i dwór rozbrzmiewał głośnym

gwarem. Nagle poprzez zgiełk przebiło się donośne pukanie do głównych drzwi. Zasuwa była podniesiona, lecz ostry dźwięk przyciągnął uwagę obecnych. Do wielkiej izby poprzez przedsionek wszedł Asmund.

Światło ogniska czerwona linią nakreśliło jego sylwetkę na tle mroku. Był blady i chwiał się na nogach. W ramionach trzymał owinięty płaszczem podłużny kształt. Obiegł spojrzeniem izbę, szukając tylko jednego człowieka. Stopniowo we dworze zapanowała głęboka cisza.

— Witaj, Asmundzie! — zawołał Orm. — Już zaczynaliśmy bać się o ciebie...

Jednak Asmund nadal patrzył przed siebie i ci, którzy dążyli za jego spojrzeniem, zauważyli, że utkwiał wzrok w Walgardzie. W końcu przemówił głuchym głosem: — Przyprowadziłem gościa na stypę.

Orm siedział bez ruchu, chociaż zbladł jak płótno. Asmund opuścił swoje brzemie na podłogę. Było tak silnie zamarznęte, że mogło stać oparte o jego ramię.

— Okrutnie zimny był grób, w którym go znalazłem — rzekł Asmund i łzy popłynęły mu z oczu. — Nie było to dobre miejsce, dlatego pomyślałem sobie, że okrylibyśmy się hańbą wydając ucztę na jego cześć, a on leżałby gdzieś w lesie, za całe towarzystwo mając tylko gwiazdy. Więc przyniosłem Ketila do domu — Ketila z toporem Walgarda w czaszce!

Odsunął na bok płaszcz i światło ogniska padło niczym świeżo przelana krew tam, gdzie uprzednio zakrzepła wokół topora. Włosy Ketila zbieleły od szronu. Jego martwe usta uśmiechały się do Walgarda, a otwarte oczy napełniły blaskiem płomieni. Opierał się sztywno o Asmunda i nie odrywał wzroku od odmieńca.

Orm odwrócił się powoli, żeby stawić czoło berserkerowi, który z otwartymi ustami wpatrywał się w Ketila. Ale chwilę później Walgarda ogarnęła wściekłość. Zerwał się na równe nogi i ryknął do Asmunda: — Łzesz!

— Wszyscy znają twój topór! — odparł ciężko Asmund. — Dobrzy ludzie, chwytajcie bratobójcę i zwiążcie go. Zostanie powieszony.

— Mam prawo się bronić — wykrzyknął Walgard. — Pozwólcie mi obejrzeć ten topór.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy byli zbyt wstrząśnięci. Walgard przeszedł przez wielką izbę do przedsionka w głuchej ciszy, w której słychać było tylko trzask płomieni.

W pobliżu wejścia stała w kozłach broń. Przechodząc obok odmieniec chwycił włócznię i rzucił się do ucieczki. — Nie uda ci się ujść cało! — zawołał Asmund i sięgnął po miecz, żeby zagrozić mu drogę. Walgard pchnął go włócznią. Przeszyła ona nie osłoniętą zbroją pierś Asmunda, przygważdzając go zarazem do ściany, tak że stał obok Ketila, nadal wspartego o jego ramię. Dwaj martwi bracia wpatrywali się w swego zabójcę.

Walgard zawył, gdyż ogarnął go szal bojowy. Jego oczy zabłysły zielenią jak u rysia i piana wystąpiła mu na usta. Orm pobiegł za nim, rycząc z wściekłości. Chwycił czyjś miecz i zaatakował odmieńca. Walgard wyrwał z pasa nóż, którym pomagał sobie przy jedzeniu, lewą dłonią odtrącił na bok brzeszczot Orma i wbił swoje ostrze w pierś duńskiego wodza.

Buchnęła krew i Orm upadł. Walgard wyrwał miecz z ręki zmarłego. Nadbiegli inni mężowie, odcinając zabójcy odwrót. Odmieniec zarąbał najbliższego. Jego głośny ryk odbił się echem pod krokami.

Wielka izba zaroїła się od mężów. Jedni próbowali znaleźć bezpieczne miejsce, drudzy zaś starali się pochwycić szaleńca. Miecz Walgarda zaśpiewał. Jeszcze trzech wolnych kmieciów runęło na ziemię. Kilku innych pochwyciło blat stołu i trzymając go przed sobą odepchnęło berserkerę od kozłów z bronią. Pozostali uzbroili się.

Lecz w zatłoczonej izbie wszystko działo się zbyt powoli. Walgard zamachnął się mieczem na mężów, którzy stali między nim a drzwiami. Kilku zranił, pozostali odskoczyli na boki i w ten sposób odmieniec przebił się do drzwi. Ale w przedsionku stał wojownik, który zdołał chwycić

miecz i okutą żelazem tarczę. Walgard zaatakował. Jego miecz rozłupał okucie tarczy i przebił ją na wylot.

— Za słaby jest twój miecz, Ormie! — zawołał. Kiedy tamten rzucił się na niego, odmieniec sięgnął ręką do tyłu i wyrwał topór z głowy Ketila. W wirze walki jego przeciwnik zapomniał o ostrożności. Pierwszy cios berserkera odtrącił na bok tarczę, drugi zaś odrąbał prawe ramię nieszczęśnika. Walgard wypadł za drzwi.

Poleciały za nim włącznie. Uciekł do lasu. Krew ojca kapła z niego jakiś czas, póki nie zamarzła i przestała być pomocą dla psów, które wysłano jego śladem. Nawet gdy je zgubił, odmieniec wciąż biegł, bojąc się, że zamarznie. Trzęsąc się i szlochając uciekał na zachód.

VIII

Czarownica czekała, siedząc samotnie w ciemnościach. Niebawem coś wślizgnęło się przez szczurzą dziurę. Spojrzała na niemal niewidoczną polepę i zobaczyła swego chowańca.

Wychudły i zmęczony, nie powiedział nic, zanim nie podczołgał się do jej piersi i nie napił się krwi. Później leżał na kolanach swej pani i przyglądał się jej błyszczącymi oczkami.

— No, więc — zapytała — jak ci poszła podróż?

— Była długa i nieprzyjemna — odrzekł. — Pod postacią nietoperza na skrzydłach wiatru poleciałem do Elfheugh. Często, gdy skradałem się wokół komnat Imryka, byłem bliski śmierci. Ci przekłeci Elfowie są bardzo szybcy i dobrze wiedzieli, że nie jestem zwyczajnym szczurem. A jednak udało mi się podsłuchać ich narady.

— Czy ich plan jest taki, jak przypuszczałam?

— Tak. Skaflok popłynie do Trollheimu, aby napaść na siedzibę Illredego. Liczy, że zdoła zabić króla lub przynajmniej zdeorganizować przygotowania do wojny — teraz, kiedy oficjalnie ogłosił koniec rozejmu. Imryk pozostanie w Elfeugh, żeby przygotować swą prowincję do obrony.

— To dobrze. Stary jarl Elfów jest zbyt przebiegły, ale pozostawiony samemu sobie Skaflok na pewno wpadnie w pułapkę. Kiedy odpływa?

— Za dziewięć dni. Zabierze około pięćdziesięciu statków.

— Statki Elfów płyną szybko, więc powinien być w Trollheimie jeszcze tej samej nocy. Nauczę Walgarda przywoływać wiatr i za jego pomocą dotrze tam za trzy dni. Zostawię mu jeszcze trzy dni na przygotowania. Jeśli ma zjawić się u Illredego na krótko przed Skaflokiem, muszę go tu zatrzymać... hm, będzie potrzebował czasu, żeby dotrzeć do swoich ludzi... no cóż, kierowanie nim nie będzie zbyt trudne, gdyż jest teraz wygnańcem i ucieka tu z rozpaczą w sercu.

— Traktujesz Walgarda bardzo surowo.

— Nie mam nic przeciw niemu, gdyż nie jest on potomkiem Orma, lecz moim narzędziem w trudnej i niebezpiecznej grze. Zniszczenie Skafloka będzie znacznie trudniejsze, niż zabicie jego ojca i braci, czy wywarcie zemsty na siostrach. Ten wychowanek Elfów śmiałyby się zarówno z moich czarów, jak i z mojej mocy. — Czarownica wyszczerzyła zęby w półmroku. — Tak, Walgard jest narzędziem, którego użyję do wykucia broni, mającej przeszyć serce Skafloka. Co do samego Walgarda, to dam mu możliwość zajścia wysoko wśród Trollów, zwłaszcza jeśli zwyciężą oni Elfów. Mam nadzieję, że uczynię upadek Skafloka podwójnie gorzkim, gdy za jego pośrednictwem spowoduję zagładę Alfheimu.

I czarownica znów usiadła i czekała, a sztuki tej nauczyło ją wieloletnie wyczekiwanie na zemstę.

Przed świtem, kiedy szare, zdesperowane światło pełzło po śniegu i oblodzonych drzewach, Walgard zapukał do drzwi kochanki. Otworzyła mu od razu i wpadł jej w ramiona. Był bliski śmierci z zimna i ze zmęczenia, pokryty plamami zakrzepłej krwi; twarz miał wymizerowaną i dzikie błyski w oczach.

Kochanka podała mu mięso, piwo, dziwne napary z ziół i niezadługo mógł już przytulić ją do siebie. — Tylko ty mi pozostałaś — wymamrotał. — Niewiasto, której piękność i rozpusta stała się przyczyną tego nieszczęścia, powinienem cię zabić, a później przebić się mieczem.

— Czemu to mówisz? — zapytała z uśmiechem. — I cóż w tym złego?

Zanurzył twarz w jej pachnących włosach. — Zabiłem mego ojca i braci — rzekł. — Jestem

wyгнаńcem, który nie będzie mógł za to odpokutować.

— Co się tyczy zabójstw — odparła — świadczą one tylko, że jesteś silniejszy od tych, którzy ci zagrażali. Czy to ważne, kim oni byli? — Wpiła w niego zielone oczy. — Ale skoro nie daje ci spokoju myśl o wykończeniu krewnych... powiem ci, że jesteś niewinny.

— Co takiego? — zamrugał oczami w oszłomieniu.

— Nie jesteś synem Orma, Walgardzie, zwany Berserkerem. Posiadam podwójny wzrok i powiadam ci, że nawet nie jesteś człowiekiem. Pochodzisz z tak starożytnego i szlachetnego rodu, iż z trudem mógłbyś wyobrazić sobie swe prawdziwe dziedzictwo.

Walgard zeszywniał. Zacisnął ręce na jej przegubach tak mocno, że posiniały, i zakrzyknął z całej siły: — Co takiego powiedziałaś?!

— Jesteś odmieńcem, pozostawionym przez Imryka, jarla Elfów, który ukradł pierworodnego syna Orma. Jesteś synem tegoż Imryka zrodzonym z niewolnicy, córki Illredeggo, Króla Trollów.

Odepchnął ją od siebie. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło. — To łgarstwo! — jęknął. — Łgarstwo!

— To prawda — odparła spokojnie niewiasta. Podeszła znów do niego. Walgard cofnął się dysząc ciężko. Ciągnęła nieubłaganie: — Dlaczego jesteś zupełnie inny niż dzieci Orma czy jakiegokolwiek śmiertelnego męża? Dlaczego szydzisz z bogów i ludzi i żyjesz w samotności, o której zapominasz tylko w bitewnej wrzawie? Dlaczego żadna z niewiast, które wzięłeś do swego łóża, nie urodziła ci dziecka? Czemu boją się ciebie zwierzęta i małe dzieci? — Przyparła go teraz do ściany i nie odrywała od niego wzroku. — Czemu, jeśli nie dlatego, że nie jesteś człowiekiem?

— Przecież wyrosłem tak jak inni ludzie, mogę dotykać żelaza i świętych przedmiotów, nie jestem też czarownikiem...

— Na tym właśnie polega zbrodnia Imryka, który ograbił cię z twego dziedzictwa i odtrącił na rzecz Ormowego syna. Uczynił cię podobnym do ukradzionego chłopca. Wychowałeś się wśród ludzi, wiodłeś jałowy żywot człowieka i nie było w nim nic, co mogłoby obudzić drzemiącą w tobie czarodziejską moc. Imryk ograbił cię z trwającego wiele stuleci żywota, żebyś mógł dorosnąć, zestarzeć się i umrzeć w tak krótkim czasie, jak wszyscy ludzie, aby nie niepokoili cię święte przedmioty i inne rzeczy, których lękają się Elfowie. Nie mógł jednak dać ci ludzkiej duszy, Walgardzie. I kiedy umrzesz, tak jak on podobny będziesz do zgaszonej przez wiatr świecy, bez nadziei na niebo, piekło czy dwory starych bogów — ty wszakże nie będziesz żył dłużej od człowieka!

Usłyszawszy to Walgard zakrakał, odepchnął kochankę i wypadł za drzwi. Ta tylko się uśmiechnęła.

Zrobiło się zimno, rozszalała się zamieć, ale Walgard przywłókł się do domu pięknej niewiasty dopiero po zmroku. Był zgarbiony i wymizerowany, lecz w jego oczach tlił się ciemny płomień.

— Teraz ci wierzę — mruknął — i nie ma niczego innego, w co mógłbym uwierzyć. Widziałem duchy i demony szalejące wśród zawieruchy, lecące ze śniegiem i szydzące ze mnie, gdy mnie mijały. — Utkwił wzrok w ciemnym kącie izby. — Ogarniają mnie ciemności, żalсна gra mego życia zbliża się do końca... utraciłem dom, rodzinę i własną duszę, duszę, której nigdy nie miałem. Widzę, że byłem tylko cieniem stworzonym przez wielkie Moce, które teraz zdmuchną świecę mego żywota. Dobrej nocy, Walgardzie, dobrej nocy... — jęknął i szlochając osunął się na łóże.

Niewiasta uśmiechnęła się tajemniczo, położyła obok berserkera i pocałowała go ustami, które były jak wino i ogień. A kiedy w milczeniu zwrócił ku niej oczy, szepnęła: — To nie były słowa Walgarda, zwanego Berserkerem, największego z wojowników, którego imię sieje postrach od

Irlandii po Gardariki. Myślałam, że ucieszą cię moje słowa, iż swym wielkim toporem wyrąbiesz lepszy los. Zemściłeś się srodze za mniejsze krzywdy, niż ograbienie cię z samej twej istoty i przykucie do więzienia, jakim jest żywot śmiertelnika.

Walgard odzyskał nieco pewności siebie, a gdy pieścił kochankę, czuł, że powracają mu dawne siły wraz z nienawiścią do wszystkiego poza nią. W końcu rzekł: — Co mogę zrobić? Jak mogę się zemścić? Nie mogę nawet zobaczyć Elfów i Trollów, chyba że sami tego zapragną.

— Nauczę cię tego wszystkiego — odparła. — Nietrudno jest dać ci czarodziejski wzrok, z którym rodzą się wszystkie ludy Krainy Czarów. Później, jeśli zechcesz, możesz zniszczyć tych, którzy cię skrzywdzili, i śmiać się z piętna wygnańca, gdy staniesz się potężniejszy od wszystkich ludzkich królów.

Walgard zmrużył oczy.

— Jak to? — zapytał powoli.

— Troiło wie szykują się do wojny ze swymi odwiecznymi wrogami, Elfami — odparła. — Niezadługo Illrede, król Trollów, poprowadzi wojsko na Alfheim. Na pewno uderzy najpierw na Imryka, tu, w Anglii, żeby mieć zabezpieczone boki i tyły, gdy później skieruje się na południe. A wśród najlepszych wojów Imryka — ponieważ nie obawia się ani żelaza, ani świętych przedmiotów, a również dlatego, że jest silnym mężem i wielkim czarodziejem — będzie jego przybrany syn Skaflok, który zajmuje należne ci miejsce. Gdybyś popłynął teraz szybko do Illredego, ofiarował mu cenne dary i oddał na jego usługi swe podobne do ludzkich moce, otrzymałbyś wysokie stanowisko w jego zastępach. Przy zdobyciu Elfheugh mógłbyś zabić Imryka i Skafloka, a Illrede bez wątpienia mianowałby cię jarlem brytyjskich ziem Elfów. Później zaś, kiedy poznałbyś magię, stałbyś się jeszcze potężniejszy — tak, możesz nauczyć się, jak naprawić zbrodnię Imryka, zostać prawdziwym Elfem albo Trollem i żyć aż do skończenia świata.

Walgard zaśmiał się szczęśliwie niczym polujący wilk.

— Zaprawdę, dobra to rzecz! — zawołał. — Jako morderca, wygnaniec i nieczłowiek nie mam nic do stracenia, a wiele do zyskania. Jeśli mam się przyłączyć do sił mrozu i ciemności, uczynię to z całego serca i utopię zgryzoty w bitwach, o jakich nigdy nie śniło się ludziom. Och, niewiasto, niewiario, wiele dla mnie zrobiłaś, a choć zły był to czyn, dzięki ci za to!

I jął kochać się z nią dziko. Lecz gdy później odezwał się do niej, jego głos zabrzmiał spokojnie i beznamiętnie na tle szalejącej zawieruchy.

— W jaki sposób dostanę się do Trollheimu? — zapytał. Niewiasta otworzyła skrzynię i wyjęła z niej zawiązany u góry

skórzany worek. — Musisz odplynać w oznaczonym dniu, który ci wskażę — rzekła. — Kiedy twoje statki wypłyną na morze, rozwiąż ten worek. Jest w nim wiatr, który cię tam dowiezie. Posiadasz wówczas czarodziejski wzrok i będziesz mógł zobaczyć osady Trollów.

— A co z moimi załogami?

— Będzie to część twego daru dla Illredego. Trollowie zabawiają się polując na ludzi w górach, a na pewno wyczują, że twe majtkowie to złoczyńcy, za którymi nie ujmie się żaden bóg.

Walgard wzruszył ramionami.

— Skoro mam być Trollem, niech się stanę równie zdradziecki jak oni — powiedział. — Ale co jeszcze mam mu podarować, by mu się spodobało? Illrede na pewno ma dość złota, klejnotów i kosztownych tkanin.

— Daj mu coś lepszego — poradziła niewiasta. — Orm miał dwie ładne córki, a Trollowie są lubieżni. Jeśli zwiążesz je i zakneblujesz im usta tak, by nie mogły się przeżegnać ani wymówić imienia Jezusa...

— Tylko nie one — wyjąkał z przerażeniem Walgard. — Wychowałem się z nimi. Zresztą

wyrządziłem im dość zła.

— Właśnie one — oświadczyła z mocą jego kochanka. — Gdyż jeśli Illrede ma przyjąć cię na służbę, musi mieć pewność, że zerwałeś wszelkie więzy łączące cię z ludźmi.

Mimo to Walgard odmówił. Lecz kochanka lgnęła do niego, całowała i snuła opowieści o wspaniałościach, które go czekają, aż wreszcie się zgodził.

— Zastanawiam się, kim ty jesteś, o najgorsza i najpiękniejsza z niewiast — rzekł.

Roześmiała się cicho, tuląc się do jego piersi.

— Zapomnisz o mnie, gdy posiądziesz kilka Elfin.

— Nie, nigdy cię nie zapomnę, ukochana, która okiełznałaś kogoś takiego jak ja.

Niewiasta zatrzymała Walgarda w swym domu tak długo, jak uważała za stosowne, udając, że szykuje zaklęcia mające przywrócić mu podwójny wzrok, i snując opowieści o Krainie Czarów. Ale to wcale nie było potrzebne, gdyż jej uroda i miłosny kunszt przykuły go do niej mocniej niż najtęższe łańcuchy.

Śnieg zaczął padać o zmierzchu, gdy wreszcie rzekła:

— Lepiej będzie, jeśli wyruszysz teraz.

— Wyruszymy — odparł. — Musisz popłynąć ze mną, albowiem nie mogę bez ciebie żyć. — Mówiąc to pieścił ją czule. — Jeśli nie pójdziesz dobrowolnie, wezmę cię siłą, ale musisz być ze mną.

— Dobrze — westchnęła. — Chociaż możesz zmienić zdanie, kiedy obdarzę cię czarodziejskim wzrokiem.

Wstała, spojrzała na siedzącego męża i pogładziła go po twarzy. Na jej ustach zaigrał smutny uśmiech.

— Nienawiść to okrutna pani — szepnęła. — Nie sądziłam, że znów zaznam radości, Walgardzie, ale serce mi się kraje, gdyż muszę cię pożegnać. Życzę ci szczęścia, najdroższy. A teraz — musnęła koniuszkiem palców jego powieki — spójrz!

I Walgard zobaczył.

Schludny domek i wysoka, białolica niewiasta rozwiały się jak mgła. Przerażony odmieniec zapragnął zobaczyć je nie zaślepionymi przez czary śmiertelnymi oczami, lecz takimi, jakimi były one naprawdę...

Siedział w chałupie z plecionych gałęzi oblepionych gliną, gdzie małe ognisko z krowiego nawozu rzucało słabe światło na kupy kości i szmat, na zardzewiałe metalowe narzędzia i powykrzywiane czarodziejskie przybory. Zajrzał w oczy wiedźmie, której twarz była maską z pomarszczonej skóry naciągniętej na bezzębną czaszkę. Do jej wyschłej piersi tulił się szczur.

Oszalały z przerażenia, podniósł się z trudem. Czarownica spojrzała nań z ukosa.

— Ukochany, ukochany — zarechotała — czy pójdziemy na twój statek? Przysięgałeś, że nie rozstaniesz się ze mną.

— Przez ciebie zostałem wygnańcem! — zawył Walgard. Chwycił topór i zaatakował ją. Ale gdy się zamachnął, ciało wiedźmy skurczyło się. Dwa szczury przebiegły przez polepę. Topór uderzył w ziemię w chwili, kiedy skryły się w norze.

Pieniać się z wściekłości Walgard wziął patyk i wsunął go do ognia. Kiedy się zapalił, dotknął nim szmat i słomy. Stał na zewnątrz, gdy płonęła chałupa czarownicy, gotów zarażać wszystko, co mogłoby się pokazać. Lecz widział tylko skaczące języki ognia, słyszał świst wiatru i syk topniejącego śniegu.

Kiedy z chaty pozostały tylko popioły, odmieniec zawołał:

— Przez ciebie straciłem dom, rodzinę i nadzieję, przez ciebie postanowiłem wyrzec się życia wśród ludzi i udać do krainy ciemności, przez ciebie stałem się Trollem! Posłuchaj mnie, wiedźmo, jeśli jeszcze żyjesz. Zrobię, jak mi radziłaś. Zostanę jarlem Trollów w Anglii — a

pewnej nocy może i królem całego Trollheimu — i zapoluję na ciebie używając każdej mocy, jaką wtedy będę władał. Ty także, podobnie jak ludzie, Elfowie i wszyscy, którzy staną mi na drodze, poczujesz mój gniew. Nie spocznę, póki nie obedrę cię żywcem ze skóry za to, że za pomocą mamidła złamałaś mi serce!

Odwrócił się i pobiegł na wschód. Wkrótce zniknął w śnieżycy. Skuleni pod ziemią czarownica i jej Chowaniec uśmiechnęli się do siebie. Było tak, jak to sobie ułożyli.

* * *

Załogi statków Walgarda składały się z najgorszych Wikingów. Większość z nich została wygnana z ojczyzny, a wszyscy byli niemile widziani, dokądkolwiek się udali. Dlatego odmieniec nabył włość, żeby mieli gdzie zimować. Mieszkali wygodnie, obsługiwani przez niewolników, lecz byli tak kłótniwi i niesforni, że tylko ich przywódca mógł utrzymać ich razem.

Kiedy dowiedzieli się o zbrodni Walgarda, zrozumieli, że upłynie niewiele czasu, zanim mężowie z krainy Duńczyków przybędą, aby z nimi skończyć. Oporządzili więc statki i przygotowali się do odpłynięcia. Ale nie mogli dojść do porozumienia w sprawie, czy powinni wyruszyć teraz, w zimie, i kłócili się strasznie, a nawet walczyli ze sobą. Gdyby Walgard nie powrócił, mogliby siedzieć tak do chwili, aż napadliby na nich wrogowie.

Odmieniec wszedł do dworu po zachodzie słońca. Barczyści, zarośnięci mężowie siedzieli opróżniając róg za rogiem. Można było ogłuchnąć od ich krzyku. Wielu chrapało na podłodze obok psów, inni wrzeszczeli i handryczyli się, a widzowie raczej podbechtywali ich, niż godzili. Tu i tam w ruchliwym blasku ogniska biegali przerażeni niewolnicy i niewiasty, które już dawno wypłakały oczy.

Walgard podszedł do pustego, wysokiego krzesła — wielka przerażająca postać z miną bardziej ponurą niż kiedykolwiek dotąd, i wielkim toporem zwanym Bratobójcą na ramieniu. Gdy majtkowie zobaczyli go, w wielkiej izbie stopniowo zapanowała cisza tak głęboka, że słychać było tylko trzask ognia.

Walgard przemówił:

— Nie możemy tu pozostać. Chociaż nigdy nie byliście we dworze Orma, okoliczni mieszkańcy wykorzystają to, co się stało, żeby się was pozbyć. To nawet dobrze się składa. Znam miejsce, gdzie możemy zdobyć wielkie bogactwa i sławę. Wyruszymy tam pojutrze o świcie.

— Gdzie to jest i dlaczego nie odpłyniemy jutro? — zapytał jeden z kapitanów, pokryty bliznami starzec imieniem Steingrim.

— Co do tego ostatniego, to muszę załatwić tu w Anglii pewną sprawę, którą zajmujemy się jutro — odrzekł Walgard. — A co się tyczy pierwszego, to naszym celem jest Finlandia.

Wybuchła wrzawa. Steingrim podniósł głos i oświadczył:

— Jest to najgłupsza gadanina, jaką kiedykolwiek słyszałem. Finlandia jest biedna i leży po drugiej stronie morza, które bywa niebezpieczne nawet w lecie. Cóż możemy zdobyć poza śmiercią przez utonięcie lub z rąk czarowników, którzy tam mieszkają, a w najlepszym wypadku poza kilkoma ziemiankami, dającymi schronienie przed słońcem. W zasięgu ręki mamy przecież Anglię, Szkocję, Irlandię, Orkady albo Walonię na południe od Kanału, gdzie można zdobyć bogate łupy.

— Wydałem rozkazy. Będziesz ich słuchał — rzekł z mocą Walgard.

— Ja nie — odparł Steingrim. — Myślę, że zwariowałaś w tym lesie.

Odmieniec skoczył jak żbik na opornego kapitana. Jego topór rozwalił Steingrimowi głowę.

Jakiś majtek wrzasnął, chwycił włócznię i pchnął nią Walgarda. Berserker zrobił krok w bok, wyrwał drzewce z rąk przeciwnika i powalił go na ziemię. Wyciągnąwszy topór z czaszki

Steingrima, odmieniec stał nieruchomo w słabym świetle ogniska i mierzył majtków lodowatym spojrzeniem. Zapytał spokojnie: — Czy jeszcze ktoś chce kwestionować moje rozkazy?

Nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Walgard cofnął się do swego wysokiego krzesła i powiedział: — Postąpiłem tak ostro, gdyż nie możemy działać równie swobodnie jak dawniej. Zginiemy, chyba że staniemy się jako jeden mąż, ja zaś będę jego głową. Wiem, że na pierwszy rzut oka mój plan wygląda na nierozważny, ale Steingrim powinien był wysłuchać mnie do końca. Dowiedziałem się, że tego lata pewien bogacz zbudował sobie dwór w Finlandii. Jest tam wszystko, czego dusza zapagnie. Nie będą się spodziewali Wikingów zimą, więc łatwo go zdobędziemy. Nie obawiam się też złej pogody, gdyż jak wiecie, potrafię dość dobrze ją przewidywać i czuję, że zbliża się pomyślny wiatr.

Majtkowie przypomnieli sobie, jak wiele zyskali pod wodzą Walgarda. A Steingrim nie miał wśród nich ani krewnych, ani przyjaciół. Zawołali więc, że pójda wszędzie za Walgardem. Kiedy usunięto ciało i pijatyka rozpoczęła się od nowa, berserker zawołał swych kapitanów.

— Zanim opuścimy Anglię, złupimy pewne miejsce położone w pobliżu — rzekł. — Nie będzie to trudne i zdobędziemy tam wiele skarbów.

— Co to za miejsce? — zapytał któryś.

— Dwór Orma, zwanego Silnym, który nie żyje i nie może go strzec.

Nawet tacy rozbójnicy jak oni uważali, że byłby to zły czyn, ale nie śmieli się sprzeciwić swemu przywódcy.

IX

Uczta wydana na cześć zmarłego Ketila stała się również stypą po Asmundzie i Ormie. Zasepieni goście pili w milczeniu, gdyż Orm był mądrym wodzem i chociaż nie chodził do kościoła, wszyscy go lubili, podobnie jak jego synów. Ziemia nie zamarzła jeszcze zupełnie i następnego dnia po zabójstwie parobcy zaczęli kopać dół.

Do grobu zaciągnięto najlepszy statek Orma. Włożono doń skarby i tyle żywności i napojów, by starczyło na długą podróż; zabito psy i konie i również umieszczono je na statku. Złożono tam też i tych, których zabił Walgard, odzianych w najlepsze szaty, z bronią i wszelkim ekwipunkiem, w piekielnych ciźmach na nogach. Orm pragnął być tak pochowany i nakłonił żonę, żeby mu to obiecała.

Kilka dni później, kiedy wszystko było gotowe, Elfryda podeszła do otwartej mogiły. Stała w szarym świetle zimowego poranka, spoglądając na Orma, Ketila i Asmunda. Rozpuszczone włosy wdowy spadały na piersi umarłych, zasłaniając jej oblicze przed oczami obecnych.

— Ksiądz powiedział, że byłby to ciężki grzech, gdybym zabiła się teraz i spoczęła obok was — szepnęła. — Czeka mnie ciężki żywot. Ketilu i Asmundzie, byliście dobrymi synami i wasza matka tęskni za waszym śmiechem. Wydaje mi się, że dopiero wczoraj śpiewałam wam do snu kołysanki. Byliście wtedy tacy mali. Potem nagle staliście się długonogimi młodzieńcami, na których przyjemnie było popatrzeć. I Orm, i ja byliśmy z was dumni... a teraz leżycie tak spokojnie, tylko płatki śniegu padają wam na twarze. To dziwne... — Potrząsnęła głową. — Nie mogę zrozumieć, że was już nie ma. To nie może być prawdą.

Uśmiechnęła się do Orma. — Często się kłóciliśmy — szepnęła — ale to nic nie znaczyło, gdyż mnie kochałeś, a ja... kochałam ciebie. Byłeś dla mnie dobry, Ormie, i teraz, kiedy umarłeś, świat stał się taki pusty i zimny. Proszę wszechmocnego Boga, żeby wybaczył ci to, co zrobiłeś wbrew Jego przykazaniom. Albowiem nie wiedziałeś wielu rzeczy, choć umiałeś żeglować na statku i własnoręcznie robić dla mnie półki i skrzynie lub rzeźbić zabawki dla dzieci... A jeśli Bóg nie przyjmie cię do nieba, modłę się, aby pozwolił mi pójść do piekła, żebym mogła być z tobą... Tak — choć odchodzisz do swych pogańskich bogów, poszłabym za tobą. A teraz żegnaj, Ormie, którego kochałam i nadal Kocham.

Nachyliła się i pocałowała go.

— Zimne są twoje wargi — powiedziała i w oszołomieniu rozejrzała się dookoła. — Dlatego nie chcesz mnie pocałować. Ten Martwy mąż na statku to nie ty, więc gdzie jesteś, Ormie?

Sprowadzono ją z pokładu i żałobnicy długo pracowali zasypując ziemią statek i zbudowaną nad nim komorę grzebalną. Kiedy skończyli, nad morzem stanął wielki kurhan i fale sunęły po piasku, by nucić pieśni żałobne u jego podnóża.

Ksiądz, który nie pochwałał pogańskiego pogrzebu, nie chciał poświęcić ziemi, ale zrobił wszystko, co mógł, i Asgerd zapłaciła mu za wiele mszy za dusze ojca i braci.

Wśród żałobników był pewien młodzian, Erlend, syn Thorkela, narzeczony Asgerd. — Pusty jest ten dwór, gdy odeszli z niego mężowie — powiedział do niej.

— W istocie — odparła dziewczyna. Zimny morski wiatr sypał śniegiem i mierzwił jej długie pukle.

— Lepiej będzie, jeżeli zostaną tu wraz z kilkoma przyjaciółmi i doprowadzę wszystko do porządku — dodał. — Później pobierzemy się, Asgerd, i twoja matka i siostra zamieszkają z nami.

— Nie wyjdę za ciebie, póki Walgard nie zostanie powieszony, a jego ludzie nie spłoną w ich

własnym domu — oświadczyła gniewnie.

Erlend uśmiechnął się niewesoło.

— Nie będziesz długo czekała. Już dziś strzała wojny przechodzi z rąk do rąk. Jeżeli nie uciekną wcześniej niż przypuszczam, nasz kraj wkrótce pozbędzie się tej zarazy.

— To dobrze. — Skinęła głową Asgerd.

Większość przybyłych na stypę gości już odjechała, lecz mieszkańcy dworu nadal siedzieli za stołem w towarzystwie Erlenda i pół tuzina innych mężów. Gdy zapadła noc, począł dać silny wiatr, niosąc na skrzydłach śnieg. Potem zaczął sypać grad, niczym nocni robotnicy tupiący na dachu. Wielka izba była ciemna i posepna; ludzie skupili się w jednym kącie. Mówili niewiele, a rogi często krążyły.

Raz Elfryda przerwała milczenie:

— Wydaje mi się, że słyszę coś na zewnątrz — rzekła.

— Ja nie — odparła Asgerd. — Zresztą dziś wieczorem nikt nie wyruszyłby w drogę.

Freda, której nie podobał się przygaszony wzrok matki, dotknęła jej ręki i powiedziała nieśmiało: — Nie jesteś zupełnie sama. Twoje córki nigdy o tobie nie zapomną.

— Tak, tak. — Elfryda uśmiechnęła się lekko. — Tak, nasienie Orma żyć będzie w was. Słodkie noce, które razem spędziliśmy, nie poszły na marne... — Spojrzała na Erlenda. — Bądź dobry dla małżonki. Pochodzi z rodu wodzów.

— Jakże mógłbym być dla niej niedobry?! — zapytał.

Nagle rozległo się walenie do drzwi. Głośny okrzyk zagłuszył wycie wiatru: — Otwierać! Otwierać albo rozbijemy drzwi!

Mężowie sięgnęli po broń, gdy niewolnik otworzył drzwi — i zginął na miejscu, zarąbany toporem. Do przedsionka wszedł 5 Walgard, wysoki, ponury, w zaśnieżonym odzieniu, osłonięty z obu stron tarczami swoich Wikingów.

Przemówił: — Niech niewiasty i dzieci wyjdą na zewnątrz, a daruję im życie. Dwór jest otoczony przez moich ludzi i zamierzam go spalić.

Cięnięta przez kogoś włócznia z brząkiem odbiła się od jednej z okutych żelazem tarcz. Śwąd dymu stał się silniejszy niż powinien.

— Czy nie dość ci tego, co już uczyniłeś? — zawołała Freda. — Możesz spalić ten dom, ale ja raczej zostanę w środku, niż się zgodzę, żebyś darował mi życie.

— Naprzód! — krzyknął Walgard i zanim ktokolwiek mógł go powstrzymać, wraz z tuzinem swych Wikingów wpadł do wielkiej izby.

— Po moim trupie! — zawołał Erlend. Wyciągnął miecz i zaatakował Walgarda. Topór zwany Bratobójcą zakreślił łuk w powietrzu, z brząkiem odtrącił na bok brzeszczot Erlenda i zagłębił się między żebrami nieszczęśnika. Erlend runął na ziemię. Walgard przeskoczył przez trupa i złapał Fredę za rękę. Inny Wiking schwytał Asgerd. Pozostali utworzyli wokół nich zbrojny krąg. Chronieni przez kolczugi i pancerze, bez trudu przebili się do drzwi, zabijając trzech obrońców.

Kiedy napastnicy opuścili dwór, pozostali przy życiu przyjaciele Erlenda uzbroili się lepiej i próbowali zrobić wypad, lecz zostali zabici lub zapędzeni z powrotem do środka przez wojowników, którzy stali przy każdym wejściu. Elfryda krzyknęła i pobiegła do drzwi. Wikingowie przepuścili ją.

Walgard właśnie kończył wiązać ręce Asgerd i Fredzie i przymocował tam sznury, by ciągnąć dziewczęta siłą, gdyby nie chciały iść same. Dach dworu palił się już jasnym płomieniem. Elfryda uczepliła się ramienia Walgarda i wołała szlochając wśród huku ognia:

— Jesteś gorszy od wilka. Jakie nowe nieszczęście szykujesz dla ostatnich krewnych? Czemu zwracasz się przeciw własnym siostram, które nigdy nie uczyniły ci nic złego? Jak możesz

deptać serce swojej matki? Pozwól im odejść, pozwól im odejść!

Oczy Walgarda spoglądały na nią zimno w nieruchomej jak maska twarzy. — Nie jesteś moją matką — rzekł w końcu i uderzył ją. Elfyda upadła nieprzytomna na śnieg. Odmieniec odwrócił się i dał znak swoim ludziom, żeby zawlekli branki do zatoki, gdzie znajdowały się jego statki wyciągnięte na brzeg.

— Dokąd nas zabierasz? — szlochała Freda, a Asgerd plunęła mu w twarz.

Na ustach Walgarda zagrał lekki uśmiezek. — Nie zrobię wam nic złego — rzekł. — Raczej oddam wam przysługę, gdyż ofiaruję was pewnemu królowi. — Westchnął. — Zazdroszczę mu. Tymczasem jednak, znając moich ludzi, będę czuwał nad wami.

Niewiasty, które nie chciały zginąć w płomieniach, wyprowadziły dzieci na zewnątrz. Napastnicy wykorzystali je, ale później puścili wolno. Inne pozostały we dworze ze swymi mężami. Języki ognia strzelały wysoko, oświetlając całe gospodarstwo, i niezadługo zapaliły się także inne budynki, lecz dopiero po tym, jak napastnicy ograbili je.

Walgard oddalił się, kiedy tylko zyskał pewność, że wszyscy w środku zginęli. Wiedział bowiem dobrze, iż sąsiedzi zauważą pożar i przybędą z posiłkami. Wikingowie spuścili statki na wodę i wypłynęli na pełne morze, wiosłując pod wiatr, który pędził lodowate fale na pokład.

— Przy takiej pogodzie nigdy nie dotrzemy do Finlandii — gderał sternik Walgarda.

— Jestem innego zdania — rzekł odmieniec. O świcie, jak mu powiedziała czarownica, rozwiązał skórzany worek. Wiatr od razu zmienił kierunek i począł dąć od rufy, prosto na północny wschód. Rozpięto żagle i statki” dosłownie skoczyły do przodu.

Kiedy sąsiedzi dotarli do włości Orma, znaleźli tylko dymiące zgliszcza. Kilka niewiast i dzieci snuło się dookoła, szlochając w szarym świetle poranka. Tylko Elfyda nie płakała ani nic nie mówiła. Siedziała na kurhanie bez ruchu, pustymi oczyma wpatrując się w morze, a wiatr targał jej włosy i odzież.

* * *

Przez trzy dni i trzy noce statki Walgarda płynęły gnane zawieruchą. Jeden zatonął, lecz zdołano uratować większość załogi. Pozostali majtkowie bez końca wyczerpywali wodę i szemrali, ale obecność Walgarda dusiła w zarodku każdą myśl o buncie.

Niemal cały ten czas odmieniec stał na dziobie swego statku, owinięty w długi skórzany płaszcz, pokryty zaskorupiałą solą i szronem, i rozmyślał. Raz jakiś majtek chciał mu się przeciwstawić, więc zabił go na miejscu, a ciało wyrzucił za burtę. Sam mówił niewiele, co odpowiadało załodze, gdyż nie chcieli, aby spoglądał na nich tak dziwnie.

Nie reagował na prośby Fredy i Asgerd, żeby powiedział im dokąd płyną, lecz karmił je dobrze i poił, dał schronienie pod pokładem dziobowym i nie pozwolił niepokoić swoim ludziom.

Początkowo Freda nie chciała jeść. — Nie przyjmę nic od tego mordercy — powiedziała. Smutki soli na jej policzkach pochodziły nie tylko z morskiej wody.

— Jedz, żeby zachować siły — poradziła jej Asgerd. — Nie bierzesz od niego nic, gdyż wszystko to zrabował, a może nadarzy się nam okazja do ucieczki. Jeśli poprosimy Boga o pomoc...

— Tego wam zabraniam — wtrącił Walgard, który podsłuchiwał ich rozmowę — i jeśli usłyszę jakiegokolwiek słowo tego rodzaju, zaknebluję was.

— Zrobisz, co zechcesz — odparła Freda — lecz modlitwa bardziej płynie z serca niż z ust.

— Jest równie nieprzydatna w obu tych miejscach — wyszczerzył zęby berserker. — Niejedna niewiasta skrzeczała do swego Boga, kiedy ją dopadłem, ale niewiele jej to pomogło. Nie chcę więcej słyszeć żadnych rozmów o bogach na tym statku. — Walgard nie oczekiwał dla

nich pomocy z nieba, po prostu chodziło o to, że pozbawione duszy ludy Krainy Czarów tak dobrze znały magię, iż Moc większa niż ich własna, o której w dodatku wiedziały, że nigdy nie zdołają jej zrozumieć, budziła w nich paniczny lęk nawet poprzez zwykłe swe imiona i znaki. Dlatego odmieniec nie chciał niepotrzebnie ryzykować, a tym bardziej nie pragnął, żeby mu przypomniano o tym, czego nigdy nie miał.

Zamyślił się znów, a siostry zamilkły. Majtkowie również niewiele mówili, toteż słyhać było jedynie świst wiatru w takielunku, szum morza i potrzaskiwanie belek. W górze płynęły szare chmury, z których na przemian sypał śnieg lub grad. Statki kołysały się samotnie na falach.

Trzeciego dnia przed nocą, pod wiszącym nisko niebem tak szarym, że samo mogłoby sprowadzać zmierzch, zobaczyli Finlandię. Fale rozbijały się o białawe klify. Ich szczyty były niemal nagie, tyko gdzieniegdzie pokryte śniegiem i lodem i porośnięte nielicznymi koślawymi drzewkami.

— To brzydka kraina — zdrygnął się sternik Walgarda — i wcale nie widzę dworu, o którym mówiłeś.

— Skieruj statek do tego fiordu przed nami — rozkazał odmieniec.

Wiatr dosłownie wpełznął ich do fiordu, dopóki posępne skały nie zagroziły im drogi. Majtkowie obniżyli maszty, wyciągnęli wiosła i statki popłynęły o zmierzchu w stronę kamienistej plaży. Walgard wyteżył wzrok i zobaczył Trollów.

Nie byli tak wysocy jak on, ale prawie dwa razy szersi, o grubych jak konary, sięgających kolan ramionach. Ich skóra była zielona, wilgotna i zimna i poruszała się po twardym jak skała ciele. Niewielu miało włosy, a ich wielkie, okrągłe głowy o płaskich nosach, ogromnych ustach, z których wystawały długie kły, i ostro zakończonych uszach przypominały trupie czaszki. Głęboko osadzone oczy Trollów nie posiadały białek i wyglądały jak przepastne czarne jamy.

Większość nie nosiła odzieży lub tylko kilka skór, choć wiatr był mroźny. Uzbrojeni byli w maczugi, topory, włócznie, strzały i proce, wszystkie zbyt ciężkie, by mogli podnieść je ludzie. Lecz niektórzy mieli na sobie hełmy i kolczugi oraz broń z brązu albo z elfowych stopów.

Walgard zdrygnął się na ich widok. — Czy zrobiło ci się zimno? — zapytał jakiś majtek.

— Nie... nie... to nic takiego — mruknął. A w duchu dodał: — Mam nadzieję, że czarownica mówiła prawdę i że Elfiny są piękniejsze od tych tu. Ale będą z nich wspaniali wojownicy.

Wikingowie wprowadzili statki na płyciznę, po czym wyciągnęli je na brzeg. Później niepewnie stali na plaży. A Walgard zobaczył, iż zbliżają się Troiło wie.

Walka była krótka, lecz straszna, gdyż ludzie nie widzieli swoich wrogów. Coraz to zdarzało się, że jakiś Troll dotknął żelaza i poparzył się, ale większość wiedziała, jak unikać tego metalu. Ich śmiech budził gromowe echa wśród skał, gdy roztrzaskiwali ludziom głowy, rozrywali ich na kawałki lub polowali na nich w górach.

Sternik Walgarda widział, że jego towarzysze giną, podczas gdy wódz stoi bez ruchu, wsparty na toporze. Ryknął z wściekłości i rzucił się na berserkera. — To twoja sprawka! — krzyknął.

— Masz rację! — odparł odmieniec i starł się z nim wśród szczęku stali. Wnet zabił sternika, a tymczasem bitwa na plaży się skończyła.

Dowódca Trollów podszedł do Walgarda. Głazy chrzęściły mu pod stopami. — Słyszeliśmy o twoim przybyciu od nietoperza, który był również szczurem — zagrzemiał po duńsku. — Dziękujemy ci bardzo za wyśmienitą zabawę. Król cię oczekuje.

— Zaraz przyjdę — odrzekł Walgard.

Zdążył już zakneblować siostrą usta i związać im ręce za plecami. Oszołomione tym, co widziały, potykając się szły głębokim wąwozem, później zaś nagim zboczem góry, obok niewidzialnych strażników do jaskini, a stamtąd do komnat Illredego.

Rezydencja króla Trollów była ogromna, wykuta w skale, lecz wspaniale przyozdobiona

bogactwami zrabowanymi Elfom, Niziołkom, Goblinom i innym plemionom Krainy Czarów, a także ludziom. Wielkie gemmy błyszczały wśród pięknych gobelinów, kosztownych pucharów i nakrytych drogocennymi tkaninami stołów z hebanu i kości słoniowej, a ogniska płonące wzdłuż wielkiej sali oświetlały bogate szaty trollowych dostojników i ich dam.

Niewolnicy z ludu Elfów, Niziołków lub Goblinów krążyli wokół z misami mięsa i czarami pełnymi trunków. Była to wspaniała uczta, na którą, oprócz ludzkich niemowląt i dzieci plemion Krainy Czarów, ukradziono bydło, konie, świnie i południowe wina. W zadymionej sali rozbrzmiewała szczekliwa muzyka, jaką lubili Trollowie.

Wzdłuż ścian stali gwardziści równie nieruchomi jak pogańskie bałwany, a czerwonawy blask ognia połyskiwał na grotach ich włóczni. Trollowie siedzący przy stole żarli i żłopali, kłócąc się między sobą grzmiącymi głosami. Lecz wysocy dostojnicy siedzieli bez ruchu w swych rzeźbionych krzesłach.

Spojrzenie Walgarda powędrowało do Illredego. Król był otyły, miał wielką, pomarszczoną twarz i długą brodę z zielonkawych frędzli. Kiedy zwrócił czarne jak atrament oczy na nowo przybyłych, odmieniec poczuł zimny dreszcz strachu na grzbiecie.

— Bądź pozdrowiony, wielki królu — rzekł starając się nie okazać lęku. — Jestem Walgard, zwany Berserkerem. Przybywam z Anglii, by poszukać miejsca w twym wojsku. Powiedziano mi, że jesteś ojcem mojej matki i bardzo chciałbym odzyskać należne mi dziedzictwo.

Illrede skinął głową w złotej koronie. — Wiem o tym — powiedział. — Witaj w Trollheimie, twojej ojczyźnie, Walgardzie. — Przeniósł wzrok na córki Orma, które nie mając sił stać usiadły obok siebie. — A to co za jedne?

— To mały podarunek — odparł odmieniec. — Dzieci mego przybranego ojca. Mam nadzieję, że ci się spodobają.

— Cha-cha, cha-cha, cha, cha! — Śmiech Illredego szokował w zapadłej nagle ciszy. — To piękny dar! Już dawno nie trzymałem w ramionach ludzkiej dziewy... Tak, witaj, witaj, Walgardzie!

Zeskoczył na podłogę, która wydała głuchy odgłos pod jego ciężarem, i podszedł do skulonych dziewcząt. Freda i Asgerd rozglądały się dookoła z przerażeniem. Można było z łatwością odczytać ich myśli: — Gdzie jesteśmy? W ciemnej pieczarze, Walgard przemawia do pustki, ale te echa nie pochodzą od jego głosu...

— Powinnyście zobaczyć wasz nowy dom — zarechotał Illrede i dotknął ich powiek. Natychmiast otrzymały czarodziejski wzrok i ujrzały Króla Trollów pochylającego się nad nimi. Straciły resztki odwagi i nawet przez zakneblowane usta słyszeć było ich przeraźliwe okrzyki.

Illrede znów wybuchnął śmiechem.

X

Najazd Elfów na Trollheim miał być czymś wyjątkowym. Pięćdziesiąt długich statków obsadziły załogi złożone z najlepszych wojowników spośród brytyjskich Elfów, a maskowały je i chroniły czary Imryka i jego najmądrzejszych czarowników. Sądono, że pod ich osłoną zdołają niepostrzeżenie dopłynąć do samych fiordów królestwa Trollów w Finlandii; lecz jak daleko uda się Elfom wdrzeć w głąb kraju, będzie zależało od oporu, jaki tam napotkają. Skaflok miał nadzieję, że zdołają dotrzeć do komnat Illredeggo i przywieźć głowę władcy Trollów. Palił się do tej wyprawy.

— Ale nie bądź zbyt nieostrożny — ostrzegł go Imryk. — Zabijaj i pal, lecz nie trać wojów w zwyczajnych utarczkach. Więcej zyskamy, jeżeli poznamy ich siłę, niż jeśli wytniesz tysiąc Trollów.

— Zrobimy i jedno, i drugie — uśmiechnął się szeroko Skaflok. Stał niespokojnie jak młody ogier, oczy mu płonęły, a spod opaski wymykały się bujne jasne włosy.

— Nie wiem, nie wiem. — Imryk miał poważną minę. — Przeczuję, że nic dobrego nie wyniknie z tej wyprawy i chętnie odwołałbym ją.

— Jeśli tak uczynisz, popłyniemy bez pozwolenia — oświadczył Skaflok.

— Tak, zrobicie to. A ja mogę się mylić. Płyn więc i niech szczęście ci sprzyja.

Pewnej nocy tuż po zachodzie słońca wojownicy wsiedli na statki. Wschodzący księżyc rzucał srebrne snopy promieni i pasma cieni na szczyty i urwiste zbocza elfowych wzgórz, na morski brzeg, z którego wyrastały, i na chmury gnane wiatrem, napelniającym całe niebo przenikliwym świstem. Księżycowa poświata iskrzyła się i rwała na białogrzywych falach rozbijających się z hukiem o skały, migotała na bronii i zbrojach elfowych wojowników, podczas gdy wyciągnięte na ład czarno — białe statki wyglądały jak cienie i świetlne błyski.

Owinięty w płaszcz Skaflok stał czekając na resztę swych żołnierzy. Lekki wiatr rozwiewał mu włosy. Wtedy przyszła do niego Leea, błada w księżycowym blasku, z błyszczącymi oczyma, w chmurze srebrzystozłoty chmurki.

— Dobrze, że cię widzę — zawołał Skaflok. — Życz mi udanej podróży i zaśpiewaj mi piosenkę na szczęście.

— Nie mogę pożegnać cię jak należy, gdyż nie potrafię przeniknąć przez twoją żelazną kolczugę — odparła cicho głosem, który brzmiał jak szept wiatru, szmer wody i dźwięk dzwoneczków słyszany z daleka. — Przeczuję, że moje czary na nic się nie zdadzą wobec czekającego cię złego losu. — Spojrzała mu w oczy. — Wiem na pewno, że płyniesz prosto w pułapkę i proszę cię przez wzgląd na mleko, którym cię karmiłam, gdy byłeś dzieckiem, i pocałunki, które ci dawałam, kiedy stałeś się mężem, zostań w domu ten jeden jedyny raz.

— Zaiste, byłby to wspaniały czyn, godny elfowego wielmoży, dowodzącego wyprawą, z której może przywieźć głowę wroga — odparł z gniewem Skaflok. — Dla nikogo nie niżylbym się do tak haniebnego postępu.

— Tak, tak, wiem. — I nagle lzy zabłyśły w oczach Leei.

— Ludzie żyją tak krótko, a mimo to już za młodu rzucają się w objęcia śmierci, jakby była piękną dziewczyną. Skafloku, przed kilku laty kołysałam cię w kolebce, zaledwie kilka miesięcy temu spałam z tobą w jasne letnie noce i dla mnie, nieśmiertelnej, wszystko jest prawie takie same jak wówczas. I nie będzie innym dzień — a nadejdzie w mgnieniu oka — gdy twój porąbany na kawałki trup stanie się żarem dla kruków. Nigdy cię nie zapomnę, Skafloku, ale lękam się, że pocałowałam cię po raz ostatni. — I zaśpiewała:

*Dziś wieczorem wieje wiatr ku morzu,
A niespokojna żeglarka brać
Opuszcza domy, by mknąć z mewami
I orać fale dziobami łodzi.
Nie zatrzymają ich niewiast ramiona,
Ni ognia blask, ni dzieci płacz,
Kiedy druh — wiatr opowie im
O falach i prądów morskich zabawie.
Utuli ich srebrzysta piana i giętkie wodorosty.*

*Wietrze, o wietrze, stary wędrowcze,
Szary i szybki, czy się nie lękasz
Niewieścich przekleństw, gdy od ich boku
Odrywasz żeglarzy na śmierć i zgubę?
Roześmiane fale, zimne i słone,
Ułożą ich w wilgotnym grobie,
Kiedy oddadzą morzu swe życie.
A ich niewiasty włosy rwać będą.*

Skaflokowi nie spodobała się ta pieśń, gdyż niosła zapowiedź nieszczęścia. Odwrócił się do swych wojowników i zawołał, żeby spuścili korabie na wodę i weszli na pokład. Ale skoro tylko znalazł się na pełnym morzu, na nowo ogarnął go zapał i zapomniał o złych przeczuciach.

— Ten wiatr wieje już od trzech dni — powiedział Goltan, jego towarzysz broni. — I czuć w nim czary. Może jakiś czarownik płynie na wschód.

— To miłe z jego strony, że zaoszczędził nam trudu przyzywania naszego wiatru — roześmiał się Skaflok. — Ale jeśli płyną na wschód przez trzy dni, to jego statek zbudowały śmiertelne ręce. My popłyniemy znacznie szybciej.

Podniesiono maszty, rozwinięto żagle i smukły statek ze smoczą głową na dziobie ruszył w podróż. Płynęli jak wiatr, jak śnieg, jak zamarzający pył wodny, biały w świetle księżyca, a fale wrzały w ich kilwaterze, gdy mknęli lekko po niespokojnych wodach. Elfowie podróżowali najszybciej ze wszystkich ludów Krainy Czarów — czy to pieszo, konno,

Czy statkiem — i przed północą zobaczyli z oddali klify Finlandii.

Skaflok wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. Ułożył takie oto strofy:

*Elfowie przybyli wcześniej
Na wschód do Trollheimu,
By śpiewać pieśni włóczni
I miecza.
Przywieźli Trollom
Wspaniałe dary:
Zmiażdżone czaszki,
Rozpłatanе brzuchy.
Trollowie miotać się będą
(Posłuchaj tej wrzawy).
Strach przed pochodniami
Skręci im bebechy.*

*Bracie, bądź dobry
Dla nieszczęsnych Trollów:
Gdy bolą ich głowy,
Zetnij im je gładko.*

Zgromadzeni na pokładach statków Elfowie wybuchnęli śmiechem, opuścili maszty, zwinęli żagle i zasiedli do wiosł. Gotowa do boju flota wpłynęła do fiordu, ale wojownicy nie spostrzegli żadnych wrogich wartowników. Zamiast tego ujrzeli inne korabie wyciągnięte na plażę — trzy drakkary śmiertelników, których załogi leżały poszarpane na kawałki wśród skał.

Skaflak zeskoczył na brzeg z mieczem w dłoni; jego płaszcz trzepotał na wietrze. — To dziwne — powiedział zaniepokojony.

— Wygląda na to, że schronili się tu przed burzą, a Trollowie napadli na nich — odparł Goltan. — Stało się to niedawno — spójrz, dotknij, krew jeszcze nie zakrzepła i ciała są ciepłe — więc zabójcy mogą być teraz w komnatach Illredeggo składając meldunek.

— Zatem mamy fantastyczne szczęście! — zawołał Skaflak, który nie oczekiwał, że uda mu się zeskoczyć Trollów. Zamiast dać w róg, dał znak mieczem. Ani on, ani Elfowie nie zawracali sobie głowy zabitymi, którzy przecież byli tylko ludźmi.

Elfowie zeskoczyli na płyciznę i wyciągnęli statki na brzeg. Kilku pozostało na straży, podczas gdy Skaflak poprowadził główny oddział drogą wiodącą w głąb łądu.

Przebyli wąwóz, w którym śmiertelnicy nic by nie widzieli, i wyszli na zbocze góry, gdzie osłepiająco iskrzył się śnieg, a szczyty turni szarpały niebo. Wiatr wył i uderzał ich zimnymi dłońmi. Postrzępione chmury przepływały przez tarczę księżycy — mogło się wydawać, że mruga on niespokojnie. Zwinni jak koty Elfowie wspięli się po stromych skałach, kierując się w stronę jaskini, która ziała w zboczu.

Kiedy podeszli bliżej, spostrzegli wychodząc stamtąd grupę Trollów, najprawdopodobniej oddział strażników nabrzeżnych, którzy wracali na swoje posterunki. Skaflak zawołał, zagłuszając świst wiatru: — Szybko, wyciąć ich w pień!

Skoczył jak pantera, a za nim — Elfowie. Nim Trollowie zorientowali się, co się dzieje, rozległ się świst metalu i był to ostatni dźwięk, jaki usłyszeli. Oczywiście odgłosy walki dotarły do osady Trollów i kiedy wojownicy Skafloka weszli do jaskini, napotkali rosnący opór.

W tunelu wiodącym w głąb góry szcęk broni rozbrzmiewał ze zdwojoną siłą. Bojowe okrzyki Elfów i grzmiące wołania Trollów nierównym echem odbijały się od ścian. Skaflak i Goltan szli na czele, tarcza obok tarczy, zadając ciosy ponad górną krawędzią. Powolniejsi Trollowie, na ogół nie chronieni zbroją, padali pod ich ostrymi brzeszczotami.

Jakiś wojownik pchnął Skafloka włócznią grubą niczym młode drzewo. Wychowanek Imryka wychwycił cios tarczą, odtrącił drzewce na bok i zaatakował przeciwnika. Żelazny brzeszczot Skafloka przebił ramię Trolla i zatrzymał się w sercu. Nagle kątem oka dojrzał maczugę, której cios spadał na niego z lewej. Mogłaby zmiażdżyć mu hełm i czaszkę. Zasłonił się tarczą, maczuga zadzwoniła na żelaznym okuciu, a siła uderzenia była tak wielka, że Skaflak zachwiał się na nogach i cofnął o krok. Musiał przykleknąć na jedno kolano, zdołał jednak uwolnić swój miecz i od dołu podciął nogę Trollowi. Wstając zatoczył brzeszczotem szeroki łuk i głowa innego Trolla spadła z karku.

Obrońcy cofali się krok za krokiem, aż znaleźli się w wielkiej jaskini. Elfowie krzyknęli z radości, że jest dość miejsca na sposób walki, który znali najlepiej. Wojownicy zdjęli z pleców łuki i szaropióre strzały pomknęły spoza pierwszego szeregu Elfów, w którym walczył Skaflak, i jak grad spadły między Trollów. Kiedy obrońcy próbowali się wycofać, ich szyk załamał się i bitwa rozbiła się na wiele pojedynków. Nie chroniony kolczugą Troll rzadko mógł stawić czoło

skaczącej, robiącej uniki i dżgającej smudze, która była Elfem.

Niektórzy z atakujących zginęli z roztrzaskanymi czaszkami lub podziurawioną skórą, wielu odniosło rany, ale dla Trollów bitwa ta stała się krwawą rzezią. Mimo to gwardia królewska stała niewzruszenie w przejściu wiodącym do jadalni ich pana. Kiedy Elfowie skończyli z pozostałymi Trollami i zaatakowali gwardzistów, niewielu udało się przedostać przez ten posępny szereg; mieli też za mało miejsca, by na wynik walki rzutowała ich szybkość i zręczność. Elfowie wycofali się w nieładzie, pozostawiając pewną liczbę zabitych i rannych. Ich pociski nie przebijały muru tarcz, które zasłaniały Trollów od oczu do kolan.

Skaflok zaważył, jak wysokie było przejście do komnat Illredegó. — Pokażę wam drogę — zawołał. W pociętym hełmie, z uszkodzoną tarczą, ociekał zieloną posoką Trollów, która mieszała się z czerwienią jego własnej krwi. Roześmiał się chowając wyszczerbiony miecz do pochwy i chwycił za włócznię. Następnie rozpedził się i podpierając drzewcem przeskoczył ponad głowami wrogów do wielkiej sali.

Spadając wyciągnął znów miecz. W czasie lądowania uderzył głucho nogami o ziemię. Odwrócił się błyskawicznie. Gwardziści, którzy pełnili służbę, mieli na sobie zbroje, lecz z konieczności ich ramiona i nogi były częściowo obnażone. Żelazny brzeszczot Skafloka trzema ciosami powalił trzech Trollów.

Inni odwrócili się, by stawić mu czoło. Jednocześnie Elfowie natarli na przerzedzony nagle szyk gwardzistów, rozerwali go i wtargnęli do jadalni króla Trollów!

Skaflok zobaczył Illredegó w przeciwległym krańcu sali: stary Troll ścisnął w garści włócznię, lecz trwał na tronie nieruchomy jak skała. Wychowanek Imryka rzucił się w jego stronę. Dwaj Trollowie, którzy chcieli go powstrzymać, padli pod ciosami miecza. I wtedy jakiś mąż zastąpił mu drogę.

Przez chwilę Skaflok stał osłupiały ze zdziwienia, widząc własną, zagniewaną twarz za opadającym w dół toporem. W ostatniej chwili zdążył podstawić tarczę. Topór nieznanego nie był wykonany z miękkiego brązu czy lekkiego elfowego stopu, lecz ze stali i nie wyszczerbił się w walce. Kiedy więc uderzył w krawędź nadwerężonej od licznych ciosów tarczy Skafloka, rozszczepił drewno i cienką żelazną blachę i zatrzymał się dopiero wówczas, kiedy utkwiał w ramieniu wychowanek Elfów.

Ten próbował przytrzymać topór, jednocześnie uderzając mieczem z góry. Lecz nieznanomy mąż odskoczył do tyłu, wyrwał broń z rany z taką siłą, że Skaflok zachwiał się na nogach, po czym znów go zaatakował. Wychowanek Imryka odrzucił bezużyteczną już tarczę. Żelazo ze szczękiem uderzyło o żelazo, aż posypały się iskry. Obaj przeciwnicy mieli na sobie hełmy i kolczugi. Wprawdzie Skaflok dobrze znał elfowy kunszt zadawania pchnięć, odbijania ciosów i krzyżowania ich, jednak miecz, który miał tej nocy, był źle wyważony do tego rodzaju walki. Wiedział też doskonale, że pozbawiony tarczy szermierz nie może się mierzyć z nieprzyjacielem zbrojnym w ciężki topór. Zmienił więc miejsce, żeby móc się bronić, ale począł się wycofywać.

Później rozdzielono ich. Skaflok nagle musiał zmagać się z Trollem, który dobrze dał mu się we znaki, nim padł. W tym czasie nieznanomy mąż walczył z Elfami. Przebił się do Ulredegó, a pozostali przy życiu Trollowie otoczyli ich. Szybko wyrąbali sobie przejście do tylnych drzwi i zniknęli za nimi.

— Gonić ich! — ryknął Skaflok w bitewnym szale.

Lecz Gotlan i inni wodzowie Elfów przekonali go, że powinien się cofnąć. — Byłoby to wielce nieroztropne — oświadczyli. — Spójrz, te drzwi otwierają się na ciemne jaskinie wiodące w głąb góry, gdzie łatwo moglibyśmy wpaść w zasadzkę. Lepiej zamknijmy je z tej strony, żeby Illrede nie mógł wysłać przeciw nam potworów z wnętrza ziemi.

— Tak, macie rację — przyznał niechętnie Skaflok.

Obiegł wzrokiem wielką salę, najpierw wpatrując się chciwie w nagromadzone tam bogactwa, później zaś spoglądając ze smutkiem na ciała Elfów leżące na śliskiej od krwi podłodze. Ale musiał się cieszyć widząc, jak niewiele ich było w porównaniu ze stratami nieprzyjaciela. Elfowie tymczasem dobijali rannych Trollów — ich głośnie jęki i krzyki szybko ucichły — i zakładali Prowizoryczne opatrunki swoim rannym, które miały wystarczyć, nim można będzie zastosować leczniczą magię w Elfheugh.

Nagle Skaflok ujrzał coś niemal równie zdumiewającego, jak Jego sobowtór walczący po stronie wroga. Dwie śmiertelne niewiasty leżały związane i zakneblowane w pobliżu tronu Illredeggo.

Podszedł do nich. Skuliły się ze strachu, gdy wyciągnął nóż. — Nie bójcie się, chcę tylko was uwolnić — powiedział po duńsku i przeciął więzy. Niewiasty wstały, drżąc i tuląc się do siebie. Zaskoczyło go, kiedy jedna z nich, wysoka i jasnowłosa, wyjąkała przez łyzy: — Z-z-złodzieju i morderco, jakie nowe zło knujesz?

— Dlaczego?... — Skaflok opanował zaskoczenie. Chociaż nauczył się ludzkiego języka, używał go rzadko i mówił ze śpiewnym elfowym akcentem. — Dlaczego, co ja takiego zrobiłem? — zapytał z uśmiechem. — A może podobało ci się, że byłaś związana?

— Na domiar wszystkiego, nie drwij z nas, Walgardzie — odparła złotowłosa panna.

— Nie jestem Walgardem — rzekł na to Skaflok — ani też nie znam go, chyba że jest to mąż, z którym walczyłem, ale tego na pewno nie mogłyście widzieć. Jestem Skaflok z Alfheimu i nie zaliczam się do przyjaciół Trollów.

— Tak, Asgerd! — wybuchnęła młodsza dziewczyna. — On nie może być Walgardem. Spójrz, nie ma brody, nosi inny strój, mówi tak dziwnie...

— Nie wiem — wymamrotała Asgerd. — Czy śmierć wokół nas to jakaś inna jego sztuczka? Czy rzuca czary, żeby nas oszukać? Och, nic już nie wiem poza tym, że Erland i nasi najbliżsi nie żyją. — I zaczęła głośno szlochać.

— Nie, nie! — Młodsza panna przyłgnęła do ramion Skafloka, badając wzrokiem jego twarz i uśmiechając się przez łyzy jak wiosenne słońce poprzez zasłonę deszczu. — Nie, cudzoziemcze, ty nie możesz być Walgardem, chociaż jesteś bardzo do niego podobny. Twoje oczy spoglądają ciepło, usta umieją się uśmiechać... Dzięki niech będą B...

Skaflok zasłonił jej usta dłonią, nim zdążyła skończyć. — Nie wymawiaj tego imienia — powiedział pośpiesznie. — Ci tu to mieszkańcy Krainy Czarów i nie mogą znieść nawet jego dźwięku. Nie uczynią ci nic złego. Dopilnuję, żeby zabrano was tam, gdzie zapragniecie się udać.

Skinęła głową, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Wychowanek Imryka opuścił dłoń i długo przyglądał się dziewczynie. Była tylko średniego wzrostu. Poprzez strzępy sukni każdy cal jej młodego, smukłego ciała jaśniał urodą. Miała długie, lśniące kędziory o barwie kasztanu z czerwonym połyskiem; jej twarz była uroczym połączeniem szerokiego czoła, zadartego noska i dużych, miękkich ust. Spod ciemnych brwi spoglądały szeroko rozstawione szare oczy, które obudziły niejasne wspomnienie w umyśle Skafloka. Nie mógł jednak uzmysłwić sobie, co to było, i owo wspomnienie umknęło po chwili.

— Kim jesteście? — zapytał powoli.

— Jestem Freda, córka Orma z krainy Duńczyków w Anglii, a to moja siostra Asgerd — powiedziała mu. — A ty, wojowniku...

— Jestem Skaflok, wychowanek Imryka z angielskich ziem Alfheimu — odrzekł. Dziewczyna cofnęła się, w ostatniej chwili powstrzymawszy się od nakreślenia znaku krzyża. — Powiadam ci, nie lękaj się mnie — dodał żarliwie. — Zaczekaj tu, a ja pokieruję pracą moich ludzi.

Elfowie zajęli się grabieniem komnat Illredeggo. Penetrując boczne pokoje, znaleźli tam niewolników ze swego ludu i zwrócili im wolność. Wreszcie wyszli na zewnątrz. W pobliżu

wejścia do jaskini natknęli się na domy, szopy i stajnie, które podpalili. Choć nadal dął silny wiatr, pogoda poprawiła się i płomienie strzelały wysoko w rozgwieżdżone niebo.

— Wydaje mi się, że nie ma potrzeby lękać się Trollheimu — oświadczył Skaflok.

— Nie bądź tego taki pewny — ostrzegł go Walka, zwany Mądrym. — Zaskoczyliśmy ich. Chciałbym wiedzieć, ile wojska nagromadzili, i jak blisko obozuje od tej osady.

— Dowiemy się innym razem — odrzekł na to Skaflok. — A teraz wracajmy na statki. Możemy być w domu jeszcze przed świtem.

Obdarzone czarodziejskim wzrokiem Asgerd i Freda stały obok, patrząc w odrętwieniu na to, co robili Elfowie. Dziwni byli ci wysocy wojownicy, poruszający się cicho jak woda lub dym. Nigdy nie słyszały odgłosu ich kroków, tylko srebrzyste pobrzękiwanie kolczug w nocy. Błdzi jak kość słoniowa, o ostrych, delikatnie rzeźbionych rysach twarzy, zwierzęcych uszach i świecących oczach, budzili w nich przerażenie.

Wśród nich krążył Skaflok, który poruszał się niemal równie cicho i zwinnie jak oni, miał koci wzrok i rozmawiał dziwnym językiem Elfów. A przecież z wyglądu przypominał śmiertelnego męża i Freda, przypomniawszy sobie ciepło jego ciała, tak odmiennego od chłodnej, jedwabistej skóry Elfów, którzy przypadkiem się o nią otarli, nie wątpiła, że jest on człowiekiem.

— Musi być poganinem, skoro przebywa wśród tych istot — stwierdziła Asgerd.

— No, cóż... przypuszczam, że tak... ale jest dobry i ocalił nas przed... przed... — Freda wzdygnęła się i otuliła ciaśniej obszernym płaszczem, który dał jej Skaflok.

Wychowanek Imryka zadał w róg, dając sygnał do odwrotu, i długi, milczący wąż Elfów począł schodzić z góry. Skaflok szedł obok Fredy nic nie mówiąc, lecz często rzucając na nią spojrzenia.

Była młodsza od niego, ze śladami uroczej niezdarności podlotka nadal widocznymi w jej długich nogach i smukłym ciele. Trzymała wysoko głowę i jej połyskujące miedzią włosy zdawały się sypać iskry w bladym świetle księżyca. Skaflok osądził, iż na pewno będą miękkie w dotyku. Gdy schodzili ze stromego zbocza, podtrzymał dziewczynę, ujawszy jej małą rączkę w swą stwardniałą dłoń wojownika.

Nagle zabrzmiał wśród skał byczy ryk trollowego rogu, odpowiedział mu drugi i jeszcze jeden, odbijając się echem od urwistych zboczy i niosąc na wietrze. Elfowie stanęli jak wryci, nastawili uszu i rozdęli nozdrza, szukając w nocnym mroku śladów nieprzyjaciół.

— Myślę, że są przed nami, gdyż chcą odciąć nam odwrot — rzekł Goltan.

— To niedobrze — odparł Skaflok — ale jeszcze gorzej byłoby, gdybyśmy znaleźli się w czarnym wąwozie pod gradem głązów. Zamiast iść tamtędy, pójdziemy obok.

I zagrał bitewny zew na trombicie, którą niesiono dla niego. Elfowie jako pierwsi wykonali wielkie, zakrzywione trombity* i nadal ich używali, chociaż ludzie zapomnieli o nich, odkąd przeminął Wiek Brązu. Do Fredy i Asgerd powiedział tak: — Obawiam się, że znowu musimy walczyć. Moi woje obronią was, jeśli nie będziecie wypowiadać imion, które sprawiają im ból. Jeżeli to zrobicie, będą musieli się rozproszyc, a wówczas Trollowie, znajdujący się poza zasięgiem głosu, mogą zabić was strzałami.

— Niedobrze jest umierać bez odwołania się do... Tego, Który Jest W Niebie — odparła Asgerd — Ale posłuchamy twojej rady.

Skaflok roześmiał się i położył dłoń na ramieniu Fredy. — Dlaczego nie mielibyśmy zwyciężyć, skoro będziemy walczyć o taką piękność? — zapytał wesoło.

Poleciał dwóm Elfom nieść dziewczęta, które nie mogły iść tak szybko jak oni, a innym utworzyć wokół nich mur z tarcz. Później stanął na czele oddziału ustawionego w pozycji

* Trombita (lur hora) — przypominający trąbkę instrument z brązu w kształcie litery S.

jeżowej* i poprowadził go wzdłuż grani w stronę morza.

Elfowie szli lekkim krokiem przeskakując ze skały na turnie; ich kolczugi podzwaniały cicho, a broń lśniła w księżycowej poświacie. Kiedy zobaczyli czarną chmurę Trollów zgromadzonych na tle nocnego mostu bogów, wydali okrzyk bojowy, uderzyli mieczami o tarcze i ruszyli biegiem do walki.

Skaflrok wciągnął szybko powietrze do płuc na widok masy wrogów. Przypuszczał, że przypada około sześciu trollów na jednego Elfa, i jeśli Illrede zdołał tak szybko zgromadzić tę hordę, to jak liczne może być jego wojsko?

— A więc dobrze — powiedział na głos. — Każdy z nas będzie musiał zabić sześciu Trollów.

Elfowie poczęli szyc z łuków. Powolniejsi od nich Trollowie nie mogli uciec przed chmurami strzał, które raz za razem przesłaniały księżyc. Wielu osunęło się na ziemię. Ale jak to zwykle bywa, większość strzał odbiła się od skał lub utkwiała w tarczach i niebawem ich zapas się wyczerpał.

Wówczas Elfowie rzucili się do ataku i bój rozgorzał. Ryk trollowych rogów i zawodzenie elfowych trombit, okrzyki Trollów przypominające wilcze wycie i podobny do skwiru sokoła bojowy zew Elfów, grzmiące uderzenia trollowych toporów o tarcze Elfów i szczęk elfowych mieczy o hełmy Trollów — unosiły się w rozgwieżdżone niebo.

Topór i miecz! Włócznia i maczuga! Rozłupana tarcza, roztrzaskany hełm i rozdarta kolczuga! Czerwony potok elfowej krwi mieszający się z zielonym strumieniem trollowej posoki! Zorze polarne płaszące w tańcu śmierci nad ich głowami!

Dwie wysokie postacie, trudne do rozróżnienia, dominowały nad polem bitwy. Topór Walgarda i miecz Skafloka wycinały krwawe ścieżki w stłoczonej masie wojowników. Ogarnięty szałem bojowym berserker toczył pianę, wrzeszczał i rąbał. Skaflrok milczał, tylko dyszał ciężko, lecz walczył niemal równie zaciekle jak Walgard.

Trollowie osaczyli Elfów z obu stron i w ścisku, w którym niewiele liczyły się szybkość i zręczność, ogromna siła fizyczna Trollów zaczęła dawać im przewagę. Skaflokowi wydawało się, że za każdego szczerzącego kły Trolla, który uległ jego mieczowi, z zalanego dymiącą krwią śniegu podnosiło się dwóch innych. Musiał dotrzymać pola choć spływał potem, który zamarał w jego spodniach; ścisnął uchwyt nowej tarczy i uderzał bez końca.

Tak się rzeczy miały, kiedy do Skafloka dotarł Walgard, ogarnięty szałem bojowym i nienawidzący wszystko, co elf owe — najbardziej zaś Imrykowego wychowanek. Starli się pierś w pierś, spoglądając sobie gniewnie w oczy w kapryśnym księżycowym blasku.

Brzeszczot Skafloka zadzwonił na hełmie Walgarda i wgnęł się weń. Topór Walgarda odłupał drzazgi z tarczy Skafloka. Wtedy wychowanek Elfów zadał cios z ukosa, rozcinając odmieńcowi policzek, tak że ukazały się zęby. Berserker znów zawył i zasypał przeciwnika gradem ciosów. Odtrącił na bok miecz Skafloka i poty uderzał w jego tarczę, aż ramię Ormowego syna nie mogło jej dłużej utrzymać i krew zboczyła bandaż osłaniający wcześniejszą ranę.

Mimo to wychowanek Imryka czekał na dogodną okazję. Kiedy odmieniec zbytnio wysunął nogę do przodu, Skaflrok zranił go głęboko w łydkę. Mógłby okaleczyć berserkera, lecz ostrze jego miecza stąpiło się w walce. Walgard zawył i cofnął się. Skaflrok ruszył za nim.

Cios równie potężny jak uderzenie spadającego głazu ugodził w hełm przybranego syna Imryka, powalając go na kolana. To Illrede, Król Trollów, stanął obok i zakręcił młynka nabijaną kamieniami maczugą. Walgard wrócił z podniesionym toporem. Skaflrok uskoczył w bok, choć huczało mu w uszach i ból ścisnął skronie żelazną obręczą. Topór odmieńca ugodził w ziemię.

* Pozycja jeżowa tu: najeżona bronią, włóczniami itp.

Jakiś ogarnięty szalem bojowym Elf — z tych, którzy tworzyli mur z tarcz — postąpił do przodu, by zabić berserkera, nim wyciągnie topór, lecz maczuga Illredeggo zmiażdżyła mu kark. Walgard podniósł topór i poprzez wyrwę w szyku zadał cios stojącemu z tyłu Elfowi. Topór zagłębił się jednak w żywym brzemieniu, które tamten niósł.

Mur tarcz zwarł się na nowo i ruszył na odmienca i władcę Trollów, którzy cofnęli się przed elfowymi włóczyniami. Skaflok wstał i wyprowadził swoich wojowników z pola walki, pozostawiając tam poległych towarzyszy broni. Illrede również dołączył do swej gwardii. Tylko Walgard pozostał samotnie tam, gdzie był, gdyż minął mu już atak furii.

Zlany krwią, chwiejąc się na nogach, stanął nad ciałem Asgerd.

— Nie chciałem tego — rzekł. — Zaprawdę, mój topór jest przeklęty. A może ja sam? — Zdumiony przesunął dłonią po oczach. — Ale przecież... one nie są moimi krewnymi, nieprawdaż?

Oslabiony atakiem szau, usiadł obok Asgerd. Bitwa przeniosła się w inne miejsce. — Teraz jeszcze tylko muszę zabić Skafloka i Fredę, a zostanie przelana wszystka krew, którą nigdy uważałem za własną — wymamrotał gładząc grube złociste warkocze zmarłej. — I dobrze się stanie, gdy zrobię to z twoją pomocą, Bratobójco. Elfrydę również — jeśli jeszcze żyje. Mogę ją zabić — czemu nie? Przecież nie jest moją matką. Moja matka to wielki, ohydny stwór uwięziony w lochach Imryka. Elfryda, która śpiewała mi do snu kołysanki, nie jest moją matką...

Źle było z Elfami, chociaż bili się dzielnie. Walczący w przedniej straży Skaflok zwołał ich i ponownie skupił wokół siebie. Zaprowadziwszy porządek w szeregach, poprowadził znów do walki. Jego miecz siał śmierć. Żaden Troll nie mógł stawić czoła tej wirującej stali i wychowanek Imryka powoli wyrąbywał sobie drogę ku morzu.

Zawahał się na chwilę, gdy Goltan padł przeszyty włócznią. — Teraz mam o jednego przyjaciela mniej — powiedział — to niepowetowana strata. — Po czym na nowo podniósł głos: — Za Alfheim! Naprzód, naprzód!

I tak oto resztką Elfów przebiła się przez szeregi Trollów i wycofała na plażę. Walka, zwany Mądrym, Flam z Orkadów, Hlokkan Czerwona Włócznia i inni wielcy Elfowie polegli walcząc w tylnej straży, podczas gdy pozostali dotarli do statków. Niektórzy z nich na oczach Trollów zbiegli ze wzgórza wznoszącego się nad zatoką, rozrzucając resztę łupów. To osłabiło nieco atak Trollów, gdyż Illrede wolał raczej odzyskać swoje skarby, niż stracić jeszcze więcej poddanych.

Przy życiu pozostało dość Elfów na tyle krzepkich, że mogli obsadzić połowę statków. Resztę spalili za pomocą czarów. Później spuścili drakkary na wodę, weszli na pokład i z trudem wiosłując wypłynęli z fiordu.

Skulona na dnie statku Skafloka Freda zobaczyła go, jak stał, wysoki i zlany krwią, na tle tarczy księżyca, kreśląc w powietrzu znaki runiczne i wymawiając nie znane jej słowa. Wiatr zmienił kierunek, stał się wichurą, później zaś burzą. Elfowe korabie o twardych jak żelazo żaglach i zgiętych niczym łuki masztach wśród brzęku takielunku pomknęły do przodu. Uciekały wciąż szybciej i szybciej — jak pył wodny, jak chmury, jak sen i czary, jak blask księżyca na wodzie. Skaflok stał na zalewanym przez fale dziobie statku i śpiewał czarodziejską pieśń. Z rozwianymi włosami, pobrzękując rozerwaną kolczugą, wyglądał jak postać z zapomnianych sag i nieludzkich światów.

Freda straciła przytomność.

XI

Ocknęła się na łożu z kości słoniowej zasłanym futrami i jedwabiem. Wykapano ją i odziano w białą brokatową koszulę. Przy łożu, na dziwnym stoliku misternej roboty podano wino, wodę, winogrona i inne południowe owoce. Poza tym dziewczyna widziała jedynie ciemnobłękitny półmrok.

Przez jakiś czas nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i co się stało. Później nagle wspomnienia ożyły w jej pamięci i poczęła głośno szlochać. Płakała długo, ale spokój był w samym powietrzu, którym oddychała i gdy dość się napłakała, wypłała trochę wina, które nie tylko szło do głowy, lecz było jak uśmierniająca ból dłoń położona na jej sercu. Zapadła w głęboki sen.

Kiedy znów się obudziła, poczuła się wspaniale wypoczęta. A gdy usiadła, przyszedł do niej Skaflok, krocząc przez błękitne przestrzenie.

Po jego ranach nie pozostał żaden ślad. Uśmiechnął się życzliwie do dziewczyny. Miał na sobie krótką, bogato wyszywaną tunikę i spódniczkę, które ukazywały grę mięśni pod skórą. Usiadł obok Fredy, wziął za ręce i spojrzał jej w oczy.

— Czy lepiej się czujesz? — zapytał. — Dodałem do wina lekarstwo, które pomaga uzdrowić umysł.

— Czuję się dobrze, tylko... tylko gdzie ja jestem? — odparła.

— W Elfheugh, zamku Imryka, wśród elfowych wzgórz na północy kraju — rzekł na to Skaflok. Dziewczyna z przerażenia otworzyła szerzej oczy.

— Nikt cię nie skrzywdzi i wszystko będzie tak, jak tego zapragniesz — uspokoił ją.

— Dziękuję ci — szepnęła — po Bogu, który...

— Nie, nie wymawiaj tu świętych imion — ostrzegł ją młodzieniec — gdyż Elfowie muszą przed nimi uciekać, a przecież jesteś ich gościem. Poza tym możesz robić, co zechcesz.

— Ty nie jesteś Elfem — powiedziała powoli Freda.

— Nie, jestem człowiekiem, ale wychowałem się tutaj. Jestem przybranym synem Imryka, zwanego Chytrym. Jarl Elfów stał się mi bliższy niż mój prawdziwy ojciec, kimkolwiek był.

— Jak udało ci się nas uratować? Wpadliśmy w rozpacz... Skaflok opowiedział jej o wojnie z Trollami i wyprawie do siedziby Illredego. Potem znów się uśmiechnął i rzekł: — Lepiej pomówmy o tobie. Kto mógł mieć tak piękną córkę?

Freda zarumieniła się i zaczęła opowiadać mu swoją historię. Słuchał jej, ale bez większego zainteresowania. Imię Orma nic mu nie mówiło, gdyż Imryk, chcąc zerwać więzi łączące jego wychowanka z ludźmi, powiedział mu, że zamiany dziecka dokonał daleko na zachodzie kraju. Poza tym, za pomocą sobie tylko znanych środków, wychował Skafloka tak, by zabić w nim Wszelką ciekawość, co do jego pochodzenia. O Walgardzie Freda siedziała tylko tyle, że jest to jej brat, który oszalał. Wprawdzie Skaflok wyczuł coś nieludzkiego w berserkerze, lecz mając tak wiele do myślenia — zwłaszcza o Fredzie — nie zagłębiał się zbyt w tę sprawę. Uznał, że równie dobrze Walgarda mógł opętać demon. Zdumiewające podobieństwo do siebie przypisał zwierciadlanemu czarowi; przecież Illrede mógł rzucić go na Walgarda z wielu powodów. W dodatku żaden z Elfów, z którymi Skaflok przypadkiem rozmawiał o tym niezwykłym spotkaniu, niczego nie zauważył. Czy stało się tak dlatego, że Elfowie byli zbyt pochłonięci walką o życie, czy też Skafloкови coś się przywidziało? W końcu wychowanek Imryka wruszył ramionami i zapomniał o całej sprawie.

Freda również nie zastanawiała się nad podobieństwem obu mężów, gdyż nigdy nie pomyliłaby ich ze sobą. Oczy, usta, mimika, chód, ruchy, sposób mówienia, zachowania i

myślenia były tak odmienne, że zaledwie zauważyła podobieństwo budowy i rysów twarzy. Przelotnie pomyślała, że może mieli wspólnego przodka — jakiegoś Duńczyka, który przed stu laty spędził lato w Anglii — ale potem i ona zapomniała o wszystkim.

Było tak wiele innych spraw. Lekarstwo, które przyjęła, mogło wprawdzie przytępić ból, lecz nie wymazać z pamięci dziewczyny brutalnej prawdy o tym, co się stało. Kiedy mówiła, oszołomienie i zdumienie niezwykłością otoczenia, które dotąd trzymały smutek na wodzy, teraz mu uległy i Freda zakończyła swą opowieść szlochającej na piersi Skafloka.

— Nie żyją! — zawołała. — Nie żyją, wszyscy zginęli, poza Walgardem i mną... Ja... widziałam, jak zabił ojca i Asmunda, gdy Ketil już nie żył, widziałam matkę leżącą u jego stóp, widziałam, jak uśmiercił Asgerd... teraz tylko ja pozostałam i gdybym to ja zginęła zamiast... Och, matko, matko moja!

— Nie trać ducha — powiedział niezręcznie Skaflok. Elfowie nic mu nie powiedzieli o tak wielkiej żalobie. — Nie stała ci się krzywda, a ja odnajdę Walgarda i pomszczę śmierć twoich bliskich.

— Niewiele to pomoże. Dwór Orma jest tylko kupą popiołu i wszyscy z jego rodu zginęli, poza oszalałym synem i córką, która nie ma gdzie się podziać. — Przytuliła się do młodzieńca, drżąc z lęku. — Pomóż mi, Skafloku! Gardzę sobą za to... że się boję.. — ale tak jest. Boję się, gdyż jestem taka samotna...

Młodzieniec jedną ręką zmierzwił jej włosy, drugą zaś podniósł podbródek dziewczyny tak, że spojrzała mu w oczy. — Nie jesteś sama — powiedział półgłosem i pocałował ją lekko. Usta Fredy — miękkie, ciepłe i słone od łez — zadrżały pod dotknięciem jego warg.

— Napij się — rzekł i podał jej czarę z winem.

Wypiła łyk, potem drugi i zwinęła się w kłębek w jego objęciach. Pocieszał ją, jak umiał najlepiej, gdyż uważał, że to niesprawiedliwe, aby cierpiała. Wymówił więc szeptem pewne zaklęcia, które usunęły smutek z serca Fredy wcześniej, niż czyni to natura.

Dziewczyna przypomniała sobie, że jest córką Orma zwanego Silnym, który pod pozorami żywiołowej wesołości zawsze był surowy wobec siebie. Wychował dzieci tak, by były do niego podobne. Mawiał: „Nikt nie może uniknąć swego przeznaczenia, ale też i nikt nie może odebrać człowiekowi odwagi, z którą stawia czoło losowi.”

Tak więc w końcu Freda uspokoiła się i nawet zaciekawiły ją cuda, które Skaflok obiecał jej pokazać. Usiadła prosto i powiedziała mu: — Dziękuję ci za twoją dobroć. Już się opanowałam.

Wychowanek Imryka zachichotał:

— Wobec tego nadszedł czas, żebyś przerwała post. Przygotowano dla niej suknię z przezroczystego pajęczego jedwabiu, który nosiły Elfiny. I choć Skaflok wysłuchał jej prośby i odwrócił się, kiedy ją wkładała, Freda zaczerwieniła się mocno, gdyż suknia niewiele ukrywała. Ale bardzo się jej spodobało, że włożył jej na ręce ciężkie złote bransolety, a na głowę brylantowy diadem.

Przeszli po niewidzialnej podłodze komnaty i znaleźli się w długim korytarzu, który pojawiał się powoli, przybierając stopniowo trwały kształt. Błyszczące kolumnady ciągnęły się wzdłuż marmurowych ścian, a bajecznie kolorowe postacie na kobiercach i gobelinach poruszały się powoli w fantastycznym tańcu.

Tu i tam mijali ich goblinowi niewolnicy — z ludu pośredniego między Elfami a Trollami — zielonoskórzy i krępi, lecz o miłym wyglądzie. Freda z cichym okrzykiem przytuliła się do Skafloka, kiedy przeszedł obok nich żółty demon niosący świecznik. Przed nim biegł Niziołek z wielką tarczą.

— Kto to taki? — szepnęła Freda.

Skaflrok uśmiechnął się szeroko: — To kathajski* Szen, którego wzięliśmy do niewoli podczas jednej z wypraw. Jest silny i dobry z niego niewolnik. Lecz tak jak wszyscy jego współplemieńcy może poruszać się wyłącznie po linii prostej, chyba że odbije się od ściany. Dlatego Niziołek ustawia tarczę w kątach ukośnie, żeby Szen mógł odbić się od niej jak światło od zwierciadła.

Dziewczyna roześmiała się. Młodzieniec ze zdumieniem słuchał czystego brzmienia jej śmiechu. W wesołości Elfin zawsze krył się cień złośliwej drwiny, natomiast śmiech Fredy olśniewał jak poranek w porze kwitnienia.

Siedząc przy stole tylko we dwoje, spożywali rzadkie potrawy, a wokół nich dźwięczała w powietrzu muzyka. Skaflrok ułożył taką oto strofę:

*Smaczne jadlo i czara wina
Ułatwiają zawarcie przyjaźni,
O piękna.
Dobrze jest zadowolić
Żołądek o poranku.
Lecz moje oczy, oszołomione
Widokiem Fredy,
Sycą się jasną jak słońce
Urodą panny z południa.*

Dziewczyna spuściła oczy czując, że palą ją policzki i tylko się uśmiechnęła.

Lecz zaraz potem ogarnęły ją wyrzuty sumienia. — Jakże mogę się cieszyć w tak krótkim czasie po śmierci moich najbliższych? Piorun powalił drzewo, którego konary osłaniały cały kraj, i zimny wicher dmie przez jałowe pola... — Przestała dobierać słowa i powiedziała po prostu... — Wszyscy stajemy się ubożsi, gdy odchodzą dobrzy ludzie.

— No cóż, jeśli byli dobrzy, nie musisz ich opłakiwać — rzekł gładko Skaflrok — gdyż wolni są już od zgryzot tego świata i przyszli do domu Tego, który jest w górze. Wydaje mi się, że tylko twój płacz mógłby zamącić ich szczęście.

Freda przytuliła się do jego ramienia, gdy wyszli z jadalni. — Ksiądz mówił o śmierci tych, którzy umarli bez spowiedzi... — Podniosła wolną rękę do oczu. — Kocham ich, a oni odeszli i opłakują ich samotnie.

Skaflrok musnął wargami jej policzek. — Nie jesteś sama, póki ja żyję — mruknął. — I nie powinnaś zwracać uwagi na to, co plótł jakiś wiejski księżyna. Cóż on może wiedzieć?

Weszli teraz do innej komnaty, której sufit był tak wysoko, że sprawiał wrażenie ciemnego. Freda zobaczyła stojącą tam niezmiernie piękną niewiastę. Przy niej córka Orma poczuła się mała i nieładna. Ogarnął ją strach.

— Widzisz więc, że wróciłem, Leo — powitał ją Skaflrok w języku Elfów.

— Tak — odparła — bez łupów i straciłeś więcej niż połowę swych wojowników. To była bezowocna wyprawa!

— Niezupełnie — zaoponował Skaflrok. — Poległo więcej Trollów niż Elfów, pozostawiliśmy wrogów w rozsypce, a brańcy, których uwolniliśmy, mogą nam wiele o nich opowiedzieć. — Objął Fredę w talii i przyciągnął ją do siebie. Przytuliła się chętnie z obawy przed zimną, białoskórą czarownicą, która piorunowała ją wzrokiem. — I spójrz, jaki klejnot przywiozłem z tej wyprawy.

— Czego możesz od niej chcieć? — zapytała drwiąco Leea. — Chyba że ciągnie cię do

* Kathajski — chiński. Kathay to dawna nazwa Chin.

podobnych tobie.

— Być może — odparł niewzruszenie Skaflok.

Elfina podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu, badając spojrzeniem jego twarz. — Skafloku — powiedziała z naciskiem — pozbaź się tej dziewczki. Odeślij ją do domu, jeśli nie chcesz jej zabić.

— Ona nie ma domu i dość się już nacierpiała, żebym miał teraz skazać ją na żywot żebraczki — odrzekł i dodał kpiąco: — Czemu cię obchodzi, co robi para śmiertelników?

— Obchodzi mnie — odrzekła ze smutkiem Leea — i widzę, że przecucie mnie nie myliło. Swoją ciagnie do swego — ale nie z nią, Skafloku! Weź każdą inną śmiertelną pannę tylko nie ją, gdyż stanie się przyczyną twojej zguby. Czuję to jak mróz w kościach. To nie przypadek, że ją spotkałeś — wyrządzi ci wiele złego.

— Na pewno nie Freda — powiedział odważnie młodzieniec i żeby zmienić temat rozmowy, zapytał: — Kiedy wraca Imryk? Został wezwany na naradę przez Króla Elfów po moim powrocie z Trollheimu.

— Wkrótce tu będzie. Zaczekaj na jego powrót, Skafloku, gdyż może on dojrzy wyraźnie nieszczęście, które ja tylko przeczuwam, i ostrzeże cię.

— Czy ja, który walczyłem z Trollami i demonami, miałbym lękać się zwykłej dziewczyny? — prychnął Skaflok. — To już nawet nie jest krakanie, ale geganie. — I wyprowadził Fredę z komnaty.

Leea z osłupieniem odprowadziła ich wzrokiem, po czym puściła się biegiem przez długie sale, a łzy zamgłyły jej oczy.

Tymczasem Skaflok i Freda wędrowali po zamku. Początkowo córka Orma mówiła niewiele i z powagą, lecz napój miłosny, który wypija, i czary rzucone przez Skafloka sprawiły, że ciepłe uczucie obudziło się w jej sercu i umyśle. Coraz częściej się śmiała, wykrzykiwała z podziwu, rozmawiała wesoło i spoglądała na niego. Wreszcie młodzieniec zaproponował:

— Wyjdźmy na dwór, to pokażę, co przygotowałem dla ciebie.

— Dla mnie? — zawołała.

— A może również i dla mnie, jeśli Norny będą łaskawe — roześmiał się.

Przeszli przez dziedziniec i wielką bramę z brązu. Na zewnątrz promienie słońca odbijały się od osłoniętej błękitnym cieniem bieli. W pobliżu nie było żadnego Elfa. Dwoje ludzi skierowało się w stronę połyskującego lodem lasu, a płaszcz Skafloka chronił ich przed chłodem. Ich oddechy jak obłoki pary unosiły się ku niebu; nawet samo oddychanie sprawiało ból. Fale przyboju szumiały monotennie i wiatr wzdychał wśród ciemnych jodeł.

— Zimno mi — powiedziała Freda. Jej kasztanowate włosy były jedyną ciepłą plamą we wszechobecnej bieli. Wszędzie poza twoim płaszczem jest bardzo zimno.

— Za zimno, żebyś jako żebraczka wędrowała po świecie.

— Są tacy, którzy przyjęliby mnie do siebie. Mieliśmy wielu przyjaciół i nasza ziemia, teraz moja, jak przypuszczam, byłaby — dokończyła z niechęcią — dobrym wianem.

— Dlaczego miałabyś szukać przyjaciół gdzieś daleko, skoro masz ich tutaj? A co do ziemi, to spójrz.

Weszli na szczyt wzgórza, które wraz z innymi otaczało górską dolinę. A tam na dole Skaflok wyczarował lato. Zielone drzewa rosły obok niewielkiego, roztańczonego wodospadu, kwiaty drzemały w wysokiej trawie. Ptaki śpiewały, ryby wyskakiwały z wody, łania i jeleni stały obserwując ufnie ludzi.

Freda zaklaskała w dłonie i krzyknęła ze zdumieniem. Skaflok uśmiechnął się. — Zrobiłem to dla ciebie — powiedział — ponieważ jesteś latem, życiem i radością. Zapomnij o zimie, śmierci i nieszczęściach. Tutaj mamy własną porę roku.

Zeszli w dolinę, zrzucili płaszcz i usiedli przy wodospadzie. Wiatr mierzwił im włosy i jagody otaczały ich zwartym kręgiem. Na rozkaz Skafloka zebrane przez Fredę stokrotki same splotły się w wianek, który młodzieniec zawiesił jej na szyi.

Freda nie bała się Skafloka ani jego czarodziejskiej mocy. Rozmarzona położyła się na trawie gryząc jabłko, które jej podał — a miało ono smak wina i podobnie działało — i słuchała jego słów:

*Twój srebrzysty śmiech, najdroższa,
Wabi mnie jak wojny zew.
Kasztanowe twe kędziory spętały
Mnie mocniej niż ciężkie okowy.
Nigdy nie schyliłem szyi
Do słodkiego jarzma,
Lecz teraz chcę poznać
Więzienie twych ramion.*

*Człowiek żyje dla radości,
Śmiechu i miłości.
Gdybym teraz mógł cię pieścić,
Znalazłbym się w niebie.
Piękna czarodziejko, pragnę
Twojej miłości. Wysłuchaj moich próśb:
Jakże Skaflok może uciec przed nią,
Skoro złapałaś go w sieci?*

— To nie przystoi — zaprotestowała słabo, gdyż uległa urokowi jego słów i uśmiechu.

— Dlaczego nie przystoi? Nie ma nic równie właściwego.

— Jesteś poganinem, a ja...

— Prosiłem, żebyś nie mówiła o tych sprawach. Teraz musisz zapłacić karę. — I Skaflok pocałował Fredę. Całował ją długo i najlepiej jak umiał — najpierw lekko, później coraz żarliwiej. Przez chwilę próbowała go odepchnąć, ale zabrakło jej sił, które powróciły dopiero wtedy, gdy odpowiedziała na jego pocałunek.

— Czy to było takie złe? — zaśmiał się Skaflok.

— Nie — szepnęła.

— Wiem, że niedawno spotkało cię wielkie nieszczęście, lecz smutek przemija i ci, których kochałaś, na pewno chcieliby, żeby tak się stało.

W istocie smutek już przeminął. Pozostała czułość i przelotny żal: Zaiste, szkoda, że nie mogli go poznać!

— Musisz myśleć o przyszłości, Fredo, a zwłaszcza o przyszłości swego rodu, z którego tylko ty pozostałaś na świecie. Ofiarowuję ci bogactwa i cuda Alfheimu, o tak, i nie żądam żadnego wiana poza twoją słodką osobką. Będę strzegł ciebie ze wszystkich sił, a pierwszym z moich porannych darów dla ciebie jest moja dozgonna miłość.

Nic nie mogło wymusić narodzin uczucia, skoro więc przyszło samo, czary tylko przyśpieszyły topnienie smutku i nastanie wiosny miłości; dla jej rozkwitu nie trzeba było niczego oprócz młodości.

Dzień się skończył i noc zawitała do oazy lata w górskiej dolinie. Kochankowie leżeli na trawie obok wodospadu i słuchali śpiewu słowika. Freda zasnęła pierwsza.

Leżała w zgięciu ramienia Skafloka, z ręką spoczywającą na jego piersi. Gdy tak wsłuchiwał się w jej cichy oddech, wdychał zapach włosów i ludzkiego ciała, czując jej ciepło i pamiętając, jak oddała mu się ze łzami i śmiechem, młodzieniec uświadomił sobie, że stało się coś bardzo ważnego.

Zastawił na nią sieci bardziej dla zabawy. Śmiertelne dziewy, które oglądał ukradkiem podczas swych wędrówek, rzadko przebywały same, a gdy tak było, wydawały się Skaflokowi zbyt ociężałe ciałem i duszą, żeby tracić na nie czas. We Fredzie znalazł ludzką dziewczynę, która budziła w nim pożądanie, zastanawiał się więc jakby to było, gdyby się z nią przespał.

I sam wpadł w zastawione przez siebie wnyki.

Ale nie przejmował się tym. Leżąc na trawie uśmiechnął się do Wielkiego Wozu, który świecił blado w swej nie kończącej się wędrówce wokół Gwiazdy Polarnej. Chłodne, przebiegłe Elfiny wiele umiały, lecz nigdy nie otworzyły przed nim serc i może dlatego nie pokochał żadnej. A Freda...

Leea miała rację. Swój ciągnie do swego.

XII

Po kilku dniach Skaflok wyruszył samotnie na polowanie. Wędrował na zaczarowanych nartach, które jak wiatr niosły go na szczyt wzgórza i w dolinę, przez skute lodem rzeki i zaśnieżone lasy, tak że o zachodzie słońca był już na wyżynie szkockiej. Zawrócił w stronę Elfheugh, przywiązawszy do ramion upolowaną łanię, kiedy zobaczył z oddali blask ognia. Zastanawiając się, kto mógł rozbić obóz w tych niegościnnych stronach, pojechał tam z włócznią w dłoni.

Kiedy się zbliżył, zauważył w wieczornym półmroku postać ogromnego męża, który przykucnął na śniegu i piekł koninę nad ogniskiem. Mimo mroźnego wiatru nosił tylko spodniczkę z wilczej skóry. Leżący obok na ziemi topór jaśniał niezwykłym światłem.

Skaflok wyczuł obecność jakiejś Mocy, a kiedy zobaczył, że nieznajomy ma tylko jedną rękę, przebiegł go zimny dreszcz. Uważano bowiem, że niedobrze jest spotkać o zmierzchu Tyra z rodu Asów*.

Ale było za późno na ucieczkę. Bóg spoglądał już w jego stronę. Skaflok wjechał śmiało w krąg światła padającego od ogniska i spojrzał w zamyślane, ciemne oczy Tyra.

— Bądź pozdrowiony, — Skafloku — powiedział As. Jego głos brzmiał jak burza, przetaczająca się przez nieboskłon z brązu. Bez przerwy obracał rożen nad ogniem.

— Bądź pozdrowiony, panie. — Skaflok odprężył się nieco. Pozbawieni dusz Elfowie nie czcili żadnych bogów, mimo to nie było żadnych zatargów między nimi a Asami. Niektórzy nawet służyli w samym Asgardzie*.

Tyr skinął lekko głową, dając znak człowiekowi, by zdjął brzemień z ramion i przykucnął. Przez długi czas panowała cisza, przerywana tylko sykaniem i trzaskiem płomieni, które tkały chwiejną aureolę wokół posępnej, wąskiej twarzy Tyra.

W końcu bóg przemówił:

— Wyczułem wojnę. Trollowie zamierzają uderzyć na Alfheim.

— Dowiedzieliśmy się o tym, panie — odparł Skaflok. — Elfowie są przygotowani do wojny.

— Walka będzie trudniejsza, niż sądzisz. Tym razem Trollowie mają sprzymierzeńców. — Tyr spojrzał ponuro w płomienie. — Chodzi tu o większą stawkę, niż się wydaje Elfom czy Trollom. W tych dniach Norny uprzedzą do końca wiele nici.

I znowu zapanowało milczenie, które przerwał Tyr:

— Tak, kruki latają nisko i bogowie pochylają się nad światem, który drży pod kopytami Czasu. Powiadam ci, Skafloku: będziesz bardzo potrzebował imienninowego podarunku Asów. Sami bogowie są zaniepokojeni. Dlatego ja, który strzegę praw wojny, przebywam na ziemi.

Wiatr rozwiął jego czarne kędziory. Bóg wbił płonący wzrok w oczy człowieka. — Dam ci pewną przestrożę — oświadczył — chociaż obawiam się, że to na nic się nie zda wobec wyroku Norn. Kto był twoim ojcem, Skafloku?

— Nie wiem, panie, ani nigdy mnie to nie obchodziło. Lecz mogę zapytać o to Imryka...

— Nie czyn tego. Powinieneś raczej poprosić Imryka, żeby nikomu nie mówił tego, co wie, a zwłaszcza tobie. Albowiem gorzki będzie dla ciebie dzień, w którym dowiesz się, kto był twoim ojcem. I to, co wyniknie z tego dla ciebie, wyrządzi wiele zła na świecie.

Znów skinął głową i Skaflok oddalił się pośpiesznie, pozostawiwszy upolowaną łanię jako dar za otrzymaną radę. Kiedy mknął do domu wśród świstu powietrza i śniegu, zastanawiał się, jak

* Tyr — w mitologii skandynawskiej bóg wojny, prawa i sprawiedliwości.

* Asgard — w mitologii skandynawskiej siedziba bogów.

cenna była przestroga Tyra, gdyż pytanie, kim jest naprawdę, bez reszty zawładnęło jego myślami i noc wydała mu się pełna demonów.

Jechał wciąż szybciej i szybciej nie zważając, że wiatr chłoszcze go bezlitośnie, lecz nie mógł zrzucić ciężaru z serca i myśli. Tylko Freda, powtarzał w duchu, usiłując złapać oddech, tylko Freda może uwolnić go od strachu.

Przed świtem ujrzał na tle nieba mury i wieże Alfheimu. Elfowy gwardzista zadał w róg, żeby dać znać odzwiernym. Skaflok przemknął przez bramę na dziedziniec. Zrzuciwszy narty, wbiegł po schodach do wnętrza zamku.

Imryk, który poprzedniego wieczoru powrócił do Elfheugh, rozmawiał na osobności z Leeą. — I cóż z tego, że Skaflok zakochał się w śmiertelnej dziewczynie? — Wzruszył ramionami. — To jego sprawa, w dodatku niewiele znacząca. Czy jesteś zazdrosna?

— Tak — przyznała otwarcie siostra. — Ale chodzi tu o coś więcej. Sam obejrzyj tę dziewczynę i spróbuj wyczuć, czy jakimś sposobem może się stać bronią wymierzoną przeciwko nam.

— Hm... tak. — Jarl brytyjskich Elfów podrapał się po podbródku i spochmurniał. — Powiedz mi, co o niej wiesz.

— Nazywa się Freda, córka Orma, pochodzi z rozbitego rodu z południa, z krainy Duńczyków...

— Freda... córka Orma... — Imryk stanął jak wryty. — Przecież to znaczy, że...

Skaflok wpadł do komnaty. Jego wymizerowana twarz i dziki wzrok zaskoczyły ich. Upłynęło nieco czasu, zanim mógł mówić, potem zaś opowiedział im wszystko w jednym potoku słów.

— Co Tyr miał na myśli? — zawołał w końcu. — Kim jestem, Imryku?

— Wiem, co miał na myśli — odparł szorstko jarl — i dlatego twoje pochodzenie pozostanie wyłącznie moją tajemnicą, Skaf — loku. Powiem ci tylko, że wywodzisz się z dobrego rodu i że nie ciąży na nim żadna hańba. — Później przywdział swą najlepszą maskę i za pomocą gładkich słów uspokoił Skafloka i Leeę.

Lecz gdy oboje odeszli, Imryk jął chodzić po komnacie mrużąc do siebie: — Ktoś w jakiś sposób zwabił nas na trudną, najeżoną niebezpieczeństwami drogę. — Zacisnął zęby. — Może należałoby

pozbyć się tej dziewczyny... ale nie, Skaflok strzeże jej całą swą potęgą i gdybym znalazł na nią sposób, na pewno dowiedziałby się o tym i... trzeba dochować tajemnicy. Nie chodzi o to, że chłopak przejąłby się tym zbytnio, gdyż w sprawach miłości myśli jak Elf. Lecz gdyby poznał sekret swego pochodzenia, wkrótce i dziewczyna dowiedziałaby się o wszystkim, a przecież złamali jedno z najważniejszych ludzkich praw. Wpadłaby wtedy w rozpacz tak wielką, że nie cofnęłaby się przed niczym, my zaś potrzebujemy Skafloka.

Imryk snuł najrozmaitsze plany, jedne przebieglejsze od drugich. Pomyślał o skierowaniu uwagi Skafloka na inne niewiasty. Ale nie, jego wychowanek natychmiast rozpoznałby każdy napój miłosny, a nad prawdziwą miłością nawet bogowie nie mają mocy. Gdyby jednak uczucie to umarło śmiercią naturalną, sekret Skafloka straciłby jakiegokolwiek znaczenie. Wszelako Imryk nie odważył się zaufać tak nikłej szansie. A zatem należy jak najgłębiej pogrzebać tajemnicę pochodzenia jego wychowanka i to jak najprędzej.

Jarl brytyjskich Elfów poszukał w pamięci. Jak mu się zdawało — gdyż właściwe zapamiętanie wydarzeń trwającego tysiące lat żywota nie należało do najłatwiejszych rzeczy — tylko jedna osoba poza nim znała całą tę historię.

Posłał więc po Ognistą Włócznie, zaufanego gwardzistę — choć tylko dwustuletniego młodzika — lecz chytrego i znającego dobrze magię. — Jakieś dwadzieścia lat temu pewna czarownica mieszkała w lesie na południe od Elfheugh — rzekł. — Mogła umrzeć lub wynieść

się stamtąd, ale chcę, żebyś ją wytropił — i jeśli jeszcze żyje — zabił ją na miejscu.

— Tak, panie. — Skinął głową Ognista Włócznia. — Jeśli wolno mi zabrać kilku myśliwych i psy, wyruszymy wieczorem.

Imryk udzielił mu wskazówek: — Zabierz wszystko, czego potrzebujesz, i zacznij tak szybko, jak możesz. Nie pytaj mnie o powody ani nie rozmawiaj później o tej sprawie.

* * *

Freda z radością powitała ukochanego w ich komnatach. Choć oczarowana była wspaniałością Elfheugh, mimo pozorów odwag' drżała z lęku, ilekroć Skaflok ją opuszczał. Mieszkańcy zamku wysocy, zwinni Elfowie i bosko piękne Elfiny, Niziołkowie, Goblinowie i inne, jeszcze bardziej niesamowite istoty, które na nich pracowały, oraz wiwerny* używane zamiast sokołów na polowaniu, lwy i pantery trzymane dla przyjemności, a także pełne wdzięku elfowe konie i psy — wszystko to było dla niej zupełnie obce. Dotknięcie Elfów były chłodne, ich twarze nieruchome jak oblicza posągów i zarazem nieludzko zmienne, a starodawna, odmienna mowa, strój i obyczaje tworzyły między nimi przepaść nie do przebycia. Przesłonięty błękitną mgiełką wspaniały zamek, który był równie nagą skałą, czary dryfujące w jego wiecznym ciepłym półmroku, duchy nawiedzające wzgórza, lasy i wody — przygniatały ją swą niesamowitością.

Ale kiedy Skaflok był u jej boku, Fredzio wydawało się, iż Alfeim leżał na granicy Raju. (Niech Bóg wybaczy jej takie myśli, szeptała do siebie, jak i to, że nie uciekła z tego pogańskiego miejsca do świętego chłodu i mroku klasztoru!). Skaflok był wesoły, pełen życia i psocił tak długo, aż w końcu Freda mogła tylko śmiać się razem z nim. Z jego ust płynęły pieśni, każda na jej cześć, jego ramiona i usta budziły w niej szaleństwo trwające dopóty, dopóki radość nie złączyła na chwilę ich ciał w Jedność, która Zawsze Śpiewa. Widziała go w walce i zdawała sobie sprawę, że zarówno na ziemiach zamieszkałych przez ludzi, jak i w Krainie czarów znalazłoby się niewielu lepszych odeń wojowników. Była z niego dumna, gdyż sama pochodziła z rodu duńskiego wodza. (Czy jednak nie była złą córką i siostrą, skoro czar, któremu nie mogła się oprzeć, tak szybko wygnał z jej serca smutek i zamiast tego nappełnił je bezgranicznym szczęściem? Nie miała wyboru, gdyż Skaflok nie czekałby, aż minie roczny okres żałoby, a któż mógłby być lepszym ojcem dla wnuków Orma i Elfrydy?). Dla niej zawsze był bardzo dobry.

Wiedziała, że ją kocha. Musi ją kochać, gdyż inaczej dlaczego sypiałby z nią i spędzał u jej boku niemal cały swój czas, skoro mógł mieć każdą Elfinę? Nie wiedziała dlaczego — nie uświadamiała sobie, jak głęboko jej ciepło przenikało do jego duszy, która nigdy dotąd nie zaznała podobnego uczucia. Zanim spotkał Fredę, Skaflok nie zdawał sobie sprawy ze swej samotności. Wiedział, że jeżeli nie zapłaci pewnej ceny, a nie chciał tego uczynić, będzie musiał kiedyś umrzeć, i że jego życie stanie się krótkotrwałym błyskiem w długiej pamięci Elfów. Dlatego dobrze było mieć u boku kogoś takiego jak on sam.

Przez kilka dni, które ze sobą spędzili, byli bardzo zajęci: jeździli na szybkich elfowych rumakach, pływali na smukłych łodziach i przeszli pieszo wiele mil wśród lasów i wzgórz. Freda była dobrą łuczniczką, gdyż Orm chciał, żeby niewiasty z jego rodu umiały się bronić. Kiedy weszła do lasu z łukiem w rękę, a jej włosy mieniły się wszystkimi odcieniami brązu, wyglądała jak młoda bogini łowów. Przyglądali się czarownikom i komediantom, słuchali muzykantów i skaldów, którzy zachwycali Elfów swym kunsztem, chociaż ci ostatni często byli zbyt przebiegli i wyrafinowani jak na ludzki gust. Gościli też u przyjaciół Skafloka: Gnomów mieszkających między korzeniami drzew, smukłych białych duchów wód, starego Fauna o smutnych oczach i u

* Wiwerny — dwunogie skrzydlate smoki.

dzikich zwierząt. Wprawdzie Freda nie mogła z nimi rozmawiać, ale na ich widok uśmiechała się i przyglądała się im szeroko otwartymi oczami.

Niewiele myślała o przyszłości. Oczywiście pewnego dnia musi przyprowadzić Skafloka do krainy ludzi i namówić go, żeby przyjął chrzest. Na pewno będzie to dobry uczynek, za który zostaną jej wybaczone obecne grzechy. Ale jeszcze nie, nie teraz. W Elfheugh czas zdawał się stać w miejscu i dziewczyna straciła rachubę dni i nocy, a przecież tyle jeszcze było do zrobienia.

Rzuciła się w ramiona Skafloka. Wszystkie jego zmartwienia rozwiały się — jak mgła na jej widok: młoda, smukła, zwinna, długonoga, bardziej dziewczyna niż niewiasta — jego niewiasta. Objął dłońmi talię Fredy, podrzucił dziewczynę do góry i znowu złapał, a przez cały czas oboje zanosili się od śmiechu.

— Postaw mnie na podłogę — jęknęła. — Postaw mnie, żebym mogła cię pocałować.

— Zaraz. — Skaflok znów podrzucił ją do góry i nakreślił jakiś znak. Freda zawisała w powietrzu, nieważka, kopiać i dusząc się ze śmiechu i zaskoczenia. Młodzieniec przyciągnął ją do siebie i wisiała nad nim dotykając ustami jego ust.

— Nie będę z tego powodu wyciągał szyi — zdecydował. On także uczynił się nieważkim i wyczarował chmurę, nie wilgotną, lecz podobną do stosu białych piór, aby mogli na niej spocząć. Z jej środka wyrosło drzewo uginające się pod ciężarem najrozmaitszych owoców i tęcze wyginały się łukiem wśród jego liści.

— Któregoś dnia, szaleńcze, zapomnisz jakąś część swojej sztuczki, spadniesz i rozbijesz się na kawałki — powiedziała Freda.

Przytulił ją do siebie i zajął w oczy. Później policzył wszystkie piegi na jej nosku i pocałował ją tyle samo razy. — Powiniennem sprawić, żebyś stała się cętkowana jak lampart — rzekł.

— Czy potrzebujesz takiej wymówki? — zapytała cicho. — Tęskniłam za tobą, ukochany. Jak ci poszło na polowaniu?

Skaflok spochmurniał, gdy przypomniał sobie wszystko.

— Dość dobrze.

— Coś cię trapi, kochanie. Co się stało? Przez całą noc grano na rogach, słyszałam kroki i tętent końskich kopyt. Każdego dnia widzę w zamku coraz więcej zbrojnych mężów. Co się dzieje, Skafloku?

— Wiesz, że prowadzimy wojnę z Trollami — wyjaśnił. — Pozwalamy, aby przybyli do nas, gdyż trudno by było napaść na ich górską twierdzę, gdzie trzymają wszystkie swoje siły.

Wzdrygnęła się w jego ramionach.

— Trollowie...

— Bez obawy — rzekł Skaflok, starając się odegnać dręczący go niepokój. — Stoczmy z nimi bitwę na morzu i zniszczymy ich potęgę. A każdemu, który wylądował, pozwolimy zostać z taką ilością ziemi, jaka będzie potrzebna, aby go pogrzebać. Kiedy ich pokonamy, podbój Trollheimu będzie dziecinną zabawką. Och, bój będzie zacięty, lecz Alfheim musiałby bardzo się starać, żeby nie zwyciężyć.

— Boję się o ciebie, Skafloku. Odpowiedział jej tak:

*Kiedy piękna wróżka
Lęka się o wodza,
Ten cieszy się bardzo,
Gdyż wie, że go kocha.
Dziewczę, nie smuć się,
Rad przyjmę podarek,*

*Który mi dajesz,
Promienna niewiasto.*

Równocześnie począł rozwiązywać jej pasek. Freda zarumieniła się. — Jesteś bezwstydnym — powiedziała i zajęła się jego odzieniem.

Skaflok uniósł brwi. — Dlaczego? — zapytał. — Co w tym jest takiego, czego należałoby się wstydzić?

* * *

Ognista Włócznia wyruszył następnej nocy, wkrótce po zachodzie słońca. Kilka posepnych żagwi dopalało się jeszcze na niebie. On sam i tuzin jego pomocników odziani byli w zielone myśliwskie tuniki, na które narzucili czarne płaszcze z kapturami. Ich włócznie i strzały miały groty ze stopu srebra. Wokół ich koni krążyły rozszczekane elfowe psy, wielkie dzikie bestie o czerwonej lub czarnej sierści, ognistych oczach i ostrych jak sztylety kłach ociekających śliną. W ich żyłach płynęła krew Garma, Fenrisa* i psów Dzikich Myśliwych.

Ruszyli w drogę, gdy Ognista Włócznia zadał w róg. Tętent końskich kopyt i szczekanie psów ‘rozniosły się echem wśród wzgórz. Pomknęli jak wiatr w gęstym mroku między oblodzonymi drzewami. Wśród gonitwy cieni można było dostrzec lśnienie srebra, zdobne drogimi kamieniami rękojeści, krwawy błysk psich ślepi i nic więcej, ale wrzawa towarzysząca ich przejazdowi dotarła do najdalszych krańców lasu. Myśliwi, smolarze i wygnańcy, którzy usłyszeli ten harmider, wzdrygnęli się i nakreślili znak Krzyża lub Młota*, a dzikie zwierzęta umknęły do swych kryjówek.

Czarownica siedząca w kucki w szałasie, który zbudowała tam, gdzie przedtem stała jej chata — ponieważ najwięcej mocy czerpała z okolicy — usłyszała z oddali nadjeżdżający oddział. Pochyliła się nad niewielkim ogniskiem i mruknęła: — Elfowie polują dzisiejszej nocy.

— Tak — pisnął jej Chowaniec. A gdy zgiełk przybliżył się, dodał: — Myślę, że polują na nas.

— Na nas? — Czarownica drgnęła z zaskoczenia. — Dlaczego to mówisz?

— Zdążają prosto w tę stronę. Ty zaś nie jesteś przyjaciółką Skafloka, a więc i samego Imryka. — Szczur zapiszczał ze strachu i wdrapał się jej za pazuchę. — Teraz, matko, szybko wezwij pomoc albo już po nas.

Nie miała czasu ani na obrzędy, ani na ofiary, wykrzyczała więc zew, którego ją nauczono, i mrok ciemniejszy od nocy pojawił się za ogniskiem.

Czarownica padła na twarz. Przez kłęb mroku przebiegły zimne, błękitne ogniki. — Pomocy — zajęczała. — Pomocy, Elfowie są już blisko.

Oczy demona spoglądały na nią bez gniewu czy litości. Zgiełk stał się głośniejszy. — Pomocy! — zapłakała.

Demon przemówił głosem, który zlewał się ze świstem wiatru, i zdawał się dochodzić z bardzo daleka: — Czemu mnie wezwałeś?

— Oni... dybią... na moje życie.

— To co z tego? Słyszałem, jak kiedyś powiedziałaś, że nie wiele obchodzi cię twoje życie.

— Moja zemsta jeszcze się nie dokonała — szlochała czarownica. — Nie mogę teraz umrzeć nie wiedząc, czy moja praca i cena, jaką zapłaciłam, poszły na marne. Panie, pomóż twej

* Garm — w mitologii skandynawskiej demoniczny pies strzegący wejścia do krainy umarłych, Fenris — potworny wilk, syn olbrzymki Angurbodry i boga ognia Lokiego.

* Znak Thora.

służebnicy!

— Nie jesteś moją służebnicą, ale niewolnicą — zaszemrał demon. — Cóż mnie obchodzi, czy spełniły się twoje pragnienia? Jestem władcą zła, które jest marnością nad marnościami. Czy wydaje ci się, że kiedyś mnie wezwałaś i że dobiłaś ze mną targu? Nie, wyprowadzono cię w pole. To był ktoś inny. Śmiertelnicy nigdy nie sprzedają mi swych dusz, lecz oddają.

I Księżę Ciemności zniknął.

Czarownica wrzasnęła ze strachu i wybiegła z szałas. Elfowe psy, odstręcone wonią tego, który był tu niedawno, zaszczeły i zawróciły. Wiedźma zamieniła się w szczura i wpełzła do nory Pod dębem druidów.

— Jest blisko! — zawołał Ognista Włócznia. — I — Ha! Zwęszyły trop!

Psy otoczyły dąb. Grudki ziemi pryskały na wszystkie strony, kiedy poczęły kopać w poszukiwaniu łupu, rwąc korzenie i szczekając głośno. Czarownica wybiegła, zamieniła się we wronę i poszybowała w górę. Ognista Włócznia napiął łuk. Wrona spadła na ziemię i znów przybrała postać starej jędry. Psy rzuciły się na nią. Szczur wyskoczył zza pazuchy czarownicy. Jeden z koni podniósł podkutą srebrem nogę, aby go zmiażdżyć.

Elfowe psy rozszarpały nieszczęsną na kawałki. Gdy to czyniły, wiedźma krzyknęła do Elfów: — Niech wszystkie moje przekleństwa, wszystkie nieszczęścia spadną na Alfheim! I powiedzcie Imrykowi, że Walgard Odmieniec żyje i wie o wszystkim...

Nie powiedziała nic więcej. — Było to łatwe polowanie — rzekł Ognista Włócznia. — Bałem się, że będziemy musieli uciec się do pomocy czarów, aby odnaleźć ślady jej wędrówek przez minione dwadzieścia lat, może nawet szukać w obcych krajach. — Wciągnął w nozdrza powietrze. — A tak możemy przez resztę nocy poszukać lepszej zwierzyny.

Imryk szczerze wynagrodził myśliwych, lecz gdy z pewnym zdziwieniem opowiedzieli mu o ostatnich słowach czarownicy, zasępił się.

* * *

Walgard zapewnił sobie wysoką pozycję na dworze Króla Trollów jako wnuk Illredeggo i mocarny wojownik, który mógł używać żelaza. Lecz trollowi wielmoże spoglądali nań z ukosa, gdyż w jego żyłach płynęła również krew Elfów, a w dodatku przybył z krainy ludzi. Poza tym zazdrościli przybyszowi, który po tym, jak czar mowy umożliwił mu posługiwanie się ich językiem, od razu znalazł się w ich szeregach. I tak oto Walgard nie znalazł przyjaciół w Trollheimie. Zresztą nie szukał ich, gdyż wygląd, zapach i zwyczaje tego ludu budziły w nim odrazę.

Byli oni jednak nieulekliwi i niezwykle silni. Ich czarownicy władali mocami niedostępnymi żadnemu śmiertelnikowi. Ich naród był najsilniejszy w Krainie Czarów z wyjątkiem — być może — Alfheimu. Taka sytuacja w pełni odpowiadała Walgardowi, gdyż wśród Trollów znalazł środki umożliwiające mu zemstę i odzyskanie utraconego dziedzictwa.

Illrede zapoznał go ze swymi planami. — Przez cały okres pokoju szykowaliśmy się do wojny — rzekł — podczas gdy Elfowie próżnowali, intrygowali między sobą i używali wszelkich przyjemności. Nie jesteśmy tak liczni jak oni, ale wraz z tymi, którzy pójdą z nami, tym razem znacznie przewyższymy ich liczebnie.

— Co to za jedni? — zapytał Walgard.

— Pokonaliśmy większość plemion Goblinów lub zawarliśmy z nimi sojusz — odparł Illrede. — Żywią oni zadawnione urazy zarówno do Trollów, jak i do Elfów, lecz obiecałem im łupy i wolność dla wszystkich posiadanych przez nas niewolników z ich rasy, a także miejsce tuż za nami, gdy obejmemy rządy w Krainie Czarów. Są dość liczni i nader dzielni z nich wojownicy.

— Poza nimi mamy też kompanie z dalekich krajów — demony znad Bajkału, Szenów z Kathaju, Oniów z Cipangu* i Dżinnów z mauretańskich pustyń, którzy znacznie zasilili nasze szeregi. Przybyli tu dla łupów i nie możemy im w pełni zaufać, ale użyję ich w boju zgodnie z ich umiejętnościami. Są również maruderzy, którzy przybyli pojedynczo lub niewielkimi grupami — wilkołaki, wampiry, ghule* i im podobni. Mamy też wielu niewolników z ludu Niziołków. Niektórzy z nich także wezmą udział w walce w zamian za obietnicę wolności i w dodatku mogą dotykać żelaza.

— W obliczu tak wielkiej armii Elfowie są osamotnieni. Może uda im się wytrzasnąć skądś kilku Goblinów, Niziołków, czy kogoś podobnego, ale w zasadzie ci się nie liczą. W najlepszym wypadku mogą mieć nadzieję na pomoc Sidhów*. Jednakże wypowiedziałem się, że tamci zamierzają stać na uboczu, jeżeli ich wyspa nie zostanie zaatakowana, a my będziemy uważali, żeby tego nie zrobić... w tej wojnie.

— To prawda, że przywódcy Elfów są chytry i znają się na magii — lecz ja i moi wodzowie również. — Illrede zaśmiał się chrapliwie. — Och, złamiemy Alfheim jak suchy patyk na kolanie!

— Czy nie możecie zwrócić się o pomoc do Jotunów? — zapytał Walgard, który nadal się uczył tajników świata, w którym się znalazł. — Oni są spokrewnieni z Trollami, prawda?

— Nawet nie wspominaj o czymś takim! — skarcił go Illrede. — Nie ośmielimy się wezwać na pomoc lodowych olbrzymów tak samo jak Elfowie Asów. — Zadrżał. — Nie chcemy w jeszcze większym stopniu stać się pionkami zwalczających się Mocy spoza Księżyca, niż już jesteśmy. Nawet gdyby się zgodzili, ani my, ani Elfowie nie odważymy się ich wezwać, gdyż jeśli Asowie lub Jotunowie wtargnęliby do Midgardu*, druga strona wyruszyłaby przeciw nim, a wówczas rozegrałaby się ostatnia bitwa*.

— Jak to się wszystko ma do udzielanych mi nauk o... nowym bogu?

— Lepiej nie mówić o tajemnicach, których nie możemy zrozumieć. — Illrede jął chodzić ociężale po wykutej w skale komnacie, w której prowadzili rozmowę w migotliwym blasku pochodni. — To właśnie z powodu bogów żaden mieszkaniec Krainy Czarów nie ośmielił się wyrządzić wielkiego zła ludziom, zwłaszcza tym, którzy zostali ochrzczeni. Nieco czarów, pożyczony na noc koń, porwane dziecko lub niewiasta i niewiele więcej, a i to nie za często. Ludzie lękają się nas teraz, ale gdyby zaczęli bać się za bardzo, wówczas zwróciliby się o pomoc do bogów, którzy się nimi opiekują, i zostaliby wysłuchani. Co gorsza, mogliby razem wezwać nowego białego boga, to zaś stałoby się końcem Krainy Czarów.

Walgard drgnął. Tej samej nocy poszedł do płytkiego grobu Asgerd, wykopał jej ciało i zabrał na pokład małej trollowej łodzi. Popłynął na południowy wschód, gnany czarodziejskim wiatrem (Illrede nauczył go, jak należy to robić), aż dotarł do niewielkiej wioski nad zatoką Moray w Szkocji.

Przez mrok i śnieżną zawieruchę zaniósł zawinięte w płaszcz zwłoki do kościoła. Zakradł się na cmentarz, w odległym kącie wykopał jamę, złożył w niej ciało Asgerd i zasypał ziemią, żeby nikt się nie dowiedział, iż tam był.

— Teraz śpisz w poświęconej ziemi, siostrze, tak jakbyś tego pragnęła — szepnął. —

* Kathaj — Chiny (por. str. 90), Cipangu — Japonia.

* Ghule — demony, które bezczeszczą groby i żywią się trupami.

* Sidhowie — irlandzcy Elfowie. Przewodzili im Tuatha De Danaan, Plemię Bogini Danu, dawni bogowie Irlandii.

* Midgard — w mitologii skandynawskiej środkowa część wszechświata zamieszkała przez ludzi.

* W mitologii skandynawskiej bitwa między bogami a Jotunami i ich sprzymierzeńcami, po której miał nadejść Ragnarök, zagłada bogów i całego wszechświata.

Uczyniłem wiele złego, ale może zechcesz modlić się za moją duszę... — Urwał i rozejrzał się dookoła w oszłomieniu czując, że ogarnia go strach, którego dotąd nie znał. — Dlaczego tu jestem? Co ja tu robię? Ona nie jest moją siostrą. Jestem stworem, który powstał dzięki czarom. Nie mam duszy...

Zawył i wielkimi susami popędził do łodzi, po czym pożeglował na północny zachód, jakby gonili go wszyscy diabli.

* * *

Wreszcie nadszedł czas mobilizacji trollowych zastępów. Illrede, któremu nie brakowało przebiegłości, nie zgromadził swojej armii w jednym miejscu, gdzie elfowi zwiadowcy mogliby wysledzić, jak była liczna. Każda część floty wypłynęła z własnego portu mając na pokładzie okrętu flagowego czarownika lub innego znawcę magii, który powinien dopilnować, żeby wszyscy przybyli na wyznaczone miejsce w tym samym czasie. Znajdowało się ono nieco na północ od angielskich ziem Alfheimu, tak by Trollowie mogli wylądować na pustych plażach, a nie naprzeciw elfowych twierdz. Illrede właśnie tam zamierzał złamać morską potęgę Elfów, później zaś ruszyć na południe zarówno morzem, jak i lądem, póki nie opanuje całej wyspy. Wówczas pozostawiłby tu część swoich sił, zleciwszy im, aby wytepiły wszystkich Elfów, którzy nie zginęli i nie poddali się, a tymczasem jego główna flota miała przepłynąć Kanał i dotrzeć do pozostałych prowincji Alfheimu. Jednocześnie niektóre jego oddziały wyruszyłyby lądem z Finlandii, Wendlandii* i położonych dalej na wschód siedzib Trollów. W ten sposób Trollowie zaatakowałyby Króla Elfów z zachodu i ze wschodu — a kiedy tylko cała Anglia zostałaby podbita, również z północy — i zmiażdżyliby go.

— Elfowi wojownicy są bardzo szybcy — rzekł Illrede — ale myślę, że Trollowie choć raz okażą się szybsi.

— Daj mi zwierzchnictwo nad Anglią — poprosił Walgard — a dopilnuję, żeby żaden Elf nie przeżył czasów, kiedy będę Jarlem.

— Obiecałem to Grumowi — odparł Illrede — lecz ty, Walgardzie, popłyniesz ze mną i w Anglii uczynię cię drugim po Grumie.

Walgard oświadczył, że się tym zadowoli. Zmierzył Gruma zimnym spojrzeniem i pomyślał, że trollowego wielmożę bardzo łatwo może spotkać jakieś nieszczęście — a to uczyniłoby jego, Walgarda, jarlem Anglii, tak jak przepowiedziała mu czarownica.

Wsiadł na pokład okrętu flagowego wraz z Illredem i gwardią królewską. Był to wielki statek o wysokich burtach i wykutej przez Niziołków żelaznej ostrodze, którą mógł taranować wrogie jednostki, cały czarny z wyjątkiem końskiej czaszki jako galeony. Trollowi wojownicy posiadali broń i zbroje z lekkich stopów, choć większość z nich zabrała również kamienne narzędzia wojny, których waga odpowiadała ich ogromnej sile. Illrede nosił złotą koronę na czarnym hełmie i cenne futra na kaftanie ze smoczej skóry, którą nie mogła przebić nawet stal. Inni byli równie bogato odziani. Była to niesforna i zarozumiała załoga. Tylko Walgard nie nosił żadnych ozdób. Jego twarz zastygła jak maska, a na widok żelaznego topora i zbroi berserkerów Trollowie omijali go z lękiem.

W królewskiej części floty było znacznie więcej statków. Większość z nich miała niezwykle rozmiary i noc rozbrzmiewała okrzykami, graniem rogów i tupotem nóg. Ogromne korabie Trollów poruszały się wolniej od elfowych, gdyż były szersze, cięższe i nie tak zręcznie zbudowane, więc rankiem nadal przebywały na morzu. Załogi schroniły się pod zasłonami, które

* Wendlandia — kraje słowiańskie.

odcięły dostęp znenawidzonemu przez nich światłu słonecznemu, i pozwoliły statkom płynąć dalej. Były one niewidzialne dla śmiertelnych oczu, które nie otrzymały czarodziejskiego wzroku.

Następnej nocy cała flota zgromadziła się w wyznaczonym miejscu. Walgard był pełen podziwu. Wydawało się, że powierzchnię morza pokrył kobierzec ze statków. Każdy z nich roił się od zbrojnych mężów, z wyjątkiem tych jednostek, które przewoziły wielkie kosmate konie Trollów. Mimo to kapitanowie tak dobrze znali plany Illredeg, że każdy zajmował od razu swą pozycję w szyku.

Statki i ich załogi, które wyruszyły przeciw Alfheimowi, były niezwykle różnorodne. Długie, wysokie, czarne korabie Trollów znajdowały się w środku, tworząc tępy klin z okrętem Illredeg na czele. Z prawej i z lewej burty ustawili się Goblinowie, niektórzy na trollowych jednostkach, inni zaś na własnych smukłych drakkarach z czerwonymi węzami na dziobach; mieli weselsze od Trollów usposobienie, na srebrnych zbrojach nosili fantastyczne kostiumy, a uzbrojeni byli przeważnie w lekkie miecze, włócznie i łuki. Na skrzydłach wielkiej floty rozłożyły się eskadry zagraniczne: uzbrojeni w piki ogromni Szenowie, władający katanami Oniowie w malowanych dżonkach, zwinni Dżinnowie na galerach z przykutymi do wiosel niewolnikami i machinami wojennymi na pokładach, barki skrzydlatych demonów znad Bajkału, Niziołkowie w żelaznych zbrojach, potwory ze wzgórz, lasów i bagien, które walczyły tylko za pomocą zębów i pazurów. Wszystkimi okrętami dowodzili Trollowie i tylko najbardziej godni zaufania sprzymierzeńcy znajdowali się w pierwszym szeregu, który był na końcach osłonięty przez trollowe jednostki. Za pierwszym klinem znajdował się drugi, a poza nim rezerwy, które miały być użyte w razie potrzeby.

Na trollowych statkach zahuczały rogi, odpowiedziały im fujarki Goblinów, gongi Szenów i bębny Dżinnów. Chmury wisiały nisko nad masztami i morze pieniało się bielą od licznych wiosel. Błędne ogniki pełzały po rejach i takielunku, robiąc miny do niebieskich światel w górze. Wiatr wzdychał nad głowami i niespokojne duchy pędziły przez ciężkie, brzemienne śniegiem chmury.

— Wkrótce rozpocznie się bitwa — powiedział Illrede do Walgarda — a wtedy będziesz mógł poszukać zemsty, której pragniesz.

Berserker nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w mrok.

XIV

Imryk ciężko pracował przez ponad miesiąc po nieudanym napadzie Elfów na Trollheim. Niewiele dowiedział się o wrogach, ponieważ Illrede i jego czarownicy bardzo szczelnie zasłonili swój kraj za pomocą czarów, ale zdawał sobie sprawę, że w Trollheimie gromadzi się wojsko składające się z wielu narodów i że najprawdopodobniej najpierw uderzy ono na Anglię. Dlatego starał się ściągnąć wszystkie statki i wojowników ze swej prowincji i posłał za granicę po taką pomoc, jaką mógł otrzymać.

Niewielu mężów przybyło spoza Anglii. Każda prowincja Alfheimu sama przygotowywała się do obrony, gdyż Elfowie byli zbyt hardzi, żeby razem dobrze współpracować. Poza tym okazało się, iż wszystkich najemnych żołnierzy w Krainie Czarów już przed laty przyjął na służbę Illrede. Imryk przesłał wieści do Sidhów w Irlandii, obiecując im bogate łupy i podbój Trollheimu, lecz otrzymał chłodną odpowiedź, że dość już złota i innych bogactw lśni na ulicach Tir–nan–Ogu* i w jaskiniach Leprechaunów*. I tak oto jarl angielskich Elfów stwierdził, że nie znajdzie żadnego poparcia za granicą.

Niemniej jego siły były wielkie i w miarę jak z nocy na noc powiększały się zastępy Elfów, rosła wśród nich okrutna radość. Nigdy, myśleli, nigdy dotąd w Alfheimie nie zgromadzono tak wielkich sił. I chociaż wrogowie na pewno przewyższali ich liczebnie, w bezpośrednim starciu męża z mężem i statku ze statkiem Elfowie okażą się lepsi; poza tym będą walczyć w pobliżu ojczyzny, na wodach i plażach, które dobrze znali. Niektórzy spośród młodszych wojowników utrzymywali nawet, że nie tylko angielscy Elfowie pokonają flotę Trollów, lecz że bez dodatkowej pomocy zdołają przenieść wojnę do Trollheimu i podporządkować go swej woli.

Z Orkadów i Szetlandów przybył Flam (syn tego Flama, który poległ w czasie wyprawy Skafloka) pałając żądzą pomśzczenia ojca. On i jego bracia należeli do najlepszych kapitanów w całej Krainie Czarów. Ich złożona z dakkarów flota, mknąc na południe, kładła cień na morskich falach. Tarcze błyszczały wzdłuż wręgów, wiatr świszczwał wśród lin, a syk morza oranego dziobami okrętów równie dobrze mógł wydobywać się z węzowych głów, które je zdobyły.

Z szarych wzgórz i wrzosowisk Piktlandii* wymaszerowali dzicy wodzowie odziani w skórzane pancerze, z bronią zakończoną krzemiennymi grotami w dłoniach. Byli niżsi i mocniej zbudowani od prawdziwych Elfów. Mieli ciemną skórę, długie, czarne kędziory i brody powiewające wokół wytatuowanych twarzy, gdyż w ich żyłach płynęła krew Trollów, Goblinów i jeszcze starszych ludów oraz piktyjskich niewiast porwanych w dawno minionych dniach. Wraz z nimi przybyła pewna liczba mniej znacznych Sidhów, którzy przed wiekami przyłączyli się do plemion szkockich: skaczący niczym kozy, pokraczni Leprechaunowie oraz wysocy, piękni wojownicy w lśniących zbrojach, kroczący dumnie z włóczniami w dłoniach lub jadący rydwanami bojowymi, które zaopatrzone w brzeszczoty na piastach do koszenia wrogów.

Z południa, ze wzgórz i podziurawionych jaskiniami wybrzeży Kornwalii i Walii przybyli niektórzy spośród najstarszych Elfów na całej wyspie, konno lub rydwanami, odziani w kolczugi, a ich sztandary opowiadały o minionej chwale; zielonowłosi, białoskórzy wodnicy, którzy otaczali się szarym welonem słonej mgły, by utrzymać wilgoć na lądzie; kilku wiejskich półbogów, których niegdyś sprowadzili tu, później zaś porzucili Rzymianie oraz nieśmiali leśni Elfowie, klan za klanem.

* Tir–nan–Og — Kraina Młodości, leżący na zachód od Irlandii ziemski raj, w którym mieszkali Sidhowie.

* Leprechaunowie — sidhańscy szewcy, a zarazem stróże ukrytych skarbów.

* Piktlandia — dzisiejsza Szkocja, Piktowie — jej pierwotni mieszkańcy.

Na ziemiach Anglów i Sasów nie było ich wielu, gdyż mieszkańcy Krainy Czarów, którzy niegdyś tu żyli, uciekli lub zostali wypędzeni za pomocą egzorcyzmów. Ale ci, którzy pozostali, odpowiedzieli na wezwanie Imryka. Nie należało też lekceważyć owych Elfów, choć często byli biedni i zacofani, ponieważ wielu mogło się szczyścić pochodzeniem od Weylanda* albo i samego Odyna. Byli najlepszymi kowalami w całej prowincji, gdyż mieli domieszkę krwi Niziołków i znaczna ich część zamierzała użyć w walce swych wielkich młotów.

Lecz najpiękniejsi i najdumniejsi byli ci, którzy mieszkali w pobliżu Elfheugh. Wielmoże skupieni wokół Imryka górowali nad pozostałymi Elfami nie tylko pochodzeniem, ale również Urodą, mądrością i bogactwem. Byli zapalczywi, szli do boju odziani barwnie jak na wesele i całowali swe włócznie niczym panny młode. Znali dobrze magię i rzucali straszne czary, by pognać wrogów albo ochronić przyjaciół. Nowo przybyli Elfowie spoglądali na nich z lękiem, co jednak nie przeszkadzało im cieszyć się jadłem i trunkami, które tamci przysłali do ich obozów, oraz szukającymi rozrywki niewiastami.

Freda z wielkim zainteresowaniem przyglądała się mobilizacji armii Elfów. Widok tych nieludzkich wojowników, kroczących dumnie o zmierzchu i w nocy, o twarzach tylko na pół dostrzegalnych dla jej oczu i w ten sposób jeszcze bardziej niesamowitych, budził na przemian zaskoczenie i zachwyt, strach i dumę. Skaflak, jej ukochany, zajmował wśród nich wysoką pozycję i posiadał większą władzę niż jakikolwiek śmiertelny król.

Ale rządził istotami pozbawionymi dusz. Freda przypomniała sobie niedźwiedzią siłę Trollów. A gdyby miał polec z ich ręki?

Ta sama myśl i jemu przysłała do głowy. — Może powinienem zabrać cię do przyjaciół, których masz w krainie ludzi — powiedział z namysłem. — Możliwe, choć w to nie wierzę, że Elfowie przegrają wojnę z Trollami. Prawdą jest, iż wszystkie znaki źle nam wróżą. A gdyby tak się stało, nie byłoby tu dla ciebie miejsca.

— Nie — nie. — Spojrzała na Skafloka z przerażeniem, po czym ukryła twarz na jego piersi. — Nie opuszczę cię. Nie mogę.

Zmierzył jej włosy. — Wróciłbym po ciebie później — rzekł.

— Nie... Może się zdarzyć, że ktoś w jakiś sposób namówi mnie lub zmusi do pozostania... nie wiem, kto to mógłby być poza księdzem, ale słyszałam o takich wypadkach... — Przypomniała sobie piękne Elfiny i spojrzenia, jakimi obrzucały Skafloka. Młodzieniec poczuł, że Freda zeszywniała w jego ramionach. Powiedziała stanowczo: — Tak czy owak, nie opuszczę cię. Zostaję.

Przytulił ją mocniej z radości.

Nadeszły wieści, że Trollowie wypłynęli na morze. Ostatniej nocy, nim Elfowie sami wyruszyli przeciw wrogom, wyprawili w Elfheugh wspaniałą ucztę.

Jadalnia Imryka była ogromna. Freda, siedząca obok Skafloka w pobliżu wysokiego rzeźbionego krzesła jarla Eflów, nie mogła dojrzeć dalszych ścian sali i tylko przelotnie przyjrzeć się krokwiom ozdobionym motywami winorośli. Chłodny, błękitny półmrok, który tak lubili Elfowie, zdawał się snuć jak dym, chociaż samo powietrze było czyste i pachniało kwiatami. Wnętrze sali rozjaśniały niezliczone świece, umieszczone w ciężkich, brązowych kandelabrach. Ich srebrzyste, nieruchome płomienie odbijały się od zawieszonych na ścianach tarcz i złotych płyt z wygrawerowanymi zawilumi wzorami. Stojące na śnieżnobiałych obrusach talerze, misy i czary również były wykonane z metali szlachetnych i wysadzone drogimi kamieniami. I choć Freda przyzwyczaiła się w Elfheugh do wykwintnych dań, teraz zakręciło się jej w głowie od mnóstwa potraw — dziczyzny, ptactwa, ryb, przypraw, słodczy, różnych gatunków piwa,

* Weyland — w mitologii skandynawskiej bóg kowali.

miodów pitnych i win, które podano tego wieczoru.

Elfowie odziani byli w bogate szaty. Skaflok miał na sobie tunikę z białego jedwabiu i obcisłe płócienne spodnie, kubrak z barwnym haftem układającym się w zagmatwany labirynt, złocisty pas z ozdobionym drogimi kamieniami sztyletem w pochwie z elektrum*, ciżmy ze skóry jednorożca i szkarłatną, gronostajową pelerynkę, która spływała mu z ramion niczym strumienie krwi. Freda odziana była w przejrzystą suknię z pajęczego jedwabiu, mieniającą się wszystkimi barwami tęczy. Brylantowy naszyjnik lśnił na jej małych, jędrnych piersiach, ciężki złoty pas obejmował talię, złote bransolety zdobiły obnażone ręce, a na nogach miała aksamitne trzewiczki. Oboje włożyli też diademy błyszczące od drogich kamieni, jak przystało na dostojnika Alfheimu i jego aktualną wybrankę. Inni biesiadnicy byli nie mniej strojni, nawet biedniejsi wodzowie z dalekich stron nosili ozdoby z nie obrobionego złota.

W sali rozbrzmiewała muzyka — nie tylko niesamowite melodie, które tak lubił Imryk — lecz także dźwięki sidhańskich harf i smętne nuty piszczałek używanych w zachodniej części wyspy. Toczono rozmowy, prędkie, błyskotliwe, okrutne, prawdziwe pojedynki słowne, pełne subtelnych drwin, pchnięć, parad i dźwięczny śmiech często rozlegał się za stołami.

Lecz gdy ustały rozmowy i powinni byli wystąpić trefnisie, zawołano o taniec mieczy. Imryk spochmurniał, gdyż nie chciał, aby wszyscy poznali wróżebne znaki, ale ponieważ pragnęła tego większość gości, nie mógł odmówić.

Elfowie i Elfiny wyszli na środek sali. Mężowie zrzucili z siebie szaty krępujące ruchy, niewiasty zaś wszystko. Niewolnicy przynieśli każdemu tancerzowi miecz. — Co oni robią? — zapytała Freda.

— To stary taniec wojenny — odparł Skaflok. — Przypuszczam, że będę musiał odegrać rolę skalda, gdyż żaden człowiek nie mógłby odtańczyć go bez uszczerbku dla siebie, nawet gdyby znał wszystkie figury. Tańczą go przy wtórze dziewięćdziesięciu dziewięciu wierszy, które skald musi ułożyć na poczekaniu. Jeżeli nikt nie odniesie rany, poczytają to za pomyślną wróżbę, omen zwycięstwa, ale jeśli ktoś zginie, oznacza to klęskę i zagładę. Nawet draśnięcie to zły znak. Nie podoba mi się to.

Niebawem Elfowie stanęli w dwuszeregu naprzeciw siebie i skrzyżowali w górze miecze. Za każdym z nich stanęła Elfina, czekając w napięciu. Szeregi tancerzy ginęły w błękitnym półmroku jadalni, tworząc nawę ze sklepieniem z błyszczących brzeszczotów. Skaflok stanął przed krzesłem jarla.

— Dalej, zaczynajcie! — zawołał głośno Imryk.

Skaflok zaśpiewał:

*Trwają szermiercze zmagania,
Odrzucono wrogów na plażę,
Gdzie wrzawa przemawia
Językiem metalu:
Dzwonem brązu
I szczękiem toporów.
Dymi krew i śpiewają
Włócznie królów morza.*

Kiedy zaczął śpiewać, tancerze ruszyli do przodu i zgrzyt mieczy zawtórował słowom pieśni. Tancerki zwinnie pomknęły przed tancerzy. Każdy mąż ujął lewą dłonią prawą rękę niewiasty,

* Elektrum — stop złota i srebra.

która zawirowała w tańcu pod zwężającym się sklepieniem z mieczy, gdy błyskały i dźwięczały słowa.

Skaflok ciągnął:

*Trwają szermiercze zmagania,
Szaleją jak burza:
Połyskują krwawo
Tarcz wschodzące księżycy,
Wichrem świszczą strzały,
Uderzają gromem włócznie.
Już nie wrócą młodzi chłopcy
Do swych ukochanych.*

Elfiny płażały wśród wirujących, migocących brzeszczotów, szybko i zręcznie wykonując taneczne figury równie skomplikowane, jak wzór koronek piany na grzbietach fal. Mężowie zbliżali się do siebie w tańcu, mijali, obracali wokół własnej osi, a każdy rzucał swój miecz do tancerza po przeciwnej stronie, nie godząc w zwinne białe ciało, i chwycił ciśnięty ku niemu brzeszczot.

Skaflok śpiewał:

*Trwają szermiercze zmagania,
Brzmi bojowy zew,
Ostrze miecza krwią się barwi,
Rozbija tarcze i hełmy.
Kiedy błyska gniewnie brzeszczot,
Gdy jak grom uderza,
Głośno wyją głodne wilki,
Czeka żeru sokół.*

Tancerze krążyli w tańcu i obracali się wokół własnej osi szybciej, niż mogłoby to dostrzec oko śmiertelnika; ich miecze ze świstem przemykały między tancerkami. Brzeszczoty zanuciły ciszej swą pieśń i jakaś Elfina przeskoczyła przez nie, a ostre krawędzie uniosły się tuż za nią. Teraz każdy z tancerzy pochwycił swą partnerkę i otoczył jej ciało świetlistą metalową wstęgą. Po czym Elfowie znów fechtowali się w tańcu, Elfiny zaś skakały jak sarny w tych rzadkich chwilach, gdy miecze się cofały.

Skaflok nie przestawał śpiewać:

*Trwają szermiercze zmagania!
Szczęk metalu wzywa
Wojów do tańca
(A zginie każdy tancerz).
Rechoczą trombity,
Wzywają do boju.
Łatwiej było, chłopcy,
Spać w objęciach niewiast.*

Skacząc i robiąc uniki jak biała błyskawica wśród szczęku brzeszczotów, Leea zawołała: —

Och, Skafloku, dlaczego twoja dziewczyna, która tak cię kocha, nie zatańczy z nami na szczęście?

Skaflok nie odpowiedział, lecz śpiewał dalej:

*Trwają szermiercze zmagania,
Skald, co wczoraj śpiewał,
Dziś włącza się do gry.
O wysokie stawki gramy.
Nie drwij ze śmiertelnej
Dziewy, co nie tańczy.
Więcej szczęścia da jej całus
Niżli wszystkie czary.*

W tej chwili dreszcz przebiegł tańczących: Leea, która bardziej zwracała uwagę na słowa Skafloka niż na ruchy towarzyszy, zraniła się o jeden z mieczy. Podłużna czerwona pręga przecięła jej jedwabiste ramiona. Lecz Elfina nadal płażała, opryskując krwią tancerzy. Skaflok zmusił się, zęby śpiewać wesoło:

*Trwają szermiercze zmagania,
Ktoś musi w grze przegrać.
Dzisiaj tylko Norny wiedzą,
Kto najlepiej gra w kości.
Nie znamy zwycięzcy.
W tej wojennej grze,
Lecz wrogowie bez walki
Nie dostaną Alfheimu.*

Ale inne niewiasty, wstrząśnięte wypadkiem Leei, gubiły rytm i raniły się o miecze. Imryk rozkazał zakończyć taniec, nim ktoś zostanie zabity i w ten sposób ściągnie jeszcze większe nieszczęście. Uczta zakończyła się w niepewnej ciszy, wśród ukradkowych szeptów.

Zaniepokojony Skaflok poszedł z Fredą do ich komnat. Tam pozostawił ją samą na jakiś czas. Wrócił niosąc szeroki pas ze srebrnych płytek, do którego była przymocowana od wewnątrz płaska buteleczka, również wykonana ze srebra.

Podał go Fredzie. — Niech to będzie mój pożegnalny dar dla ciebie — powiedział spokojnie. — Otrzymałem go od Imryka, ale chciałbym, żebyś to nosiła. Bo chociaż nadal sądzę, że zwyciężymy, nie jestem już tego taki pewny po tym przeklętym tańcu mieczy.

Przyjęła dar bez słowa. Skaflok ciągnął: — W buteleczce jest rzadki i silnie działający lek. Gdyby opuściło cię szczęście i wrogowie byli blisko, wypij to. Przez kilka dni będziesz jak martwa i na pewno każdy, kto cię zobaczy, zostawi cię w spokoju lub wyrzuci precz; tak postępują Trollowie z trupami obcych. Kiedy się obudzisz, może uda ci się wymknąć niepostrzeżenie.

— Po cóż miałabym uciekać, jeśli ty zginiesz? — zapytała ze smutkiem Freda. — Lepiej by było, żebym i ja umarła.

— Być może. Ale Trollowie nie uśmierciliby cię od razu, a wam chrześcijanom nie wolno się zabić, prawda? — Przez usta Skafloka przemknął zmęczony uśmiech. — Nie jest to najpiękniejszy z pożegnalnych darów, najdroższa, ale najlepszy, jaki posiadam.

— Nie — szepnęła. — Przyjmuję to i dziękuję ci. Lecz my posiadamy inny, lepszy dar, który

możemy sobie ofiarować.

— Tak, to prawda — zawołał Skaflok i wkrótce potem oboje znów się weselili.

XV

Floty Elfów i Trollów spotkały się na pełnym morzu, daleko na północ od siedziby jarla, następnej nocy, tuż po zapadnięciu zmroku. Kiedy Imryk, który stał obok Skafloka na dziobie okrętu flagowego, zobaczył ogrom sił nieprzyjaciela, wciągnął gwałtownie powietrze do płuc.

— My, angielscy Elfowie, posiadamy najwięcej okrętów wojennych w całym Alfheimie — rzekł — ale tamci mają ich dwa razy więcej. Och, gdyby inni dostojnicy posłuchali mnie, kiedy mówiłem im, że Illrede zawarł z nami rozejm tylko dlatego, aby lepiej przygotować się do wojny. Nie zrobili tego, choć błagałem ich, żebyśmy połączyli nasze siły i skończyli z Trollami raz na zawsze.

Skaflok wiedział co nieco o rywalizacji, próżności, gnuśności i przyjmowaniu pobożnych życzeń za rzeczywistość, które stały się przyczyną bierności elfowych wielmożów. Sam Imryk również nie był bez winy. Za późno jednak było teraz na takie rozmowy. — Na pewno nie wszyscy są Trollami — powiedział — a nie sądzę, żeby Goblinowie i inna hołota okazała się szczególnie niebezpieczna.

— Nie drwij z Goblinów. Są dobrymi wojami, kiedy mają broń, jakiej im potrzeba. — Pełna napięcia twarz Imryka zabłysła na chwilę w mroku, gdy oświetlił ją zabłąkany promień księżyca. Tańczyło w nim kilka płatków śniegu unoszonych przez wiatr. — Czary nie na wiele się zdadzą obu stronom — ciągnął jarl — gdyż moce, którymi władają, są mniej więcej równe. Wynik bitwy zależeć będzie od siły armii, a my jesteśmy słabsi od Trollów.

Pokręcił głową. Promień księżyca prześlizgnął się po srebrzystozłotych kędziorach Imryka i załśnił w błękitnobiałych oczach. — Na ostatnim posiedzeniu rady królewskiej nalegałem, żeby Alfheim skupił wszystkie siły wokół serca kraju, pozwalając Trollom zająć zewnętrzne prowincje, nawet Anglię, po czym odeprzeć ich ataki i przygotować się do przeciwnatarcia. Ale inni dostojnicy nie chcieli o tym słyszeć. Teraz się przekonamy, kto z nas miał rację.

— Oni, panie — powiedział śmiało Ognista Włócznia — gdyż wyrzniemy te świnię. Bo jakże — one miałyby tarzać się w Elfheugh?! Takie słowa niegodne są ciebie. — Po czym podniósł pikę i chciwie wpatrzył się w dal.

Chociaż Skaflok również uważał, że szanse są bardzo nierówne, myślał tylko o walce. Nie byłby to pierwszy raz, gdy dzielni mężowie pokonali silniejszego wroga. Gorąco pragnął spotkać Walgarda, szalonego brata Fredy, który wyrządził jej tyle zła, i rozłupać mu czaszkę.

A przecież, pomyślał, gdyby Walgard nie uwiózł Fredy do Trollheimu, on Skaflok, nigdy by jej nie spotkał. Tak więc winien był coś berserkerowi — raczej szybka śmierć, niż wryty na plecach krwawy orzeł*, powinna wyrównać rachunki.

Po obu stronach zagrały rogi, wzywając do boju. Opuszczono żagle i maszty i obie floty powiosłowały połączywszy korabie linami. Kiedy były już blisko, wypuszczono pierwsze strzały, które jak ciemna chmura syczały nad falami i zagłębiały się w ciele lub w drewnie. Trzy pociski odbiły się od kolczugi Skafloka, czwarty zaś o włos minął jego ramię i utkwiał w galeonie*. Obdarzony czarodziejskim wzrokiem młodzian rozróżnił w nocnym mroku tych, którym nie dopisało szczęście i zostali ranni lub zginęli od strzał Trollów.

Księżyc jeszcze rzadziej ukazywał się zza chmur, lecz błędne ogniki tańczyły wśród pyłu wodnego i fale jaśniały zimnym białym światłem. Było dość jasno, by zabijać nieprzyjaciół.

* Wikingowie rozcinali pokonanym wrogom plecy i wyciągali płuca na zewnątrz w taki sposób, że przypominały ptasie skrzydła. Nazywali to „orłem”.

* Galeon — ozdoba na dziobie statku, najczęściej posąg.

Później przestrzeń dzielącą statki przebyły włócznie, strzałki z dmuchawek i kamienie. Włócznia Skafloka przygoździła prawą rękę jakiegoś Trolla do masztu na okręcie flagowym Illredeggo. W odpowiedzi nadleciał kamień, który odbił się od jego hełmu. Chwilowo ogłuszony wychowanek Elfów oparł się o nadburcie i morze ochłodziło słoną wodą jego obolałą głowę.

Jeszcze raz zagrały rogi i tworzące pierwszy szereg statki wrogich flotylli się zderzyły.

Okręt Imryka ugodził w statek Illredeggo. Wojownicy stojący na dziobach ruszyli do walki. Miecz Skafloka przemknął ze świstem obok topora jakiegoś Trolla i zranił innego w ramię. Przybrany syn Imryka pochylił się nad rzędem tarcz na nadburciu nieprzyjacielskiego korabia, poruszając swoją tak, by wychwycić grad uderzeń, i zadając ciosy stalowym mieczem ponad jej krawędzią. Po lewej Ognista Włócznia przebijał i rąbał wrogów swoją piką, rycząc w bitewnym szale i nie zważając na zagrażające mu ostrza. Po prawej zaś Angor z Piktlandii walczył zawzięcie długim toporem. Przez jakiś czas obie strony wymieniały ciosy, a gdy jakiś mąż padł w boju, jego miejsce w szyku zajmował inny.

Potem Skaflok zagłębił miecz w karku jakiegoś Trolla. Kiedy ten runął na pokład, Ognista Włócznia ugodził w pierś nieprzyjaciela, który stał tuż za zabitym. Wówczas Skaflok przeskoczył na statek Illredeggo, wdarł się w wyrwę we wrogim szyku i zarażał męża stojącego po lewej stronie. A gdy wojownik z prawej zamachnął się na wychowanek Imryka, Angor toporem odrąbał mu głowę tak, że spadła do morza.

— Naprzód! — ryknął Skaflok. Walczący w pobliżu Elfowie ruszyli za nim. Stali odwrócenii do siebie plecami rąbiąc Trollów, którzy warczeli i stękali wokół nich. Pośród tej wrzawy inni Elfowie pośpieszyli tamtym na pomoc i jeszcze więcej ich wtargnęło na pokład nieprzyjacielskiego korabia.

Miecze migotały jak świetliste kręgi plujące krwią. Zgrzyt i szczęk metalu zagłuszał szum morza i świst wiatru. Ponad walczącymi górowała postać Skafloka, którego oczy ciskały niebieskie błyskawice. Musiał stać nieco przed Elfami, gdyż jego żelazna kolczuga mogłaby im zaszkodzić, lecz za to oni osłaniali mu plecy. Równocześnie tarcza Imrykowego wychowanek wychwytywała niezdarne pchnięcia i zadane z rozmachu ciosy Trollów, a jego miecz mknął do przodu i powracał jak atakująca żmija. Niebawem wrogowie cofnęli się przed nim i dzioby obu statków opustoszały.

— Teraz ku rufie! — krzyknął.

Elfowie ruszyli do przodu. Ich miecze połyskiwały nad tarczami jak drgające fale ciepła nad skalną ścianą. Trollowie walczyli zaciekle. Elfowie padali ze zmiażdżonymi czaszkami lub cofali się, gdy wrogii oręż rozłupał im kości czy zadał głębokie rany. Mimo to woje Illredeggo wciąż się wycofywali, tylko ich trupy deptane nogami Elfów pozostały na posterunku.

— Walgardzie! — wrzasnął Skaflok przekrzykując zgiełk. — Walgardzie, gdzie jesteś?

Odmieniec postąpił do przodu. Krew płynęła mu ze skroni. — Ogłuszył mnie kamień — rzekł — ale jestem gotów do walki.

Skaflok krzyknął i pobiegł mu na spotkanie. Pomiędzy walczącymi załogami utworzyła się wolna przestrzeń. Elfowie zajęli korab Illredeggo aż po wzmacniacze masztu, Trollowie zaś stłoczyli się na rufie. Obu stronom na chwilę zabrakło tchu. Ale coraz więcej Elfów wspinało się na pokład statku flagowego Trollów i ich łucznicy wysyłali w stronę wrogów deszcz szaropiórczych strzał.

Miecz Skafloka i topór Walgarda zderzyły się wśród szczęku metalu i deszczu iskier. Szał bojowy nie zawładnął berserkerem. Walczył opanowany, posepny, trwał na pokładzie jak skała. Miecz wychowanek Elfów zaczepił o trzonek topora odmienca, lecz nie przebił twardego, spowitego w skórę drewna. Zamiast tego topór odepchnął na bok miecz. Podobny los spotkał też tarczę Skafloka — i Walgard natychmiast zadał cios w powstały w ten sposób otwór.

Ponieważ jednak odmieniec nie mógł zamachnąć się z całej siły, jego topór nie roztrzaskał ani kolczugi, ani kości. Ale lewe ramię Skafloka, trzymające tarczę, opadło bezwiednie. Walgard zadał mu cios w kark, lecz Skaflok osunął się na jedno kolano, próbując jednocześnie zranić przeciwnika w nogę, i topór uderzył go w głowę.

Półprzytomny Skaflok padł na pokład, a ranny w udo Walgard potknął się. Obaj potoczyli się między ławki i bitwa ominięła ich.

Albowiem Grum, jarl Trollów, poprowadził kontratak z rufy. Jego ogromna maczuga miażdżyła czaszki na lewo i na prawo. Angor z Piktlandii próbował go powstrzymać i zdołał odrąbać mu prawe ramię, ale Grum pochwycił maczugę w lewą rękę i zadał cios, który zdruzgotał Elfowi kark. Później jednak trollowy wielmoża musiał odczołgać się na bok w poszukiwaniu schronienia, żeby wyrycć lecznicze runy dla buchającej krwią strasznej rany.

Skaflok i Walgard wypęzli spod ławek, odnaleźli się w tłumie i znów podjęli walkę. Lewe ramię Skafloka odzyskało dawną sprawność, lecz noga Walgarda nadal krwawiła. Wychowanek Imryka pchnął odmieńca mieczem z taką siłą, że brzeszczot przebił kolczugę i zatrzymał się na zebrze. — To za Fredę! — zawołał. — Skończę z tobą za to, co jej zrobiłeś.

— Ze mną nie jest aż tak źle jak z tobą — wykrztusił Walgard. I choć chwiał się na nogach i był bardzo osłabiony, odparował toporem w pół drogi cios Skafloka. Miecz wychowanka Elfów Pękł na dwoje.

— Ha! — krzyknął berserker, jednak nim zdążył wykorzystać sprzyjającą okazję, Ognista Włócznia rzucił się na niego jak rozwścieczony kot, a wraz z nim i inni wojownicy Alfheimu. Elfowie zdobyli okręt flagowy Illredegó.

— Nie mam co tu dłużej pozostawać — rzekł Walgard — chociaż mam nadzieję, że znów cię zobaczę, braciszku. — I wydkoczył za burtę.

Zamierzał uwolnić się od kolczugi, nim pociągnie go na dno, lecz to nie było już potrzebne. Wiele korabiów zostało staranowanych lub uległo zniszczeniu w samym środku bitwy. Maszt jednego z nich pływał w pobliżu i Walgard uchwycił się go lewą ręką. W prawej nadal ścisnął topór, zwany Bratobójcą i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien go porzucić.

— Ale nie — przekłeta, czy nie — była to dobra broń. Inni wojownicy, którzy zdołali pozbyć się niepotrzebnego

obciążenia przed ucieczką ze statku, również trzymali się tego samego masztu co Walgard. — Kopcie dobrze nogami, bracia — zawołał odmieniec — a dotrzemy do jednego z naszych korabiów i jeszcze zwyciężymy w tej bitwie.

Na pokładzie zdobytego statku Elfowie krzyczeli z radości. Skaflok zapytał: — Gdzie jest Illrede? Powinien gdzieś tu być, ale nigdzie go nie widziałem.

— Może lata w pobliżu czuwając nad swoją flotą, tak jak Imryk robi to pod postacią mewy — odparł Ognista Włócznia. — Wyrąbmy dziurę w tej cholernej łajbie i wracajmy na nasz statek.

Znaleźli tam Imryka, który czekał na nich. — Jak przebiega bitwa, przybrany ojczu? — zawołał wesoło Skaflok.

Jarl Elfów odparł ponuro: — Źle, choć Elfowie dzielnie walczą, gdyż na każdego z nich przypada po dwóch Trollów. I oddziały wrogów lądują, nie napotyając oporu.

— Zaiste, źle to nowiny — krzyknął Golryk z Kornwalii — więc musimy bić się jak demony albo przegramy.

— Obawiam się, że już przegraliśmy — powiedział Imryk. Skaflok nie od razu zdołał to pojąć. Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że okręt flagowy jarla dryfował samotnie. Obie floty rozpadły się na części składowe, gdy wrogowie rozcinali łączące je liny, ale Trollowie ponieśli mniejsze straty. I zbyt często dwie trollowe jednostki jak cęgi chwytały statek Elfów.

— Do wiosła! — krzyknął Skaflok. — Potrzebują pomocy! do wiosła!

— Dobrze powiedziane! — zadrwił Imryk.

Okręt jarla Elfów podpłynął do najbliższego skupiska walczących statków. Został zasypany strzałami.

— Strzelajcie! — zawołał Skaflok. — Na wszystkie demony piekieł, czemu nie strzelacie?

— Nasze kołczany są puste, panie — odrzekł jakiś Elf. Osłaniając się tarczami Elfowie ruszyli w środek bitwy. Dwa statki z ich floty zostały osaczone przez trzy jednostki najemników i drakkar Trollów. Kiedy korab Imryka zbliżył się, zaatakowały go nietoperzoskrzydłe demony znad Bajkału.

Elfowie walczyli mężnie, lecz trudno im było odpierać ataki przeciwnika, który uderzał na nich z góry lancami. Wypuścili ostatnie strzały, a skrzydlata śmierć nie ustępowała.

Mimo to zdołali się zbliżyć do statku Goblinów, z którego zasypano ich strzałami. Skaflok przeskoczył przez nadburcie i zaatakował wrogów elfowym mieczem, który teraz nosił. Niewysocy Goblinowie nie mogli długo stawiać mu oporu. Wychowanek Imryka przepołowił jednego, drugiemu rozplątał brzuch i ściął głowę trzeciemu. Ognista Włócznia zaś przeszył piką dwóch i kopniakiem zmiażdżył trzeciemu mostek. Więcej Elfów wtargnęło na pokład wrogiej jednostki. Goblinowie się cofnęli.

Skaflok dotarł do ciężkich skrzyń, w których nieprzyjaciele trzymali zapasy strzał i przerzucił je na pokład Imrykowego korabia. Później, zamiast wyciąć resztę wrogów stłoczonych na rufie, zatrał do odwrotu, gdyż Goblinowie nikogo już nie obchodzili. Znow zaśpiewały elfowe łuki i skrzydlate demony runęły w dół.

Trollowie podpłynęli do nich blisko. Skaflok zobaczył że dwa pozostałe elfowe statki szykowały się do walki z Goblinami, Oniami i Dżinnami. — Jeżeli dadzą sobie z nimi radę, myślę, że będziemy mogli zająć się Trollami — rzekł.

Zielonoskórzy wojownicy uczepili się elfowego korabia i wznosząc okrzyk bojowy przedostali się na jego pokład. Skaflok pobiegł, by stawić im czoło, ale poślizgnął się na zakrwawionym pomoście i upadł między ławki. Rzucona z ogromną siłą włócznia ze świstem przeleciała obok miejsca, gdzie przed chwilą była jego pierś, i utkwiała w sercu Golryka z Kornwalii.

— Dziękuję — mruknął Skaflok wstając. Trollowie rzucili się na niego. Zadawane z góry ciosy odbijały się od jego tarczy i hełmu. Skaflok ciął mieczem w czyjeś kostki i jeden z wrogów upadł. Lecz nim zdążył podnieść miecz, inny Troll pochylił się, celując w jego twarz. Skaflok odepchnął go tarczą obitą żelazną blachą. Przeciwnik wrzasnął i się cofnął. Wrzeszczał bez przerwy, gdyż żelazo spaliło mu pół twarzy. Młodzieniec przedostał się znow na pokład i dołączył do Elfów.

Huk uderzeń i szcęk metalu rozbrzmiewały w coraz gęściej padającym śniegu. Zerwał się silny wiatr. Połączone linami statki kołysały się i uderzały kadłubem o kadłub. Wojownicy tracili równowagę, spadali z górnego pokładu, pomostu i ławek na dolny pokład i podnosili się, żeby dalej walczyć. Wkrótce tarcza Skafloka stała się bezużyteczna. Rzucił ją w Trolla, z którym wymienił ciosy, i zatopił miecz w jego sercu.

Zaraz potem ktoś chwycił go od tyłu. Skaflok zsunął z głowy stalowy hełm, lecz nic się nie stało, tylko podobne do dębowych konarów ramiona zacisnęły się mocniej. Odwróciwszy głowę młodzieniec zobaczył, że Troll ten odziany był w skórzany strój z kapturem i rękawicami. Użył elfowego chwytu, żeby się uwolnić, uderzając szybko ramionami pomiędzy kciuk a palec wskazujący przeciwnika, ale tamten znow pochwycił go w niedźwiedzi uścisk. Statek przechylił się i walczący potoczyli się między ławki.

Skaflok nie mógł się uwolnić z objęć Trolla. Dobrze wiedział, że tamten może połamać mu żebra jak drzewca strzał. Oparł kolana o brzuch Trolla, zacisnął ręce wokół grubej szyi wroga i

zebrał się w sobie.

Chyba żaden inny śmiertelnik nie mógłby trwać wygięty w łuk w tych strasznych objęciach. Czuł, że opuszczają go siły, wypływając niczym wino z przewróconej czary. Napinając mięśnie palców i nóg, zacisnął z całej siły ręce na szyi Trolła. Wydawało mu się, że już całą wieczność przewalają się wraz ze statkiem i zdawał sobie sprawę, iż długo tak nie wytrzyma.

Po chwili jednak Troll puścił Skafloka i chwycił go za przeguby, gdyż brakowało mu tchu. Człowiek uderzył głową wroga o wzmocniacze masztu raz, drugi i trzeci z taką siłą, że roztrzaskał mu czaszkę.

Leżał potem na ciele Trolła, dysząc ciężko. Serce waliło mu jak młotem, w uszach szumiało. Po jakimś czasie zobaczył, że pochyla się nad nim Ognista Włócznia i usłyszał pełne podziwu słowa gwardzisty: — Żaden Elf ani żaden człowiek nie pokonał Trolła w walce wręcz. Twój czyn wart jest Beowulfa i nie zostanie zapomniany, póki istnieje świat. Zwyciężyliśmy.

Pomógł Skaflokowi wejść na pokład dziobowy. Rozglądając się po okolicy człowiek spostrzegł przez śnieżną zasłonę, że okręty najemników również zostały oczyszczone z wrogów.

Ale za jaką cenę — na trzech statkach zaledwie dwudziestu Eflów nie odniosło żadnych obrażeń, a większość tych, którzy przeżyli, była ciężko ranna. Elfowe drakkary dryfowały w stronę brzegu, obsadzone trupami i nielicznymi wojownikami zbyt utrudzonymi, aby mogli unieść miecz.

Wyteżając wzrok w ciemnościach Skaflok spostrzegł, że jeden trollowy korab z pełną załogą na pokładzie płynie prosto na nich.

— Obawiam się, że przegraliśmy — jęknął. — Możemy tylko próbować ratować, co się da.

Elfowe drakkary bezwładnie kołysały się na falach. A na brzegu czekał już szereg Trollów dosiadających wielkich, czarnych koni.

Nagle mewa wynurzyła się zza śnieżnej zasłony, otrząsnęła się i zamieniła w Imryka. — Dobrze walczyliście — rzekł ponuro jarl. — Prawie połowa trollowych jednostek już nigdy nie wypłynie na morze, ale są to głównie korabie ich sprzymierzeńców, a my... my zostaliśmy rozbici. Te nasze statki, które jeszcze są w stanie pływać, uciekają na pełne morze, pozostałe zaś czekają, co im przyniesie los. — Wtem lży zabłysły mu w oczach, może po raz pierwszy od wielu stuleci. — Anglia jest stracona. Obawiam się, że Alfheim również.

Ognista Włócznia mocniej ścisnął pikę. — Zginiemy w walce — oświadczył głuchym ze zmęczenia głosem.

Skaflok pokręcił głową, kiedy jednak pomyślał o Fredzie czekającej nań w Elfheugh, poczuł przypływ sił. — Będziemy nadal się bić — powiedział — ale najpierw musimy się uratować.

— To dobra sztuczka, jeżeli możesz to zrobić — odrzekł z powątpiewaniem Ognista Włócznia.

Skaflok zdjął hełm. Jego kędziory lepiły się od potu. — Zaczniemy od zdjęcia zbroi — rzekł.

Wiosłując resztkami sił Elfowie zdołali zbliżyć do siebie statki tak, że znalazły się w zasięgu bosaka. Zgromadzili się na jednym z nich, podnieśli maszt i żagiel. Mimo to mieli niewielkie szanse ucieczki, gdyż Trollowie płynęli z wiatrem, a oba elfowe korabie znajdowały się dość blisko brzegu.

Skaflok walczył z wiosłem sterowym; część jego towarzyszy zwinęła żagiel i statek popłynął ukośnie w stronę lądu. Trollowie zaczęli szybciej wiosłować, żeby albo schwytać elfowy drakkar, albo zepchnąć go na skalistą wysepkę przed nimi.

— To będzie trudny manewr — odezwał się Imryk.

— Trudniejszy, niż im się wydaje! — Skaflok uśmiechnął się niewesoło i zmrużył oczy starając się coś dojrzeć przez śnieżną zasłonę. Zobaczył fale rozbijające się o skały i poprzez świst wiatru usłyszał ich szum. Dalej znajdowały się mielizny.

Trollowie zajęchali im drogę z prawej burty. Skaflok krzyknął do majtków, żeby postawili żagiel i włożyli hełmy. Statek zawrócił i pomknął w stronę wroga. Trollowie za późno odgadli zamiary wychowanka Elfów. Próbowali się wycofać, lecz elfowy drakkar staranował ich statek w śródkręciu tak mocno, że aż belki zaskrzypiały, wypychając go najpierw na płyciznę, później zaś na skalistą wysepkę. Znalazł się w pułapce i został zmiażdżony!

Elfowie Skafłoka pracowali jak szaleni przy żaglu. Wiosła trollowego korabia złamały się, gdy przemknęli obok. Skaflok nie łudził się, iż zdoła ocalić swój statek, lecz miał nadzieję, że gdy posłuży się nieprzyjacielską jednostką jako odbijaczem i dźwignią jednocześnie, jego okręt zderzy się z łodem łagodniej i w odległym końcu rafy, gdzie morze nie było tak wzburzone. Kiedy drakkar Elfów uderzył o brzeg i utkwiał między skałami, tylko wąski kamienny grzbiet oddzielał go od płycizny.

— Ratuj się, kto może! — zawołał Skaflok. Zeskoczył na śliskie głązy, potem zaś do wody, zanurzając się po szyję. Popłynął do brzegu szybko jak foka. Jego towarzysze płynęli obok, z wyjątkiem ciężko rannych, którzy nie mogli się poruszać. Ci nieszczęśnicy musieli pozostać w rozpadającym się statku i utonąć mając łąd w zasięgu wzroku.

Pozostali Elfowie wyszli na łąd i znaleźli się daleko za szeregiem Trollów. Niektórzy z jeźdźców zauważyli uciekinierów i pocwałowali, żeby ich zabić.

— Rozproście się! — krzyknął Skaflok. — Większość z nas może uciekać!

Biegając w szalejącej zamieci widział, jak Trollowie przebijają Elfów włóczniami lub tratują ich końmi, ale większa część jego niewielkiej grupy zdołała się oddalić od prześladowców. Wtem mewa poderwała się do lotu.

Spadł na nią potężny orzeł bielik. Skaflok jęknął. Skulony za skałami zobaczył, jak orzeł zaniósł mewę na ziemię, gdzie ptaki zamieniły się w Illredegó i Imryka.

Na jarla Elfów spadły ciosy trollowych maczug. Leżał nieruchomo w kałuży krwi, gdy wrogowie nakładali mu więzy.

Jeżeli Imryk zginął, Alfheim utracił jednego ze swych najlepszych przywódców. Lecz jeśli żył — biada mu! Skaflok ślizgał się po ośnieżonym wrzosowisku. Prawie nie czuł zmęczenia, zimna ani bólu przysychających ran. Elfowie zostali pokonani i miał teraz tylko jeden cel: dotrzeć do Elfheugh i Fredy przed Trollami.

XVI

Podwładni Illredeggo schronili się przed słońcem. Odpoczywali kilka dni, gdyż walka i ich wyczerpała. Później wyruszyli na południe, połowa lądem i połowa morzem. Statki dotarły do przystani w Elfheugh jeszcze tej samej nocy. Ich załogi zeszyły na ląd, ograbiły budynki, jakie zastały na otwartej przestrzeni, i czekały wokół zamku na swych towarzyszy broni.

Dowodzone przez Gruma i Walgarda oddziały posuwały się znacznie wolniej. Jeźdźcy przetrząsali okolicę i wszystkie nieliczne oddziały Elfów, którzy pragnęli walczyć, zostały wycięte w pień — choć nie bez strat wśród Trollów. Dalej położone dwory zostały złupione, a ich mieszkańcy przykuci za szyję do długich szeregów niewolników, którzy szli chwiejnym krokiem, z rękoma związanymi za plecami. Imryk był na czele. Trollowie spożywali elfowe potrawy, pili elfowe trunki i zabawiali się z niewiastami z Alfheimu, więc zbyt nie śpieszyli się do Elfheugh.

Za pomocą czarów, czy też dzięki brakowi wiadomości od elfowych wojowników, mieszkanki zamku dowiedziały się o świcie, że Imryk przegrał bitwę. Później zaś, spoglądając z wysokich Parapetów na krąg ognisk otaczający twierdzę, na czarne statki wyciągnięte na brzeg albo zakotwiczone w zatoce Elfheugh, Przekonały się, że nie było to chwilowe niepowodzenie, lecz zwycięstwo najeźdźców.

Kiedy Freda stała wyglądając przez okno w swej sypialni, usłyszała cichy szelest jedwabiu. Odwróciła się i zobaczyła za sobą Leeę. W ręku Elfiny lśnił nóż.

Na twarzy Leei malował się ból i wrogość i nie wyglądała już jak posąg z kości słoniowej, wyrzeźbiony przez mistrza z południa. Powiedziała w języku ludzi: — Widzę, że nie wylewasz łez za tym, który stał się teraz żerem kruków.

— Będę płakała, kiedy się dowiem, że nie żyje — odparła Freda bezdzwięcznym głosem. — Ale miał w sobie zbyt wiele życia, abym mogła uwierzyć, że leży teraz martwy.

— Gdzież więc jest i jaki może być pożytek z wygnańca? — Leea uśmiechnęła się zimno. — Czy widzisz ten sztylet, Fredo? Trollowie rozłożyli się obozem wokół Elfheugh, a wasze prawo zabrania ci odebrać sobie życie. Ale jeśli chcesz umknąć przed losem, z chęcią ci w tym pomogę.

— Nie, zaczekam na Skafloka — odparła Freda. — A poza tym, czyż nie mamy włóczni, strzał i machin wojennych? Czy nie ma dość zapasów jedzenia i picia? Czy mury nie są wysokie, a wrota mocne? Niech ci, którzy pozostali w zamku, bronią go dla tych, którzy wyruszyli na wojnę.

Leea opuściła nóż. Długo przyglądała się smukłej, szarookiej dziewczynie. — Masz mężną duszę — powiedziała w końcu — i wydaje mi się, że zaczynam dostrzegać, co zobaczył w tobie Skaflok. Ale twoja rada jest typowa dla śmiertelników — nierozsądna i pochopna. Czyż niewiasty mogą obronić twierdzę, gdy poległ ich mążowie?

— Mogą spróbować — albo zginąć jak oni.

— Nie. One mają inną broń. — Okrutny uśmiezek przemknął przez usta Elfiny. — Niewieścią broń, lecz by jej użyć, musimy otworzyć bramy. Czy pomścisz swego ukochanego?

— Tak — za pomocą strzały, sztyletu i trucizny, jeśli będzie trzeba!

— Więc ofiaruj Trollom swe pocałunki: szybkie jak strzała, ostre jak noże i śmiertelne jak trucizna. Takie są zwyczaje Elfów.

— Raczej złamałabym wielkie prawo Tego, Który Jest W Górze, i odebrałabym sobie życie, aniżeli stałabym się wszetecznicą dla zabójców mego ukochanego! — wybuchnęła gniewnie dziewczyna.

— Gadanina śmiertelników! — odparła drwiąco Leea. Uśmiechnęła się tajemniczo. — Przez jakiś czas zabawią mnie pieszczoty Trollów. Przynajmniej będzie to coś nowego, a trudno cokolwiek znaleźć po tylu wiekach. Otworzymy bramy Elfheugh, kiedy przybędzie nasz nowy jarl.

Freda osunęła się na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Leea ciągnęła: — Skoro upierasz się przy ludzkiej głupocie, rada się ciebie pozbędę. Jutro o świcie, kiedy Troiło wie zasną, wypuszczę cię z zamku ze wszystkim, co zechcesz wziąć. Później zrobisz, co uznasz za stosowne — przypuszczam, że uciekniesz do krainy ludzi i dołączysz swój głos do żałosnego chóru zakonnicy, do których jakoś nigdy nie przychodzi ich niebiański oblubieniec. Życzę ci tedy wiele radości!

I odeszła.

Przez jakiś czas Freda leżała na łożu, pogrążona w rozpacz. Nie mogła płakać, choć dusiły ją łzy. Wszyscy umarli, jej najbliżsi, jej ukochany...

Nie!

Usiadła i zacisnęła pięści. Skaflak nie mógł zginąć. Nie uwierzy w to, póki nie ucałuje jego bezkrwistych ust — po czym, jeśli Bóg się zlituje, pęknie jej serce i padnie martwa obok ukochanego. Ale jeżeli żyje... jeśli leży ciężko ranny, może właśnie wrogowie otaczają jego kryjówkę i Freda jest mu bardzo potrzebna...

Zaczęła pośpiesznie gromadzić to, co mogło się przydać. Jego hełm, kolczugę i strój, który do nich nosił (wydały się jej dziwnie puste, znacznie bardziej puste, niż odłożone na bok szaty jakiegokolwiek innego męża), topór, miecz i tarczę, włócznię, łuk i wiele strzał. Dla siebie także wzięła lekką kolczugę, której używały elfowe wojowniczkę. Dobrze pasowała do jej smukłej postaci, uśmiechnęła się więc do zwierciadła zakładając drucziany czepiec i złocisty skrzydlaty hełm. Podobała się Skaflokowi w tym stroju, bardziej z powodu wesołej miny niż chłopięcego wyglądu.

Ekwipunek musi być z elfowego metalu, gdyż konie z Krainy Czarów nie mogły znieść żelaza, ale przypuszczała, że zrobi zeń dobry użytek.

Do stosu rzeczy dołączyła sztokfiszę i resztę żywności oraz futra, koce, torbę z przyborami do szycia i wszystko, co jeszcze mogło im się przydać. — Staję się gospodynią! — powiedziała z uśmiechem. To proste słowo ucieszyło ją jak widok starego przyjaciela. Wzięła też pewne rzeczy, których znaczenia nie знаła, lecz wiedziała, że Skaflak przywiązuje do nich wielką wagę: skóry wilka, wydry i orła, różdżki z jesionowego i bukowego drewna z wyrytymi na nich runami oraz pierścien dziwnej roboty.

Kiedy zapakowała to wszystko, odszukała Leeę. Elfina spojrzała ze zdumieniem na podobną do Walkirii postać. — Co chcesz teraz zrobić? — zapytała.

— Potrzebuję czwórki koni — odparła Freda — i pomocy przy objuczaniu jednego z nich tym, co zabieram. Potem mnie stąd wypuść.

— Jeszcze jest noc, Trollowie nie śpią i grasują po okolicy, a poza tym elfowe konie nie mogą podróżować za dnia.

— Tak nie ma znaczenia. Są szybsze od innych. Teraz zaś liczy się tylko szybkość.

— Tak, możesz dotrzeć do kościoła przed świtem, jeśli uda ci się przedostać przez obozowisko wrogów — zadzwiała Leea — i broń, którą zabierasz, może ci się przydać w drodze. Ale nie licz na to, że zdołasz zatrzymać na dłużej elfowe złoto.

— Nie mam złota ani nie zamierzam się udać do krainy ludzi. Chcę, żebyś mnie wypuściła przez północną bramę.

Leea otworzyła szeroko oczy, po czym wzruszyła ramionami. — To głupota. Cóż wart jest trup Skafloka? Lecz niech się stanie, jak chcesz — dodała miękko, drżącym głosem. — Proszę

cię, pocałuj go raz od Leei.

Freda nic nie odpowiedziała, ale czuła, że żywy czy martwy, Skaflok nigdy nie otrzyma tego pocałunku.

Padał gęsty śnieg, gdy opuszczała zamek. Wrota otwarły się bezszelestnie, a goblinowi strażnicy, którym obiecano wolność za tę usługę, pomachali jej na pożegnanie. Freda wyjechała prowadząc za sobą trzy konie. Nie odwróciła się. Bez Skafloka wspaniałości Elfheugh nic dla niej nie znaczyły.

Wiatr świszczął i smagał dziewczynę, przejmując ją zimnem do szpiku kości mimo ciepłych futer. Freda pochyliła się i szepnęła koniowi do ucha: — Cwałuj teraz szybko, bardzo szybko, o najlepszy z rumaków! Na północ, do Skafloka! Znajdź go za pomocą nieśmiertelnego rozumu i doskonałych zmysłów, a będziesz spał w złotej stajni i pasł się przez wszystkie stulecia swego żywota na kwietnej łące, nie znając ciężaru siodła.

W tyle rozległ się głośny okrzyk. Freda wyprostowała się w siodle. Ogarnęło ją przerażenie. Niczego bardziej się nie lękała niż Trollów, a oni ją zobaczyli... — Pędź szybko, mój koniu!

Koń pomknął tak prędko, że aż świszczowało jej w uszach i o mało nie spadła z siodła. Musiała też zasłonić oczy ramieniem. Nawet za pomocą czarodziejskiego wzroku niewiele mogła dojrzeć w ciemnościach i śniegu, ale usłyszała za sobą tętent kopyt.

Jechała coraz szybciej i szybciej, wciąż na północ. Wiatr chłostał ją i wył, prześladowcy skowycieli, dudniły końskie kopyta. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Trollów, jako ciemniejszy od nocy cień pędzący w mroku. Gdybyż tylko mogła się zatrzymać i kazać im wrócić do domu w imię Chrystusa! Ale zasięg ich słuchu by mniejszy niż odległość strzału.

Śnieg padał coraz gęściej. Niebawem Trollowie pozostali w tyle chociaż wiedziała, że będą ją tropić niezmordowanie. Pędząc na północ, coraz bardziej zbliżała się do maszerującej na południ armii Trollheimu.

Czas mknął jak wichur. Freda dostrzegła przelotnie ogień na szczycie wzgórza — to na pewno płonął jakiś elfowy dwór. Oddziały Trollów musiały być blisko i bez wątplenia roześlą wszędzie zwiadowców.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl, na prawo od niej w mroku rozległo się wycie. Usłyszała tętent kopyt. Jeśli odetną jej...

W poprzek drogi wyłonił się potworny kształt, wielki kosmaty koń czarniejszy od nocy, ze ślepiami jak rozżarzone węgle, a i nim jeździec ogromnej postury, o ohydnej twarzy — Troll! Elfowy rumak skręcił w bok, lecz nie dość szybko. Jeździec wyciągnął rękę, chwycił za wodze i zatrzymał konia.

Freda krzyknęła przeraźliwie. Ale nim zdołała wymówić święte imiona, Troll jedną ręką ściągnął ją z siodła i przycisnął do siebie, drugą zaś zakneblował usta. Ręka ta była zimna i śmierdziała jak jama pełna węży.

— Ho, ho, ho! — zawołał Troll.

Z mroku nocy, przywołany gorącym pragnieniem Fredy, dysząc ciężko po długim biegu i ze strachu, że przybył za późno, wyskoczył Skaflok. Oparł stopę o strzemień Trolla, podciągnął się i wbił mu sztylet w gardło.

I pochwycił dziewczynę w ramiona.

XVII

Kiedy wojsko Trollów dotarło do Elfheugh, od strony wież strażniczych zagrał róg i wielkie wrota z brązu otworzyły się. Walgard zebrał wodze i zmrużył oczy. — To jakaś sztuczka — rzekł.

— Myślę, że nie — odparł Grum. — W zamku pozostało niewiele mężów, a niewiasty oczekują, że je oszczędzimy. — Zatrząsał się ze śmiechu. — I zrobimy to! Zrobimy!

Kopyta wielkich trollowych koni zadudniły na płytach dziedzińca. Było tu ciepło i spokojnie w błękitnym półmroku, który spowijał mury i smukłe wieżyczki. Z ogrodów płynęły aromatyczne zapachy; pluskały fontanny i przejrzyste strumyki szemrały obok małych altanek przeznaczonych tylko dla dwojga.

Niewiasty z Elfheugh zebrały się przed zamkiem, żeby powitać zdobywców. Chociaż Walgard widział już elfowe dziewy podczas marszu na południe i spał z nimi, na widok tych wykrzyknął cicho.

Jedna wysunęła się naprzód. Cienkie szaty lgnęły do każdej okągłości jej ciała. Przyćmiewała pozostałe Elfiny urodą jak księżyc gwiazdy. Pokłoniła się głęboko Grumowi, tak że długie rzęsy zasłoniły jej chłodne, tajemnicze oczy. — Witaj panie — raczej zaśpiewała niż przemówiła. — Witaj. Elfheugh poddaje się.

Grum nadął się. — Długo stał ten zamek i wytrzymał wiele szturmów — rzekł. — Ale wy, które wolałyście uznać potęgę Trollheimu, jesteście najmądrzejsze. Jesteśmy straszni dla naszych wrogów, lecz szczerze obdarowujemy przyjaciół. — Uśmiechnął się głupekowato. — Niedługo i ja dam ci pewien dar. Jak masz na imię?

— Na imię mi Leea, jestem siostrą jarla Imryka.

— Nie nazywaj go tak, gdyż teraz ja, Grum, jestem jarlem Krainy Czarów na tej wyspie, a Imryk — ostatnim z moich niewolników. Wprowadzić jeńców!

Wielmoże Alfheimu szli powoli, powłócząc nogami, z pochylonymi głowami. Na ich brudnych twarzach malowała się gorycz, ramiona uginały pod brzemieniem cięższym niż łańcuchy. Imryk szedł na czele. Zlepione zakrzepłą krwią włosy sterczały mu na wszystkie strony, a bose stopy zostawiały na ziemi krwawe ślady. Elfowie nic nie powiedzieli, nawet nie spojrzeli na Elfiny, gdy prowadzono ich do lochów. Za nimi szli zwykli jeńcy, cała miła nieszczęścia.

Illrede podjechał od strony okrętów. — Elfheugh jest nasze — powiedział — i pozostawiamy cię, Grumie, żebyś nim władał, kiedy będziemy podbijać resztę Alfheimu. Nie zabraknie wam pracy, gdyż w Anglii, Szkocji i Walii pozostało jeszcze wiele nie zdobytych elfowych twierdz i dość Elfów ukrywających się w lasach i wśród wzgórz.

Król Trollów wszedł pierwszy do zamku. — Zanim stąd odjedziemy, mamy jeszcze coś do załatwienia — rzekł. — Przed dziewięciuset laty Imryk pojmał naszą córkę, Gorę. Niech odzyska wolność.

Kiedy dworzanie poszli za swym władcą, Leea pociągnęła Walgarda za rękaw. Nie odrywała od niego wzroku. — Na początku wzięłam cię za Skafloka, śmiertelnika, który przebywał wśród nas — szepnęła — ale czuję, że nie jesteś człowiekiem...

— Nie — skrzywił usta Walgard. — Jestem Walgard Berserker z Trollheimu. W pewnym sensie Skaflok i ja jesteśmy braćmi, gdyż masz przed sobą odmienca zrodzonego z Trollicy Góry i Imryka. Pozostawiono mnie zamiast chłopca, który stał się Skaflokiem.

— A zatem... — Leea zacisnęła mocniej palce na jego ramieniu i syknęła: — Więc to ty jesteś

Walgardem, o którym mówiła Freda? Jej bratem?

— Jestem nim. — Zapytał szorstko: — Gdzie ona jest? — Potrząsnął Elfina. — A gdzie jest Skaflok?

— Ja... nie wiem... Freda uciekła z zamku, powiedziała, że chce go odnaleźć...

— Więc jeśli nie została schwytana w drodze, a nie słyszałem o tym, jest z nim. To niedobrze!

Leea uśmiechnęła się, przysłaniając oczy powiekami. — Nareszcie rozumiem, co Tyr miał na myśli — szepnęła do siebie — i dlaczego Imryk dochował tajemnicy. — Po czym rzekła śmiało do Walgarda: — Dlaczego uważasz, że to niedobrze? Zabiłeś wszystkich z rodu Orma, z wyjątkiem tych dwojga, i przy twoim współudziale spotkało ich coś znacznie gorszego. Jeśli nienawidziłeś rodowców Orma, a przecież tak musiało być, jakiej lepszej zemsty mógłbyś pragnąć?

Walgard potrząsnął głową. — Nie miałem nic przeciw Ormowi ani jego rodowi — mruknął. I rozglądając się dookoła ze zdziwieniem, jakby budził się z przykrego snu, dodał: — Chociaż musiałem ich nienawidzić, aby wyrządzić im tyle złego... mojemu rodzeństwu... — Przesunął ręką po oczach. — Nie, oni nie są moimi krewnymi, czy też są... albo byli?

Uciekł od Elfiny i pośpieszył za królem Trollów. Leea poszła za nim, nadal uśmiechając się tajemniczo.

Illrede zasiadł na wysokim krześle Imryka. Utkwił wzrok w wewnętrznych drzwiach sali i zachichotał cicho, gdy usłyszał kroki swych gwardzistów. — Prowadzą Gorę — mruknął. Moją małą dziewczynkę, która śmiała się i bawiła u moich kolan. — Położył ciężką dłoń na ramieniu odmieńca. — Twoją matkę, Walgardzie.

Trollica weszła powłócząc nogami, wychudła, pomarszczona, zgarbiona od kulenia się przez setki lat w ciemnym lochu. Z jej przypominającej trupią czaszkę twarzy spoglądały puste oczy, przez które tylko czasem przepływały cienie wspomnień.

— Góro — Illrede podniósł się, po czym znów osunął na krzesło.

Mrugając oczami rozejrzała się dookoła; była prawie ślepa. — Kto woła Gorę? — wymamrotała. — Kto woła Gorę, woła zmarłą. Góra nie żyje, panie, zmarła przed dziewięciuset laty. Pochowali ją w podziemiach zamku, a jej białe kości podtrzymują, wieże pod gwiazdami. Czy nie możesz pozwolić, aby biedna Trollica spoczywała w pokoju?

Walgard cofnął się wyciągając rękę, jakby chciał odepchnąć stwora, który potykając się zmierzał w jego stronę. Illrede otworzył ramiona: — Góro! — zawołał. — Góro, czy nie poznajesz swego ojca? Czy nie poznajesz swego syna?

Głos Trollicy zaszemrał głucho w wielkiej sali: — Jak umarły może kogoś poznać? Jak może wydać kogoś na świat? Umysł, który zrodził sny, stał się łonem pełnym robaków. Mrówki biegają w pustce tam, gdzie kiedyś biło serce. Och, oddajcie mi mój łańcuch! Oddajcie mi kochanka, który obejmował mnie w ciemnościach! — Zaskomlała. — Nie wskrzeszaj biednych przerażonych umarłych, panie, i nie budź szaleńców, gdyż życie i rozum są potworami, które żyją pożerając to, co wydało ich na świat.

Przechyliła lekko głowę w bok, nasłuchując. — Słyszę tętent kopyt — powiedziała cicho. — Słyszę tętent kopyt cwałujących na końcu świata. To czas mknie w przyszłość. Śnieg spada z grzywy jego konia, błyskawice tryskają spod kopyt, a tam, gdzie Czas jak wichur przemknął w nocy, pozostały tylko zeschnięte liście wirujące wśród zawieruchy, którą wywołał. Zbliży się, słyszę, jak uciekają przed nim światy... Oddajcie mi moją śmierć! — wrzasnęła. Pozwólcie mi wpełznąć z powrotem do grobu i ukryć się przed Czasem!

Szlochając skuliła się na podłodze. Illrede dał znak swym gwardzistom. — Zabierzcie ją stąd i zabijcie — rozkazał. Zwracając się do Gruma, dodał: — Powieś Imryka za kciuki nad ogniskiem. Niech wisi do czasu, aż zdobędziemy Alfheim, i będziemy mogli pomyśleć o nagrodzie dla

niego. — Wstał i zawołał: — Hej, Trollowie, przygotujcie się do podróży! Zaraz odpływamy!

Chociaż wojownicy czekali na ucztę w Elfheugh, nikt, kto ujrzał oblicze króla, nie ośmielił się zaprotestować i wkrótce potem czarne statki skierowały się na południe i zniknęły za horyzontem.

— Tym więcej pozostanie dla nas — roześmiał się Grum. Spojrzał na pobladłego Walgarda i dodał: — Myślę, że dobrze zrobisz, jeśli upijesz się tej nocy.

— Zrobię to — odparł berserker — i wyruszę do boju tak szybko, jak będę mógł zebrać żołnierzy.

Teraz dowódcy Trollów zgromadzili w sali niewiasty z Elfheugh i wzięli te, które wpadły im w oko, nim oddali pozostałe żołnierzom. Grum położył swą jedyną dłoń na przegubie Leei.

— Mądrze postąpiłaś poddając się — powiedział szczerząc zęby — więc nie mogę pozwolić, żebyś została zdegradowana. Nadal pozostaniesz damą jarla.

Poszła za nim posłusznie, ale mijając Walgarda uśmiechnęła się, spoglądając nań z ukosa. Berserker nie mógł oderwać oczu od Elfiny. Nigdy nie widział takiej niewiasty. Tak, przy niej mógłby zapomnieć o ciemnowłosej czarownicy, która nawiedzała go w snach.

Trollowie żarli i żłopałi przez kilka dni, po czym Walgard poprowadził swoich żołnierzy przeciw innej elfowej twierdzy, która jeszcze nie padła, gdyż zdołała dotrzeć do niej pewna liczba Elfów. Zamek ten nie był duży, lecz mury miał wysokie i masywne, a strzały obrońców trzymały Trollów z dala od nich.

Walgard czekał przez cały dzień. Tuż przed zachodem słońca podkraść się pod osłoną krzewów i licznych głązów niemal pod same mury, a senni i oślepieni blaskiem elfowi wartownicy nie zauważyli go. O zmroku głos rogu dał sygnał do walki i Trollowie zaatakowali. Walgard podniósł się i zamachnął co sił, zaczepiając bosak o blankę. Wspiał się po przywiązanej doń linie na szczyt muru i zadał w róg.

Elfowi wartownicy rzucili się na niego. Mimo żelaznej zbroi i broni musiał stoczyć zaciętą walkę. Trollowie szybko odnaleźli linę i poszli w jego ślady. Kiedy oczyścili z obrońców część muru, pozostali w dole wojownicy mogli oprzeć o niego drabiny. Niebawem znalazło się tam tyle Trollów, że wyrąbali sobie drogę do bramy i wpuścili resztę żołnierzy.

Nastąpiła teraz masowa rzeź Elfów. Jeszcze więcej wzięto do niewoli i w łańcuchach zaprowadzono do Elfheugh. Walgard splądrował i spalił wszystkie siedziby Elfów w okolicy i powrócił z wielkimi łupami.

Grum powitał go niechętnie, gdyż uważał, że odmieniec zyskał sobie zbyt wielką sławę wśród Trollów. — Mogłeś pozostać z garnizonem, którym obsadziłeś zdobyty zamek — powiedział. — To miejsce jest za małe dla nas dwóch.

— To prawda — mruknął Walgard, spoglądając zimno na jarla.

Mimo to Grum musiał wydać ucztę na jego cześć i posadzić po prawicy wysokiego, jarlowskiego krzesła. Elfiny usługiwały Trollom i Leea raz za razem przynosiła Walgardowi róg pełen mocnego wina.

— To za naszego bohatera, największego spośród wszystkich wojowników zarówno na ziemiach ludzi, jak i w Krainie Czarów — spełniła toast. Srebrzyste światło przenikało przez cienki jedwab aż do jej skóry i Walgardowi zakręciło się w głowie nie tylko od wina.

— Możesz mi ofiarować lepsze podziękowanie — zawołał i posadził ją sobie na kolanach. Pocałował Elfinę namiętnie, a Leea odpowiedziała mu z równym żarem.

Grum, który dotąd siedział zgarbiony w krześle i w milczeniu wychylał róg za rogiem, poruszył się gniewnie. — Wracaj do roboty, niewierna suko! — warknął, do Walgarda zaś rzekł: — Zostaw moją niewiastę w spokoju. Masz swoje.

— Ale ta bardziej mi się podoba — odparł odmieniec. — Dam ci za nią trzy inne.

— Ha, mogę zabrać twoją trójkę, jeśli zechcę — ja, twój jarl. To, co wybieram, należy do mnie. Zostaw ją w spokoju.

— Zdobycz powinna należeć do tego, kto potrafi ją lepiej wykorzystać — zadrwiła Leea, nie ruszając się z kolan Walgarda. — A ty masz tylko jedną rękę.

Troll zerwał się z krzesła. Zaślepiiony gniewem, po omacku szukał miecza, gdyż jego współplemieńcy mieli zwyczaj uctować z bronią u boku. — Pomóż mi! — zawołała Leea.

Wydawało się, że topór Walgarda sam wskoczył mu w garść. Zanim źle władający lewą ręką Grum zdołał wyciągnąć brzeszczot, topór odmieńca ugodził go w kark.

Krew buchnęła ze strasznej rany i Troll padł do stóp Walgarda. Spojrzał w wykrzywioną gniewem bladą twarz berserker. — Jesteś zły — powiedział — ale ona jest jeszcze gorsza. — I umarł.

W sali wybuchła wrzawa, zabłysła obnażona broń i Trollowie rzucili się w stronę jarlowskiego krzesła. Jedni domagali się śmierci Walgarda, inni zaś przysięgali, że będą go bronić. Przez chwilę wydawało się, że dojdzie do bitwy.

Wówczas Walgard zerwał z głowy Gruma zakrwawiony diadem, który przedtem należał do Imryka, i włożył go. Później wskoczył na jarlowskie krzesło i zagłuszył zgiełk wołaniem o ciszę.

I stopniowo w wielkiej sali zapadła cisza, w której słychać było tylko głośnie oddechy. Błyszczały obnażone brzeszczoty, czuć było ostry zapach strachu i wszystkie oczy spoczywały na Walgardzie, który stał wyniośle, ufny w swą siłę.

Przemówił do obecnych, a w jego głosie pobrzmiwały metaliczne nutki: — To wydarzyło się wcześniej, niż się spodziewałem, ale musiało się tak stać. Na cóż mógł się przydać Trollom taki kaleka jak Grum, niezdatny do walki, tylko do żarcia, chłania i spania z niewiastami, które mogły dostać się lepszym od niego mężom? Ja, który pochodzę z rodu równie szlachetnego, jak każdy inny w Trollheimie, i pokazałem, że umiem zwyciężać, bardziej nadaję się na waszego jarla. Poza tym jestem teraz jarlem z woli mego dziada, króla Illredeg. Przyniesie to korzyści wszystkim Trollom, a zwłaszcza tym z Anglii. Obiecuję wam zwycięstwo, bogactwa, wygodne życie i sławę, jeśli obwołacie mnie jarlem.

Wyciągnął topór z głowy Gruma i podniósł go. — Jeżeli ktoś jest przeciwny memu wyniesieniu, musi zrobić to po moim trupie — teraz — oświadczył. — A tym, którzy pozostaną mi wierni, odpłacę po stokroć.

W tej chwili mężowie, którzy zdobywali z Walgardem elfowy zamek, zaczęli wiwatować na jego cześć. Drudzy, którzy nie chcieli walczyć, kolejno przyłączali się do nich, tak że w końcu berserker zasiadł w jarlowskim krzesle i uczta trwała dalej. Grum był niezbyt lubiany i nie miał bliskich krewnych, dalsi zaś zgodzili się przyjąć główczyzną.

Później, gdy został w sypialni sam na sam z Leeą, odmieniec spojrział na nią ponuro. — Po raz drugi w moim życiu niewiasta pchnęła mnie do morderstwa — rzekł. — Gdybym był mądry, poćwiartowałbym twoje ciało.

— Nie mogę ci w tym przeszkodzić, panie — zamruczała i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Wiesz, że nie mogę tego zrobić — odparł ochryple. — To czcze gadanie. Moje życie i tak jest dostatecznie ponure bez spokoju, który możesz mi dać.

Mimo to zapytał ją później:

— Czy byłaś taka z Elfami... ze Skaflokiem?

Uniosła się na łokciu i pochyliła nad nim, tak że słodko pachnąca sieć jej włosów zakryła ich oboje. — Wystarczy, że jestem taka z tobą, panie — szepnęła i pocałowała go.

Walgard rządził w Elfheugh już od jakiegoś czasu. Na początku często wyruszał w pole, zdobywał elfowe twierdze i urządzał polowania z nagonką i psami na uciekinierów. Ocalało niewiele dworów, a gdy Elfowie próbowali się bronić, pchnął na nich swoje oddziały. Niektórych

pojmanyh przez siebie mężów wtrącił do lochu, innych zaś posłał do niewolniczej pracy, ale większość zabił, niewiasty zaś rozdzielił między Trollów. Sam nie wziął żadnej, gdyż pożądał tylko Leei.

Z południa przyszły wieści, że armia Illredeggo wypiera Elfów z ich ziem. Wszystkie prowincje Krainy Czarów w Walonii i we Flandrii należały już do Trollów. Tylko na północy Elfowie ze Skanii byli jeszcze wolni, lecz Trollowie otoczyli ich ze wszystkich stron i nękali na tyle zaciekle, na ile pozwalały gęste lasy tej ziemi. Niedługo armia Illredeggo wkroczy do centralnych prowincji Alfheimu, gdzie rezydował Król Elfów.

Ludzie przelotnie dostrzegali co nieco z tego, co się działo — dalekie ognie, cwałujące cienie, zawierucha przynosząca ze sobą szczęk broni. A wszystkie puszczone samopas czary siały wielkie spustoszenia — pomór wśród bydła, zepsute ziarno i nieszczęścia w rodzinie. Czasami jakiś myśliwy natknął się na zdeptane, zlane krwią pole i dostrzegł niewyraźnie kruki szarpiące trupy niepodobne do ludzkich. Ludzie tłoczyli się w samotnych domostwach, kładli żelazo pod próg i zwracali się do różnych bogów o pomoc.

W miarę upływu czasu Walgard coraz częściej przebywał w Elfheugh. Albowiem był już w każdym elfowym zamku i górskim mieście, jakie mógł znaleźć, i spustoszył wszystko od Orkadów aż po Kornwalię. Elfowie, którzy uciekli przed nim, byli dobrze ukryci: napadali zniemacka na jego żołnierzy, tak że wielu Trollów już nigdy nie powróciło do Elfheugh, ukradkiem zatruli żywność i wodę, podcinali ścięgna koniom, niszczyli uzbrojenie za pomocą rdzy, przyzywali też zamiecie, jak gdyby to sama ziemia walczyła z najeźdźcą.

Nie można było wątpić, że Trollowie władają Anglią, i z każdym dniem coraz mocniej zaciskali na niej więzy. Ale nigdy dotąd Walgard nie tęsknił za wiosną tak bardzo jak teraz.

XVIII

Skaflrok i Freda schronili się w jaskini. Była to głęboka pieczara w klifie, który łukiem oddalał się od wybrzeża, daleko na północ od elfowych wzgórz. Dalej był oblodzony las, gęściejszy na południu, a na północy stopniowo przechodzący we wrzosowisko i nagie skały. Była to kraina pępna i niegościnna, nie zamieszkaana ani przez ludzi, ani przez plemiona Krainy Czarów i dlatego prawie tak samo bezpieczna jak każde miejsce, z którego można dalej prowadzić wojnę.

Uciekinierzy mogli w niewielkim stopniu posługiwać się czarami z obawy, żeby nie wyczuli ich Trollowie, ale Skaflrok wiele razy polował w postaci wilka, wydry czy orła, których skóry Freda zabrała z Elfheugh; wyczarował też piwo z wody morskiej. Musieli nieźle się natrudzić, żeby choć utrzymać się przy życiu tamtej zimy — najciężej, jaką Anglia pamiętała niemal od czasów Wielkiego Złodowacenia — a Skaflrok spędzał większość czasu w poszukiwaniu zwierzyny.

Jaskinia była wilgotna i zimna. Wiatry świszcząły u jej wejścia i fale rozbijały się o skały u jej podnóża. Lecz gdy Skaflrok powrócił z pierwszego długiego polowania, przez chwilę myślał, że trafił w niewłaściwe miejsce.

Ogień palił się wesoło w obmurzu paleniska, a dym wychodził na zewnątrz przez prymitywną rurę z wiklinowej plecionki i surowych skór. Inne skóry tworzyły ciepłą osłonę na ziemi i ścianach; jedna wisiała u wejścia do jaskini, zasłaniając ją przed wiatrem. Konie były przywiązane w głębi i żuły owies, który Skaflrok wyczarował z wodorostów. Zapasową broń starannie wyczyszczono i ustawiono rzędem, jakby to była pałacowa jadalnia. Każdy miecz, łuk czy włócznię zdobiła gałązka czerwonych, zimowych jagód.

Freda przykucnęła obok ogniska i piekła mięso na rożnie. Skaflrok przystanął w pół kroku. Na jej widok serce w nim zamarło. Dziewczyna miała na sobie tylko krótką tunikę i jej długonogie, smukłe ciało o łagodnych krągłościach bioder, talii i piersi zdawało się unosić w półmroku jak ptak gotowy do lotu.

Freda zobaczyła Skafloka wtedy, gdy wszedł do środka i uśmiech zadowolenia rozjaśnił jej zaróżowioną od żaru, umazaną popiołem twarz i wielkie szare oczy. Bez słowa podbiegła do niego, niezgrabnie jak długonogie źrebki, i przez jakiś czas trzymali się w objęciach.

Młodzieniec zapytał ze zdumieniem:

— Jak udało ci się to zrobić, moja droga?

Roześmiała się cicho: — Nie jestem niedźwiedziem ani mężem, żebyem zgarnęła kupę liści i nazwała to moim zimowym domem. Część tych skór już mieliśmy, a resztę przygotowałam sama. Och, dobra ze mnie gospodyni. — Przytuliła się do niego i ciągnęła drżącym głosem: — Tak długo cię nie było i miałam bardzo dużo wolnego czasu. Musiałam wypełnić czymś dni i na tyle się zmęczyć, żeby spać w nocy.

Ręce Skafloka drżały, gdy pieścił Fredę. — To nie jest miejsce dla ciebie. Życie wygnańca jest trudne i pełne niebezpieczeństw. Powinienem zabrać cię do jakiejś ludzkiej osady, gdzie czekałabyś na nasze zwycięstwo lub zapomniałabyś o naszej klęsce.

— Nie... nie, nigdy tego nie zrobisz! — Chwyciła go za uszy i poty ciągnęła, póki nie dotknął ustami jej ust. Wtedy dodała na poły śmiejąc się, na poły szlochając: — Powiedziałam, że cię nie opuszczę. Nie, Skafloku, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

— Prawdę mówiąc — przyznał po chwili — nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Nic nie byłoby warte zachodu.

— Więc nie opuszczaj mnie już nigdy.

— Muszę polować, najdroższa.

— Będę polowała z tobą. — Wskazała na skóry i piekące się nad ogniem mięso. — Znam się na tym.

— Podobnie jak na innych rzeczach — roześmiał się i dodał posepniejąc: — Będę podchodził nie tylko dzikie zwierzęta, Fredo, ale i Trollów.

— Ja również tam będę. — Twarz dziewczyny stężała podobnie jak oblicze Skafloka. — Czy myślisz, że nie mam się za kogo mścić?

Wychowanek Imryka podniósł dumnie głowę, po czym pochylił się, by znów pocałować Fredę, jak rybołów schylający się nad zdobyczą. — Niech więc tak będzie! I waleczny Orni na pewno byłby dumny z takiej córki.

Przesunęła palcami wzdłuż jego policzka i szczęki. — Czy wiesz, kto był twoim ojcem? — zapytała.

— Nie. — Zaniepokoił się, przypomniawszy sobie słowa Tyra. — Nigdy nie wiedziałem.

— To nieważne — uśmiechnęła się. — Zapytałam dlatego, że i on mógłby być z ciebie dumny. Myślę, że Orm, zwany Silnym oddałby całe swe bogactwo, żeby mieć takiego syna jak ty — co nie znaczy, iż Ketil i Asmund byli słabeuszami. A ponieważ tak nie jest, musi być zadowolony, że połączyłeś się z jego córką.

* * *

W miarę upływu czasu zima stawała się coraz surowsza i bardzo trudno było wyżyć. Głód często gościł teraz w jaskini i chłód przekradał się mimo skórzanych zasłon i ogniska, tak że w końcu Skaflok i Freda mogli znaleźć trochę ciepła tylko wtedy, gdy oboje zawinęli się w niedźwiedzie skóry. Całe dni spędzali na wielkich białych przestrzeniach w poszukiwaniu zwierzyny, jadąc na szybkich elf o wy eh koniach, które nie zapadały się w śniegu.

Od czasu do czasu napotykali szerniałe zgliszczą elfowego dworu. W takich chwilach Skaflok bladł jak płótno i nic nie mówił przez wiele godzin. Raz na jakiś czas spotykali żywego Elfa, wychudzonego i obdartego, ale wychowanek Imryka nie starał się sformować oddziału, gdyż przyciągnąłby jedynie uwagę wroga, a nie mógłby stawić mu czoło. Takie postępowanie miałoby sens tylko wtedy, gdyby mogli otrzymać pomoc z zewnątrz.

Skaflok zawsze wypatrywał Trollów. Jeśli znalazł ich ślady, on i Freda puszczała się w dziki cwał. Większą grupę zasypywali z daleka strzałami, po czym zawracali i uciekali, albo młodzieniec czekał aż wstanie dzień, wpełzał do schroniska, w którym spali Trollowie, i podrzynał im gardła. Kiedy wrogów było nie więcej niż dwóch lub trzech, atakował ich z mieczem w dłoni, którego świst wraz z warkotem posłanej przez Fredę strzały były ostatnimi odgłosami, jakie usłyszeli.

Łowy te były zawzięcie prowadzone przez obie strony. Często kochankowie siedzieli ukryci w pieczarze lub pod górskim łękiem, przyglądając się pościgowi i tylko cienka zasłona czarów utkana przez pieśni runiczne Skafloka, nie chroniąca ich przed spojrzeniem wprost, ukrywała ich ślady. Gonili ich strzały, włócznie i wystrzelone z proc kamienie, kiedy uciekali po zabiciu dwóch lub trzech żołnierzy z większej grupy Trollów. Ze swej jaskini widzieli, jak mijały ich długie trollowe statki, na tyle blisko, że mogli policzyć nity w tarczach wojowników.

I było zimno, bardzo zimno.

A przecież prowadząc takie życie naprawdę się poznali. Dowiedzieli się, że ich ciała są najmniejszą częścią tego, co było do kochania. Skaflok zastanawiał się, czy bez Fredy znalazłby w sobie dość hartu ducha, żeby walczyć z Trollami. Jej strzały zabiły wielu Trollów, a zuchwałe projekty zasadzek — jeszcze więcej. To właśnie jej pocałunki w słodkich chwilach spokoju

zachęcały go do czynu, a pomoc i pociecha, którą obdarzała go o każdej godzinie dnia i nocy, dodawały mu sił. Dla Fredy Skaflok był największym, najdzielniejszym i najlepszym ze wszystkich mężów, jej mieczem i tarczą zarazem, kochankiem i towarzyszem broni.

Dziewczyna nawet robiła sobie wyrzuty i czuła się trochę winna, że nie przeszkadzał jej zbytnio brak wiary. Skaflok wytłumaczył jej, że święte słowa i znaki mogłyby zaszkodzić czarom, których potrzebował. Ze swej strony Freda doszła do wniosku, iż bluźnierstwem byłoby użyć ich dla uzyskania przewagi w walce pomiędzy dwoma pozbawionymi duszy plemionami; że lepiej, a może nawet bezpieczniej będzie nie wypowiadać modlitw. Co do wojny między Elfami a Trollami, skoro była to wojna Skafloka, więc stała się i jej wojną. Kiedyś, po zwycięstwie, nakłoni go, by posłuchał księdza, a Bóg na pewno sprawi, że jej ukochany uwierzy w Niego.

Życie wygnańców było ciężkie, ale dziewczyna czuła, że jej ciało przystosowuje się do niego: zmysły nabrały ostrości, mięśnie siły, a dusza — hartu. Wiatr chłostał krew w jej żyłach, aż czuła mrowienie na całym ciele; gwiazdy użyczyły blasku jej oczom.

Kiedy życie balansowało na ostrzu miecza, Freda nauczyła się rozkoszować każdą chwilą, poznała głębie, o których nawet nie śniła.

To dziwne, myślała, że także wtedy, gdy byli głodni, zamarznięci i przestraszeni, nigdy się nie klócili. Myśleli i postępowali jak jedna istota, jak gdyby zostali ulepieni z tej samej gliny. Istniały między nimi tylko takie różnice, które odpowiadały pragnieniom i potrzebom drugiej osoby.

— Przechwalałem się kiedyś przed Imrykiem, że nigdy nie zaznałem strachu, kłębki ani nieszczęśliwej miłości — powiedział Skaflok. Leżał w jaskini z głową na łonie Fredy, która rozczesywała mu zmierzwione przez wiatr włosy. — Rzekł mi wtedy, że są to trzy końce i początki ludzkiego żywota. Nie zrozumiałem, co miał na myśli, lecz teraz widzę, że był mądry.

— Skąd mógłby to wiedzieć?

— Nie wiem, gdyż Elfowie tylko czasem poznają kłębki, bardzo rzadko strachu, a miłości — nigdy. Ale od czasu, gdy cię spotkałem, odnalazłem w sobie wszystkie trzy. Stawałem się bardziej Elfem niż człowiekiem, lecz ty przywracasz mi moje człowieczeństwo i tracę elfowe nawyki.

— Coś elfowego przedostało się do mojej krwi. Boję się, że za mało myślę o tym, co dobre i święte, a coraz więcej o rzeczach pożytecznych i przyjemnych. Popadam w coraz cięższe grzechy.

Skaflok przyciągnął jej twarz do swojej. — I dobrze robisz. To mamrotanie o powinności, prawie i grzechu nie przynosi nic dobrego.

— Bluźnisz... — zaczęła, ale Skaflok zamknął jej usta pocałunkiem. Chciała się uwolnić i wszystko zakończyło się miłosną grą, pełną śmiechu i pozorowanej walki. Do czasu, gdy skończyli, Freda zapomniała o złych przeczuciach.

* * *

Kiedy Trollowie przestali pustoszyć ziemie Elfów, wycofali się do swych warowni i rzadko je opuszczali, chyba że w oddziałach zbyt licznych, aby można je było atakować. Skaflok, który po zabiciu pewnej liczby jeleni, zgromadził duże zapasy zmarzniętego mięsa, nie mając nic do roboty sposepniał i już nie przekomarzał się z Fredą, lecz spędzał dni siedząc skulony w jaskini.

Dziewczyna starała się go pocieszyć: — Teraz nie grozi nam niebezpieczeństwo — powiedziała.

— Cóż z tego, skoro nie możemy walczyć — odparł. — Czekamy tylko na koniec. Alfheim ginie. Wkrótce wszystkie królestwa Krainy Czarów będą należały do Trollów. A ja — ja siedzę tutaj!

Któregoś dnia wyszedł z jaskini i zobaczył kruka szybującego na wietrze pod ołowianym niebem. Morze atakowało skały u jego stóp, szumiało i ryczało gniewnie szykując się do nowego skoku, a pył wodny zamarzał tam, gdzie spadł.

— Jakże przynosisz wieści? — zawołał Skaflok w mowie kruków. Oczywiście nie użył tych słów ani nie otrzymał podobnej odpowiedzi, gdyż języki zwierząt i ptaków różnią się od ludzkich, ale w przybliżeniu miało to takie właśnie znaczenie.

— Przybywam z południa, spoza Kanału, żeby sprowadzić moich krewnych — odparł kruk. — Walonia i Wendlandia wpadły w ręce Trollów, Skania jest bliska klęski, a armie Królów Elfów wycofują się w stronę centralnych prowincji jego państwa. Dobrze jest tam ucztować, ale kruki powinny się pośpieszyć, gdyż wojna niedługo się skończy.

Skafloka ogarnęła taka wściekłość, że nałożył strzałę na cięciwę łuku i zabił ptaka. Lecz gdy martwy kruk spadł mu do stóp, opuścił go gniew, ustępując miejsca smutkowi.

— Źle postąpiłem zabijając cię, bracie — powiedział cicho. — Nie zrobiłeś mi nic złego, a raczej czynisz dobro oczyszczając ten świat ze śmierdzących odpadków przeszłości. Byłeś mi przyjazny i w dodatku bezbronny, a ja zabiłem cię, choć pozwoliłem wrogom siedzieć w spokoju.

Wrócił do jaskini i nagle wybuchnął płaczem. Łkania rozdzierały mu pierś. Freda przytuliła go, przemawiając doń jak do dziecka, aż się wyplakał w jej objęciach.

Tej nocy Skaflok nie mógł zasnąć. — Alfheim ginie — mamrotał. — Zanim stopnieją śniegi, Alfheim będzie już tylko wspomnieniem. Nic mi już nie pozostało, jak tylko wyruszyć przeciw Trollom i zabrać ze sobą w zaświaty tylu, ilu będę mógł.

— Nie mów tak — powiedziała Freda. — W ten sposób zdradziłbyś nie tylko siebie — ale i mnie. Po stokroć lepiej jest żyć i walczyć.

— Czym walczyć? — zapytał Skaflok z goryczą. — Elfowe statki zostały zatopione lub rozproszone po morzach, wojownicy polegli, zakuto ich w kajdany lub są ścigani tak jak my. W zamkach Elfów mieszkają wiatr, śnieg i wilki, a wróg zasiada w jarlowskim krześle naszych dawnych panów. Elfowie są osamotnieni, nadzy, głodni i bezbronni...

Freda pocałowała go. I w tej samej chwili Skaflok zobaczył błysk miecza uniesionego wysoko na tle mroku.

Dziewczyna poczuła, że jej ukochany zeszywniał jak żelazna belka i trwał tak długi czas drżąc, jakby w tę belkę biło tysiąc młotów, a później szepnął: — Miecz... imieninowy dar Asów... tak, tamten miecz...

Freda przeraziła się.

— Co masz na myśli? Co to za miecz?

Kiedy leżeli przytuleni do siebie w ciemności, Skaflok zaczął szeptać jej cicho do ucha, jak gdyby się bał, że noc go usłyszy. Opowiedział jej, jak Skirnir przywiózł złamany miecz, jak Imryk ukrył ów brzeszczot w ścianie lochu w Elfheugh i jak Tyr ostrzegł go, że zbliża się czas, kiedy będzie potrzebowała daru Asów.

Kiedy skończył, poczuł, że Freda drży w jego objęciach, ona, która polowała na uzbrojonych Trollów. Powiedziała cicho i niepewnie: — Nie podoba mi się to, Skafloku. To niedobra rzecz.

— Niedobra? — zawołał. — Przecież to nasza ostatnia nadzieja. Odyn znający przyszłość musiał przewidzieć dzień zguby Alfheimu — i dał nam miecz, który ma temu zapobiec. Bezbronni? Pokażemy im, że jest inaczej.

— Niedobrze jest mieć do czynienia z pogańskimi rzeczami, a zwłaszcza wtedy, gdy ofiarowują je pogańscy bogowie — powiedziała błagalnym tonem. — Tylko zło z tego wyniknie. Och, mój ukochany, zapomnij o tym mieczu!

— To prawda, że bogowie bez wątpienia mają w tym własne cele — odparł — ale nie muszą one być sprzeczne z naszymi. Myślę, że Kraina Czarów jest szachownicą, na której Asowie i

Jotunowie przesuwają Elfów i Trollów w jakiejś grze przechodzącej nasze zrozumienie. Lecz mądry gracz dba o swoje pionki.

— Ale ten miecz jest ukryty w Elfheugh.

— Jakoś się tam dostanę. Mam już pewien pomysł.

— Miecz jest złamany. Jak znajdziesz... znajdziemy olbrzymą, który może go naprawić? Jak zmusić go, żeby wykuł na nowo miecz, który zostanie użyty przeciw spokrewnionym z nim Trollom?

— Na pewno jest jakiś sposób — w głosie Skafloka zadźwięczały metaliczne nutki. — Nawet teraz wiem, jak mam zdobyć potrzebne mi informacje, chociaż to bardzo niebezpieczne. Może się nam nie powieść, ale dar bogów to nasza ostatnia szansa.

— Dar bogów — Freda wybuchnęła płaczem. — Mówię ci, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Czuję to. Jeżeli rozpoczniesz poszukiwania, Skafloku, wówczas rozstaniemy się.

— Czy opuściłabyś mnie z tego powodu? — zapytał z przerażeniem.

— Nie, nie, mój kochany... — Przytuliła się do niego, czując, że łzy zasłaniają jej oczy. — To tylko coś szepcze mi w duszy... lecz wiem...!

Przytulił ją jeszcze mocniej i jął całować namiętnie, aż zakręciło się jej w głowie, a on sam roześmiał się ze szczęścia. W końcu musiała wybić sobie z głowy te myśli, jako niegodne małżonki Skafloka, i cieszyć się wraz z nim.

Obudziła się w niej jednak nie znana dotąd tęsknota, gdyż w głębi duszy czuła, że będą mieli niewiele chwil takich jak ta.

XIX

Następnej nocy, na kilka godzin przed świtem, po błyskawicznym odjeździe z jaskini, zebrali koniom wodze. Skaflok nie mógł czekać, gdy ginął Alfheim. Księżyc w drugiej kwadrze wyglądał zza chmur, a jego blade światło przesączało się przez oszronione drzewa i odbijało od śniegu. W nieruchomym, mroźnym powietrzu ich oddechy uniosły się ku górze jak dym, aby migotać niewyraźnie niczym duchy, które uciekły z ust konających.

— Nie możemy razem zbliżyć się do Elfheugh. — Szept Skafloka wydał się nienaturalnie głośny w spokojnym półmroku zarośli, w których się ukryli. — Lecz mogę zrobić to sam przed świtem, w postaci wilka.

— Czemu ci tak spieszo? — Freda przytuliła się do jego ramienia i młodzieniec poczuł sól łez na jej policzku. — Czemu przynajmniej nie udać się tam za dnia, kiedy będą spali?

— Nie mogę zmienić postaci w blasku słońca — odparł na to. — A kiedy znajdę się w środku, dzień czy noc nie robi żadnej różnicy, gdyż większość Trollów równie dobrze może spać, jak czuwać o każdej porze. Gdy już tam będę, znajdę tych, którzy mogą mi pomóc. Myślę przede wszystkim o Leei...

— Leea... — Freda zagryzła wargi. — Nie podoba mi się ten szalony plan. Czy nie ma innego sposobu?

— Nic innego nie przyszło mi do głowy. Ty, kochana, masz najcięższe zadanie — muszę to przyznać — czekać tu samotnie na mój powrót. — Spojrzał na jej twarz, jakby chciał zakarbować w pamięci najdrobniejszy szczegół. — Nie zapomnij rozbić przed wschodem słońca namiotu ze skór, które przywiozłem, by osłonić przed nim konie. I pamiętaj, że wrócę w ludzkiej postaci, niosąc ciężar. W ten sposób mogę wędrować za dnia, bezpieczny aż do zmierzchu, lecz znacznie wolniej, więc przypuszczalnie będę tu jutrzejszej nocy. Nie bądź nieostrożna, księżniczko. Jeśli zauważysz Trollów lub gdybym nie wrócił do trzeciego wieczoru, odejdz stąd. Uciekaj do świata ludzi i blasku słońca!

— Zniosę oczekiwanie — powiedziała bezbarwnym głosem — ale opuścić to miejsce nie wiedząc, czy żyjesz, czy... — wzruszenie ścisnęło ją za gardło — umarłeś, to może być ponad moje siły.

Skaflok zeskoczył z konia. Śnieg zachrzęścił mu pod nogami. Szybko rozebrał się do naga. Drżąc z zimna okręcił lędźwia skórą wydry, narzucił na ramiona skórę orła i okrył się wilczym futrem jak płaszczem.

Freda również zsiadła z konia. Pocałowali się namiętnie. — Żegnaj, najdroższa — powiedział Skaflok. — Czekaj na mnie, aż powrócę z mieczem.

Odwrócił się, nie śmiejąc się zatrzymać przy płaczącej cicho dziewczynie i okręcił się ciasniej wilczą skórą. Stał na czworakach i wymówił niezbędne słowa. Potem poczuł, że jego ciało drgnęło i przybrało inny kształt, a zmysły zmały się. Freda widziała, jak się zmieniał, szybko jakby topniał, aż stanął obok niej wielki szary wilk o świecących w mroku zielonych oczach.

Zimny nos dotknął na moment jej ręki. Freda zmierzwiła szarą sierść, po czym wilk oddalił się.

Mknął po śniegu, lawirując między drzewami i krzewami, sadząc wielkimi susami, szybko i niezmordowanie — nigdy nie mógłby tak biec w ludzkiej postaci. Jako wilk czuł się bardzo dziwnie. Wzajemne oddziaływanie kości, mięśni i ścięgien było inne niż przedtem. Wiatr muskał mu sierść. Widział niewyraźnie, wszystko stało się płaskie i bezbarwne, ale za to słyszał każdy najcichszy szelest, każde westchnienie i szept. Odkrył, że cisza nocna pełna jest pomruków —

wiele z tych dźwięków było zbyt wysokich, aby mogli usłyszeć je ludzie. Powietrze sprawiało wrażenie żywego, ślady i tropy wirowały w nozdrzach Skafloka, odróżniał niezliczone subtelne zapachy. Były też odczucia, dla których brakło słów w języku ludzi.

Wydawało mu się, że znalazł się w innym świecie, czuł, iż ów świat jest pod każdym względem odmienny od tego, który znał. I on sam również się zmienił, nie tylko jego ciało, ale także umysł i nerwy. Jego myśli krążyły wilczymi ścieżkami, węższymi, lecz znacznie wrażliwymi od ludzkich. W zwierzęcej postaci nie mógł myśleć o wielu rzeczach, a gdy znów stał się człowiekiem, nie potrafił przypomnieć sobie wszystkiego, co czuł i myślał jako zwierzę.

Naprzód, wciąż naprzód! Noc i mile uciekały pod jego stopami. Las tętnił tajemnym życiem. Uchwycił zapach zająca — przestraszonego, skulonego w pobliżu, wpatrującego się weń szeroko otwartymi oczami — i ślina napłynęła mu do pyska. Ale jego ludzka dusza gnała go wciąż naprzód. Zahukała sowa. Drzewa, wzgórza, skute lodem rzeki zamieniły się w uciekającą barwną smugę, księżyc płynął po niebie, a on biegł bez wytchnienia.

Wreszcie zobaczył sylwetkę Elfheugh majaczącą na tle wysrebrzonych chmur i zimowe gwiazdy, które przymarzły do jego wież. Elfheugh, Elfheugh, piękne i utracone, teraz siedziba śmiertelnych wrogów!

Położył się na brzuchu i poczołgał w stronę zamku. Wyteżając wszystkie wilcze zmysły badał okolicę... czy wrogowie byli w pobliżu?

Poczuł wężowy zapach Trollów. Opuścił ogon i wyszczerzył zęby. Zamek cuchnął Trollami — i co gorsza, strachem, bólem i tłumionym gniewem.

Słabym wilczym wzrokiem nie mógł dostrzec szczytu muru, pod którym przycupnął. Lecz doskonale słyszał odgłos kroków wartowników spacerujących w górze, czuł ich woń i drżał na całym ciele, tak bardzo pragnął rozszarpać im gardła.

Spokojnie, tylko spokojnie, powiedział sobie w duchu. Przeszli obok, minęli go, znów może zmienić skórę.

Ponieważ był już zwierzęciem, wystarczyło, że zapragnął zmienić postać. Skręcił się, poczuł, że jego ciało przesuwają się i kurczy i zakręciło mu się w głowie. Po chwili poszybował ku niebu jako wielki orzeł.

Widział teraz bardzo dobrze, miał nieludzko bystry wzrok, a rozkosz lotu, nieskończone piękno wiatru i nieba pulsowały w jego żyłach. Ale surowy umysł i wola orła oparły się temu upajającemu uczuciu. Nie miał oczu sowy i w powietrzu był doskonałym celem dla strzał Trollów.

Przeleciał nad murem obronnym i dziedzińcem, po czym zwolnił lot, aż wiatr zaświszczał mu w piórach. Wylądował obok zamku, w cieniu porosłej bluszczem wieży, i znów zadygotał, zmieniając kształt. Potem czekał jakiś czas już w wydrzej skórze.

W tej postaci nie miał tak dobrego węchu jak wilk, chociaż wrażliwszy niż u człowieka, za to widział znacznie lepiej i miał równie bystry słuch. Każdy włoszek na jego ciele wibrował od doznań niemożliwych do opisanego w żadnym ludzkim języku. A szybkość, zwinność i piękne połyskliwe futro radowały próżny i figlarny umysł wydry.

Przyczaił się i leżał, wyteżając wszystkie zmysły. Usłyszał z blanków okrzyki zaskoczenia. Ktoś musiał dostrzec orła, więc Skaflok wołał nie mitrzyćć.

Przemykał zwinnie wzdłuż ściany, trzymając się cienia. Wydra była za duża, by czuł się bezpiecznie. Miałby większe szanse, gdyby zmienił się w łasicę lub szczura, ale nie mógł tego zrobić. Rad był, że Freda przywiozła mu te trzy zaczarowane skóry. Ogarnęło go rozczulenie, lecz nie powinien teraz myśleć o ukochanej, jeszcze nie.

Zobaczył otwarte drzwi i wślizgnął się do środka. Znajdowały się w tylnej części zamku, ale Skaflok doskonale znał każdy zakątek i szczelinę w labiryncie korytarzy. Nastroszył wąsy.

Chociaż miejsce to śmierdziało Trollami, rozróżnił w powietrzu ciężką woń snu. Wyczuł, że kilku wrogów krążyło w pobliżu, lecz na pewno wymknie się im bez trudu.

Minął jadalnię. Trollowie leżeli rozwaleni na podłodze, chrapiąc w pijackim śnie. Gobeliny były podarte, meble pokiereszowane i poplamione, a ozdoby ze złota, srebra i kamieni szlachetnych, dzieło całych stuleci, porozkradane. Lepiej by się stało, pomyślał Skaflok, gdyby zwyciężyli nas Goblinowie. Przynajmniej był to lud mający dobre maniery. A te brudne świnię...

Piął się po schodach, zmierzając do komnat Imryka. Ktokolwiek był teraz jarlem, na pewno spał tam... z Leeą u boku.

Wydra przylgnęła do ściany. Wyszczrzyła ostre jak igły zęby w bezgłośnym warknięciu. Jej żółte oczy zabłyśły. Wyczuła Trolla za zakrętem. Jarl postawił tam wartownika i...

Jak szara błyskawica wilk rzucił się na Trolla. Senny wojownik nie wiedział, co go zaatakowało, nim wilcze szczęki nie zacisnęły się na jego gardła. Runął na podłogę wśród chrzęstu kolczugi, szarpiąc pazurami zwierzę leżące mu na piersi i umarł.

Skaflok skulił się. Krew kapiała mu z pyska. Miała kwaśny smak. To dopiero był harmider... nie, nie ogłoszono alarmu... nikt nic nie usłyszał... przecież zamek jest taki duży. Musi zaryzykować, że Trollowie odkryją ciało, zanim opuści Elfheugh. Tak, to prawie pewne, że ktoś je znajdzie — nie, poczekamy...

Szybko, już jako człowiek, Skaflok pokiereszował szyję zabitego Trolla jego własnym mieczem, tak by nie można było dostrzec, że to nie brzeszczot, a zęby odebrały mu życie. Może pomyślał, że zginął w pijackiej burdzie. Lepiej, żeby tak zrobili, pomyślał ponuro młodzieniec, wycierając usta i wypluwając zieloną krew.

Przybrawszy znów postać wydry pobiegł dalej. Na szczycie schodów drzwi do komnat Imryka były zamknięte, ale znał tajemny syk i gwizd, które je otworzą. Zrobił tak, uchylił drzwi nosem i wszedł do środka.

Dwoje spało w łożu Imryka. Jeżeli nowy jarl się zbudzi, będzie to kres wyprawy Skafloka. Młodzieniec poczołgał się w stronę łoża, a każdy ruch wydawał mu się bardzo głośny.

Gdy tam dotarł, stanął na tylnych łapach. Zobaczył na poduszce bosko piękne lico Leei w obłoku srebrzystych pukli, a obok niej głowę jasnowęłosego męża, którego twarz nie utraciła surowego wyrazu nawet we śnie. To oblicze było kopią jego własnego.

A więc Walgard złoczyńca był teraz jarlem. Skaflok z trudem powstrzymał się, żeby nie zatopić wilczych kłów w jego gardle, nie wykluć mu orlim dziobem oczu i nie zanurzyć wydrzego języka w rozszarpanych wnętrznościach.

Ale to były zwierzęce pragnienia. Gdyby dał im posłuch, na pewno narobiłby hałasu i utracił miecz.

Dotknął nosem policzka Leei. Elfina uniosła powieki i rozpoznała go.

Usiadła bardzo powoli. Walgard drgnął i jęknął we śnie. Leea znieruchomiała. Berserker mamrotał coś przez sen. Skaflok uchwycił strzępy zdań: ...odmieniec... topór... O, matko, matko!

Elfina spuściła nogę na podłogę. Opierając się na niej, wysunęła się z łoża. Jej białe ciało prześwitywało przez zasłonę włosów. Jak cień wyszła z sypialni, przemknęła przez drugą komnatę do trzeciej. Skaflok pobiegł za nią. Leea cicho zamknęła za nim wszystkie drzwi.

— Teraz możemy porozmawiać — szepnęła.

Skaflok stanął znów jako człowiek i Elfina wpadła mu w ramiona, na poły śmiejąc się, na poły płacząc. Całowała go tak długo, że, zapomniawszy o Fredzie, uświadomił sobie, jak śliczną niewiastę trzymał w objęciach.

Leea spostrzegła to i chciała pociągnąć go w stronę łoża. — Skafloku — szepnęła. — Mój kochany.

Młodzieniec opanował się. — Nie mam czasu — powiedział szorstko. — Przybyłem tu po złamany miecz, który był imieninowym darem Asów dla mnie.

— Jesteś zmęczony. — Ręce Elfiny gładziły go po twarzy. — Byłeś zmarznięty, głodny i groziła ci śmierć. Pozwól mi dać ci wytchnienie i pociechę. Mam tajemną komnatę...

— Nie mam czasu, nie mam czasu — warknął. — Freda czeka na mnie w samym sercu posiadłości Trollów. Zaprowadź mnie do miecza.

— Freda. — Leea zbladła jeszcze bardziej. — Więc ta śmiertelna dziewczyna nadal jest z tobą.

— Tak i okazała się dzielną wojowniczką dla Alfheimu.

— Ja również nieźle się spisałam — powiedziała Elfina z dziwną mieszaniną dawnej ironii i nowego żalu w głosie. — Walgard już zabił dla mnie starego Gruma, trollowego jarla. Jest silny, ale urabiam go na moją modłę. — Pochyliła się ku niemu. — Jest lepszy od Trolla, jest prawie tobą... lecz to nie ty, Skafloku, i już męczy mnie udawanie.

— Pośpiesz się! — Potrząsnął nią. — Jeśli mnie schwytają, będzie to koniec Alfheimu, a z każdą minutą szanse pojmania mnie rosną.

Elfina stała jakiś czas w milczeniu. Wreszcie odwróciła głowę i wyjrzała przez duże oszklone okno na świat, gdzie chmury pochłoneły księżyc, a zmarznięta ziemia w ciszy oczekiwała świtu. — Istotnie — rzekła. — Oczywiście, masz rację. I cóż może być bardziej naturalnego niż to, że pragniesz jak najprędzej powrócić do twej ukochanej — do Fredy?

Odwróciła się od niego. Wstrząsnął nią bezgłośny śmiech. — Czy chcesz wiedzieć, kto był twoim ojcem, Skafloku? Czy mam powiedzieć, kim naprawdę jesteś?

Młodzieniec zasłonił jej usta ręką czując, że dawny lęk chwyta go za gardło. — Nie! Słyszałaś, co powiedział Tyr!

— Zapieczętuji mi usta pocałunkiem — odparła.

— Nie mogę czekać... — zaczął, ale posłuchał jej. — Czy teraz pójdziemy?

— Zimny był ten pocałunek — mruknęła z zalem. — Zimny jak obowiązek. No cóż, ruszajmy w drogę. Ale jesteś nagi i nie masz broni. Skoro jako zwierzołak nie możesz zabrać stąd żelaznego miecza, lepiej się ubierz. — Otworzyła skrzynię. — Masz tu tunikę, spodnie, cizmy, płaszcz i wszystko, co tylko zechcesz.

Skaflok ubrał się gorączkowo. Bogato zdobione futrem szaty na pewno należały przedtem do Imryka i zostały przerobione dla Walgarda, gdyż pasowały jak ulał. Zawiesił u pasa toporek. Leea narzuciła na nagie ciało ognistoczerwony płaszcz. Potem zaprowadziła go do innych schodów.

Schodzili coraz niżej. W szybie było zimno i panowała w nim głęboka cisza, ale napięcie wydawało się nie do zniesienia. Raz minęli jakiegoś Trolla stojącego na warcie. Skaflok poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie i sięgnął po toporek, lecz wartownik tylko pochylił głowę, biorąc go za odmieńca. Prowadząc żywot banity Skaflok zapuścił brodę i strzygł ją krótko jak Walgard.

Dotarli do lochów, których wilgotny mrok tylko z rzadka rozjaśniało światło pochodni. Kroki Skafloka budziły głośnie echo w korytarzach, a ciemności wydawały się namacalne. Leea stapała lekko, w milczeniu.

Wreszcie doszli do miejsca, gdzie na kamiennym murze widniały jaśniejsze ślady cementu, na którym wryto znaki runiczne. W pobliżu znajdowały się zamknięte drzwi. Leea wskazała je Skaflokowi. — W tej celi Imryk więził matkę odmieńca — powiedziała. — Jest tam teraz sam, powieszony za kciuki nad niegasnącym ogniem. Kiedy Walgard się upije, zabawia się chłozząc go do nieprzytomności.

Skaflok zacisnął palce na rękojeści miecza tak mocno, że aż zbieleły. A przecież w głębi ducha zadał sobie pytanie: czy los Imryka gorszy był od tego, który jarl zgotował Trollicy i, kto

wie, ilu innym? Czy Freda — albo Biały Chrystus, o którym opowiedziała mu trochę — nie mieli racji mówiąc, że krzywda tylko rodzi jeszcze większą krzywdę, a przez to przybliża Ragnarok? Że nadszedł już czas, aby duma i zemsta ustąpiły miejsca miłości i przebaczeniu, które wcale nie są godnymi pogardy słabostkami, ale największym zwycięstwem, na jakie może się zdobyć człowiek?

Lecz Imryk wziął go na wychowanie, a Alfheim był jego ojczyzną... Dlaczego nie mógł poznać tajemnicy swych narodzin? Gwałtownie uderzył toporkiem w ścianę.

Usłyszeli dalekie krzyki i tupot nóg. — Alarm — szepnęła Leea.

— Zdaje się, że znaleźli wartownika, którego musiałem zabić. — Skaflok uderzył mocniej. Cement powoli odłupywał się od kamienia.

— Czy widziano cię, jak wchodziłeś do zamku? — zapytała Elfina.

— Mogli mnie dostrzec w postaci orła. — Toporek pękł. Skaflok zaklął i zaczął uderzać złamanym ostrzem.

— Jeżeli Walgard dowie się o orle, jest na tyle bystry, że może się domyślić, iż nie było to zwykłe zabójstwo. A jeśli rozkaże żołnierzom przeszukać zamek i znajdą nas... Pośpiesz się!

Zgiełk na górze rósł, lecz tu, w dole, wydawał się cichszy niż zgrzyt metalu o kamień czy odwieczny plusk kropel wody.

Skaflok włożył ostrze toporka w szczelinę i mocno nacisnął. Raz—drugi—trzeci — i kamień wypadł!

Młodzieniec sięgnął do ciemnej niszy. Ręce mu drżały, gdy wyjął stamtąd miecz.

Obie części złamanego brzeszczotu oblepione były ziemią. Niegdyś miecz ten był dwusieczny i tak wielki i ciężki, że tylko najsilniejsi mężowie mogli nim władać. Choć tak długo leżał w ukryciu, nie zardzewiał, a krawędzie sieczne pozostały ostre jak brzytwa. Jelce, rękojeść i gałka połyskiwały złościście. Wryto na nich postać smoka w taki sposób, że tworzyły jego ogon, tułów i głowę; jasne zaś nitowce wyglądały jak skarby, na których spoczywał. Wzdłuż ciemnego brzeszczotu biegły runy, których Skaflok nie potrafił odczytać. Wyczuł jednak, że najpotężniejsze z nich ukryte były na trzonku.

— Broń bogów — powiedział. Budziła w nim lęk. — Nadzieja Alfheimu.

— Nadzieja? — Leea cofnęła się unosząc ręce, jakby chciała coś odepchnąć. — Kto to wie? Teraz, kiedy już go mamy, zastanawiam się...

— Co masz na myśli?

— Czy tego nie czujesz? Mocy i głodu — zamkniętych w stali i trzymany na uwieży przez te nieznane runy? Miecz może pochodzić od bogów, ale do nich nie należy. Cięży na nim przekleństwo, Skafloku. Przyniesie zgubę wszystkim, którzy znajdą się w jego zasięgu. — Zadrzała, lecz nie od wilgotnego chłodu lochów. — Myślę, Skafloku, że najlepiej byłoby, abyś znów zamurował ten miecz.

— Czy możemy liczyć na coś innego? — Owinął obie połowy miecza płaszczem i włożył pod pachę. — Chodźmy stąd.

Leea niechętnie zaprowadziła go do schodów. — To będzie niebezpieczne — powiedziała. — Na pewno nas zobaczą. Pozwól mi mówić za nas dwoje.

— Nie, gdyż później groziłoby ci niebezpieczeństwo, chyba że poszłabyś ze mną.

Odwróciła się rozpromieniona.

— Więc troszczysz się o mnie?

— Tak, oczywiście, jak i o całą Alfheim.

— A... Freda?

— O nią troszczę się bardziej niż o resztę świata, niż o bogów, ludzi i Krainę Czarów razem wzięte. Kocham ją.

Leea odwróciła twarz. Powiedziała bezbarwnym głosem: — Zdołam siebie ocalić. Zawsze mogę powiedzieć Walgardowi, że mnie zmusiłeś lub oszukałeś.

Wyszli na parter, gdzie panował wielki rozgardiasz i zgiełk a wartownicy biegali tam i z powrotem. — Stać! — ryknął jakiś Troll na ich widok.

Błada twarz Leei zapłonęła gniewem, jak odbłask ognia na lodzie. — Czyżbyś śmiał zatrzymywać jarła? — zapytała.

— Proszę... o wybaczenie, panie — wyjąkał Troll. — Tylko że... widziałem cię przed chwilą, panie...

Znaleźli się na dziedzińcu. Całe ciało Skafloka, każdy nerw i mięsień drżał od szalonego napięcia. Czuł, iż powinien uciekać, w każdej chwili oczekiwał krzyku oznaczającego, że go odkryto. Uciekaj, uciekaj! Z trudem zmuszał się, żeby iść powoli.

Na zewnątrz było niewielu Trollów. Pierwsze białe pasma znieawidzonego przez nich świtu skazyły niebo na wschodzie. Było bardzo zimno.

Leea zatrzymała się przy zachodniej bramie i dała znak, aby ją otwarto. Spojrzała Skafloкови w oczy.

— Dalej musisz iść sam — powiedziała cicho. — Czy wiesz, co masz dalej robić?

— O tyle, o ile — odparł. — Muszę odnaleźć olbrzyma Bolwerka i nakłonić go, żeby znów wykuł dla mnie ten miecz.

— Bolwerk — Zło Czyniący — samo jego imię jest ostrzeżeniem. Zaczynam się domyślać, czym jest ten miecz i dlaczego żaden Niziołek nie ośmieliłby się go naprawić. — Leea pokręciła głową. — Widzę, że uparcie zaciskasz usta, Skafloku. Nie powstrzymają cię wszystkie piekielne zastępy — tylko śmierć lub utrata chęci do walki. Ale co poczniesz ze swoją ukochaną Fredą w czasie tej podróży? — Elfina uśmiechnęła się szyderczo przy ostatnich słowach.

— Pojedzie razem ze mną, chociaż spróbuję ją przekonać, aby znalazła sobie bezpieczne schronienie. — Skaflok uśmiechnął się z mieszaniną dumy i miłości. Mgliste światło świtu nadało jego włosom bladozłoty odcień. — Nic nas nie rozłączy.

— Nieee. A co do olbrzyma, kto wskaże ci drogę do niego? Skaflok spochmurniał. — Nie jest to dobry uczynek — rzekł — ale mogę przywołać umarłego. Zmarli wiedzą wiele rzeczy, a Imryk nauczył mnie zaklęć, które zmuszą ich do mówienia.

— To desperacki czyn, gdyż umarli nienawidzą tych, którzy budzą ich z wiecznego snu, i mszczą się za to. Czy możesz stawić czoło duchowi?

— Muszę spróbować. Myślę, że moje czary okażą się zbyt silne, żeby mógł mnie zaatakować.

— Może nie ciebie, ale... — Leea zamilkła, a po chwili ciągnęła chytrze: — To nie byłaby zemsta tak straszna jak ta, którą mógłby wyrzucić na tobie za pośrednictwem — powiedzmy — Fredy.

Widziała, jak krew odpłynęła mu od twarzy. Ona sama zbladła jeszcze bardziej. — Czy aż tak bardzo zależy ci na tej dziewczynie? — szepnęła.

— Tak. Jeszcze bardziej — odparł ochryple. — Masz rację, Leo. Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Lepiej, żeby padł Alfheim niż... niż...

— Nie, zaczekaj! Zamierzałam zaproponować ci pewien plan, ale najpierw chciałabym cię o coś zapytać.

— Pośpiesz się, Leo, pośpiesz się!

— Tylko jedna sprawa. Gdyby Freda cię opuściła — nie, nie, nie przerywaj, żeby mi powiedzieć, iż tego nie zrobi, ja tylko pytam — gdyby to zrobiła, jak postąpiłbyś w takim wypadku?

— Nie wiem. Nie chcę nawet o tym myśleć.

— Może wygrać wojnę i wrócić tutaj? Znów stać się Elfem?

— Być może. Nie wiem. Pośpiesz się, Leeo.

Elfina uśmiechnęła się tajemniczo. Spojrzała na Skafloka rozmarzonymi oczami. — Chciałam ci tylko powiedzieć — oświadczyła — że zamiast wskrzesić jakiegokolwiek umarłego, przywołaj tych, którzy radzi ci pomogą i których będziesz mógł pomścić. Czy Walgard nie wymordował całej rodziny Fredy? Wskrzesz ich, Skafloku!

Młodzieniec stał chwilę bez ruchu. Później opuścił na ziemię okręcony płaszczem miecz, pochwyił Elfine w ramiona i pocałował mocno. Znow podniósł swoje brzemie, przebiegł przez bramę i pomknął do lasu.

Leea patrzyła za nim, przyłożywszy palce do ust. Jeszcze czuła na wargach mrowienie po pocałunku Skafloka. Jeśli miała rację co do tego, czym był ów miecz, wydarzy się to samo, co niegdyś. Zaczęła się śmiać.

* * *

Walgard dowiedział się, że w zamku widziano jego sobowtóra. Jego oszołomiona, drżąca ze strachu kochanka powiedziała, że coś rzuciło na nią czar podczas snu i że nic nie pamięta. Ale na śniegu pozostały ślady, a trollowe psy potrafiły iść za znacznie mniej wyraźnym tropem.

O zachodzie słońca jarl wraz ze swymi żołnierzami wyruszył konno w pościg za zbiegiem.

Freda stała w zaroślach, spoglądając poprzez oświetlony widmowym blaskiem księżyca las w stronę Elfheugh.

Czekała już drugą noc i było jej bardzo zimno, tak zimno, że przestała odczuwać mróz, który stał się częścią jej samej. Przedtem kulila się w skórzanym namiocie pomiędzy końmi, lecz były to chłodne w dotyku, elfowe zwierzęta, a nie ciepłokrwiste i słodko pachnące ludzkie wierzchowce. O dziwo, to myśl o koniach Orma sprawiła, że dziewczyna poczuła się bardzo samotna. Wydało się jej, że jest ostatnią żywą istotą w świecie z księżycowej poświaty i śniegu.

Nie śmiała płakać. Skafloku, Skafloku! Czy jeszcze żył?

Zerwał się wiatr i gnał ciemne chmury po niebie, tak że księżyc zdawał się uciekać przed wielkimi czarnymi smokami, które połykały go i na krótko wypluwały. Wiatr świszczwał i wyl, chłostał dziewczynę, szarpiąc ją mroźnymi kłami. Hu, hu, śpiewał, nawiewając przed sobą głęboką zaspę, białą w świetle księżyca, hej, halo, złapiemy cię!

— Hu, hu! — zawtórowały mu rogi Trollów. Freda zeszywniała. Strach przeniknął jej serce jak ostrze sztyletu. Oni polowali — i na jaką zwierzynę poza...

Wkrótce potem usłyszała szczekanie ich psów, wielkich czarnych bestii o ślepiach jak rozżarzone węgle, coraz bliżej i bliżej. O Skafloku! Freda podbiegła chwiejnym krokiem, niemal nie słysząc własnych łkań. Skafloku!

Zamknęła się nad nią zasłona mroku. Wpadła na jakiś pień. Poczęła dziko bić weń pięściami, zejdź mi z drogi, przeklęty, odsuń się, Skaflok mnie potrzebuje... Och!

W świetle księżyca ujrzała nieznanego męża. Był wysoki i stary, o długich, siwych jak wilcza sierść włosach i brodzie. Jego płaszcz trzepotał na wietrze niczym ptasie skrzydła, ale włócznią, którą trzymał w dłoni, nie mógłby władać żaden śmiertelnik. Choć kapelusz o szerokim rondzie rzucał cień na jego twarz, dostrzegła błysk jedyne go oka.

Freda cofnęła się dysząc ciężko, pragnąc wezwać Niebo na pomoc. Powstrzymał ją głos nieznanego, głęboki, powolny, zdający się być częścią wiatru i zarazem niewzruszony jak lodowiec: — Przychodzę z pomocą, a nie chcę zaszkodzić. Czy chciałabyś odzyskać swego męża?

Oszołomiona dziewczyna osunęła się na kolana. Przez chwilę w migotliwym księżycowym blasku, przez zasłonę padającego śniegu, w odległości wielu mil, dostrzegła wzgórze, na które

uciekł Skaflok. Nie miał broni, był wyczerpany i chwiał się na nogach. Psy były tuż tuż. Ich szczekanie nappełniało niebo.

Widzenie zgasło. Freda spojrzała na górującą nad nią ciemną postać. — Ty jesteś Odyn — szepnęła — i nie wolno mi przestawać z tobą.

— Jednak mogę ocalić twego kochanka — i tylko ja byłbym w stanie to uczynić, gdyż jest on poganinem. — Bóg przesywał ją spojrzeniem swego jedyne go oka jak włóczęgą. — Czy zapłacisz cenę, jakiej zażądam?

— Czego chcesz? — jęknęła.

— Pośpiesz się, psy zaraz go rozszarpia!

— Zapłacę ci, zapłacę...

Odyn skinął głową. — Więc przysięgnij na swą duszę i wszystko, co dla ciebie święte, że kiedy przyjdę, dasz mi to, co znajduje się pod twoim paskiem.

— Przysięgam! — zawołała. Łzy zasłoniły jej oczy i rozplakała się jak ktoś, kto nagle odzyskał wolność. Odyn nie mógł być tak bezlitosny, jak mówiono, gdyż zażądał tylko takiej drobnostki jak lekarstwo, które dał jej Skaflok. — Przysięgam, panie, i niech ziemia i Niebo wyrzekną się mnie, jeśli nie dotrzymam przysięgi.

— To dobrze — rzekł bóg. — Teraz Trollowie są na fałszywym tropie, a Skaflok jest tutaj. Niewiasto, pamiętaj o swej przysiędze!

Zaległy znów ciemności, gdyż chmura zasłoniła księżyc. Kiedy odpłynęła, Jednooki Wędrowiec zniknął.

Freda prawie tego nie zauważyła. Tuliła się do Skafloka, a ten, choć oszołomiony nagłym wyrwaniem ze szczęk trollowych psów i przeniesieniem w bezpieczne miejsce i do ukochanej, nie był jednak na tyle zdumiony, aby nie odpowiadać na jej pocałunki.

XX

Odpoczywali w jaskini nie więcej niż dwa dni, zanim Skaflok przygotował się do podróży.

Freda nie płakała, choć dusiły ją łzy. — Uważasz, że nastał dla nas świt — powiedziała drugiego dnia — a ja ci mówię, że to noc.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ten miecz nasączony jest niegodziwością. A czyn, który chcemy popełnić, jest zły. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Skaflok oparł jej ręce na ramionach. — Rozumiem, iż nie podoba ci się, że zmuszę twoich krewnych do przebycia tej niespokojnej drogi — rzekł. — Mnie również. Ale któż spośród umarłych pomoże nam i nie zaszkodzi? Zostań tu, Fredo, jeśli nie możesz tego znieść.

— Nie... nie, pozostanę z tobą nawet przy otwartej mogile. Nie znaczy to, że obawiam się moich bliskich. Żywi czy umarli, zawsze się kochaliśmy, a teraz miłość ta stała się również i twoją. — Freda opuściła wzrok i zagryzła wargi, żeby nie drżały. — Gdyby któreś z nas pomyślało o tym, nie miałabym złych przeczuć. Ale Leea dając ci tę radę, nie życzyła nam dobrze.

— Dlaczego miałyby źle nam życzyć?

Freda pokręciła głową i nie chciała odpowiedzieć. Skaflok rzekł powoli: — Muszę wyznać, że wcale mi się nie podoba twoje spotkanie z Odynem. Ustalenie niskiej ceny nie leży w jego zwyczaju, lecz nie mogę odgadnąć, czego on naprawdę chce.

— A ten miecz — Skafloku, jeśli ten złamany miecz znów stanie się cały, wówczas straszliwa moc zostanie puszczonej samopas w świat. Wyrządzi wiele złego.

— Trollom. — Młodzieniec wyprostował się, dotykając głową poczerńiałego od dymu stropu jaskini. Jego oczy zaślniły w mroku jak niebieskie błyskawice. — Nie ma innej drogi niż ta, na którą wступujemy, choć jest ona trudna i niebezpieczna. Poza tym żaden człowiek nie uniknie swego przeznaczenia. Najlepiej odważnie spotkać się ze swym losem twarzą w twarz.

— A my obok siebie. — Freda złożyła głowę na piersi Skafloka i łzy jak groch popłynęły jej z oczu. — Proszę cię tylko o jedno, mój najdroższy.

— Co takiego?

— Nie jedź dziś wieczorem. Poczekaaj jeszcze jeden dzień, tylko jeden, a potem pojedziemy.

— Wpiła się palcami w jego ramiona. — Nie dłużej, Skafloku.

Młodzieniec niechętnie skinął głową.

— Ale dlaczego?

Nie chciała odpowiedzieć i później, gdy się kochali, Skaflok zapomniał o tym pytaniu. Lecz Freda pamiętała. Nawet kiedy tuliła go do siebie i słyszała bicie jego serca na swoim, przypomniała sobie i pocałowała go z jeszcze większym żarem.

W jakiś sposób przeczuwała, że to ich ostatnia noc.

* * *

Słońce weszło, zaświeciło blade w południe i zapadło się za ciężkie burzowe chmury, które wiatr gnał znad morza. Wicher wyl jak wilk nad białogrzywymi falami, które hałaśliwie rozbijały się na przybrzeżnych skałach. Tuż po zapadnięciu zmroku jakiś czas rozbrzmiewał na niebie tętent kopyt rumaków szybszych od wiatru, szczekanie i skomlenie psów. Skaflok zadrzał. To Dzicy Myśliwi wyruszyli na łowy.

Dosiedli elfowych koni, prowadząc za sobą zapasową dwójkę, objuczoną ich dobytkiem, gdyż nie zamierzali już wracać do jaskini. Skaflok przywiązał do pleców owinięty w wilczą skórę złamany miecz. Zawiesił u boku elfowy brzeszczot, w lewym ręku trzymał włócznię, a oboje z Fredą pod futrami nosili hełmy i kolczugi.

Kiedy odjeżdżali, dziewczyna odwróciła się i spojrzała na wejście do jaskini. Jaskinia była ciemna i zimna, ale spędzili w niej wiele szczęśliwych dni i nocy. Oderwała od niej wzrok i odtąd patrzyła już tylko przed siebie.

— Ruszajmy! — krzyknął Skaflok i puścili się w elfowy cwał.

Wiatr skowyczał i kasał ich. Deszcz ze śniegiem i pył wodny tworzyły falujące zasłony, białe w kapryśnej poświacie księżyca. Morze z rykiem rozbijało się na skalistych wysepkach i przybrzeżnych klifach. Kiedy fale cofały się, grzechot kamieni przypominał jęki i skowyt jakiegoś uwięzionego w łodzie potwora. Wiatr wył, siekąc deszczem i śniegiem, morze huczało, a zgiełk ten sięgał chmur. Księżyc wędrował po niebie równie szybko, jak zimowa zawierucha i elfowe konie pędzące wybrzeżem.

Teraz prędko, prędko, o najlepsze z koni, mknijcie jak wiatr brzegiem morza na południe, odrzucajcie lód kopytami, krzeszcie iskry ze skał, cwałujcie, cwałujcie! Pędźcie, gdy wichura świszczę wam w uszach, przez białą w blasku księżyca zasłonę śniegu i deszczu, poprzez mrok i wrogą krainę. Prędko, jedźcie prędko na południe, na spotkanie z umarłymi!

Kiedy mijali przystań Elfheugh, dotarł do nich huk trollowego rogu. Choć posiadali czarodziejski wzrok, nie mogli dojrzeć zamku, lecz usłyszeli za sobą tętent kopyt, który jednak wkrótce ucichł: Trollowie nie mogli jechać równie szybko, jak też nigdy nie podążyliby tam, dokąd udawali się zbiegowie.

Szybko, szybko, poprzez las, gdzie wiatr jęczy wśród oblodzonych konarów, klucząc wśród drzew chwytających nagimi gałązkami, przez ciemny szczyt wzgórza, obok zamarniętego bagna, na niziny, przez białe przestrzenie — cwałujcie, cwałujcie!

Freda rozpoznała okolicę. Chociaż wiatr nadal ciskał śniegiem i deszczem, chmury rozchodziły się i sierp księżyca oświetlał zaśnieżone pola uprawne i wygony. Była tu już kiedyś. Przypomniała sobie rzekę i zagrodę o ciemnych oknach. Tu polowała z Ketilem, tam pewnego letniego dnia łowiła ryby z Asmundem, a na tej łące Asgerd wiała dla nich wianki ze stokrotek — jak 'dawno temu?

Łzy zamarły jej na policzkach. Poczwała, że Skaflok dotknął jej ramienia i uśmiechnęła się do niego. Powrót w rodzinne strony był dla niej bardzo ciężki, lecz u boku kochanka nie lękała się niczego. Razem stawia czoło wszystkiemu.

Zebrali wodze rumakom.

Siedząc w milczeniu na ciężko dyszących, drżących z wysiłku koniach, powoli podjechali do miejsca, gdzie niegdyś stał dwór Orma. Zobaczyli wybielone księżycem głębokie zaspę śniegu, z których wystawały zwęglone belki. Nad zatoką wznosił się kurhan.

Chwiały się nad nim i strzelały wysoko w mrok niebieskawobiałe płomienie — zimne i posępne. Freda zadrżała i przeżegnała się. Tak po zachodzie słońca paliły się stosy pogrzebowe dawnych pogańskich bohaterów. Może jej bezbożny zamiar rozniecił ten ogień, gdyż Orm nie leżał w poświęconej ziemi. Ale bez względu na to, jak daleko zawędrował w krainie śmierci, nadal był jej ojcem.

Nie mogła lękać się męża, który trzymał ją na kolanach i śpiewał dla niej pieśni, wprawiające w drżenie ściany dworu. A mimo to wstrząsały nią dreszcze.

Skaflok zsiadł z konia. Odzież miał mokrą od potu. Nigdy dotąd nie posługiwał się czarami, których musi użyć tej nocy.

Zbliżył się do kurhanu i stanął jak wryty. Na jego szczycie jak wykuta w kamieniu siedziała

nieruchoma postać, czarna w księżycowej poświacie i w blasku niesamowitych płomieni. Jeśli musi walczyć z upiorem...

Freda szepnęła cicho jak mała dziewczynka: — Mamo...

Skaflok wziął ją za rękę. Razem weszli na szczyt kurhanu.

Niewiasta, która tam siedziała nie zważając na widmowy ogień, mogłaby być Fredą, pomyślał oszołomiony Skaflok. Miała te same rysy twarzy, identyczne szeroko rozstawione szare oczy i kasztanowe pukle. Ale nie, nie... była starsza i wychudła od trosk, policzki miała zapadnięte. Wpatrywała się pustymi oczyma w morze, a wiatr rozwiewał jej nie uczesane włosy. Na łachmany, spadające z jej wynędzniałego ciała, narzuciła futrzany płaszcz.

Kiedy Skaflok i Freda podeszli bliżej, niewiasta odwróciła ku nim głowę. Poszukała wzrokiem młodzieńca.

— Witaj, Walgardzie — powiedziała sucho. — Oto jestem. Nie możesz mi już zrobić nic złego. Możesz jedynie dać mi śmierć, czego gorąco pragnę.

— Matko — Freda osunęła się na kolana przed siedzącą niewiastą.

Elfryda spojrzała na nią. — Nie rozumiem — odezwała się po chwili. — Wydaje mi się, że to moja mała Freda, ale przecież ty nie żyjesz. Walgard zabrał cię z domu i nie mogłaś długo żyć. — Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się i wyciągnęła ramiona. — To dobrze, że opuściłaś swą spokojną mogiłę i przysłałaś do mnie. Byłam taka samotna. Chodź, moja zmarła córeczko, złóż mi głowę na piersi, a ja zaśpiewam ci kołysankę, tak jak wtedy, gdy byłaś jeszcze dzieckiem.

— Ja żyję, mamo, żyję... i ty żyjesz... — Fredę dusiły łzy i musiała odkaszklać. — Zobacz, dotknij, jestem ciepła, żyję. A to nie jest Walgard, lecz Skaflok, który ocalił mnie przed nim. To jest Skaflok, mój małżonek, twój nowy syn...

Elfryda wstała. Ciężko oparła się na ramieniu córki. — Czekałam — rzekła — czekałam tutaj, a oni myśleli, że jestem obłąkana. Przynoszą mi jedzenie i inne potrzebne rzeczy, ale nie pozostają tu długo, ponieważ boją się obłąkanej, która nie chce opuścić swoich zmarłych. — Zaśmiała się cichutko. — Dlaczego, cóż w tym szalonego? Szaleńcami są ci, którzy opuszczają swoich bliskich.

Zbadała wzrokiem twarz młodzieńca. — Jesteś podobny do Walgarda — ciągnęła tym samym spokojnym tonem. — Masz posturę Orma, a z wyglądu w połowie przypominasz jego i w połowie mnie. Ale twoje oczy są łagodniejsze od oczu Walgarda. — Znowu roześmiała się czule. — Niech teraz powiedzą, że jestem obłąkana! Czekałam, i to wszystko, i oto teraz dwoje moich dzieci powróciło do mnie z nocy i śmierci.

— Możemy wrócić do domu jeszcze przed świtem — powiedział Skaflok. Razem z Fredą sprowadzili Elfrydę z kurhanu.

— Matka przeżyła — szepnęła dziewczyna. — Myślałam, że również nie żyje, ale ona przeżyła i siedziała opuszczona przez wszystkich w zimie. Co ja zrobiłam?

Rozpłakała się, a Elfryda pocieszyła ją.

Skaflok nie śmiał czekać. Powbił w ziemię wokół kurhanu różdżki runiczne, po jednej w każdym rogu. Włożył na wielki palec lewej ręki brązowy pierścień z krzemienym oczkiem. Stał po zachodniej stronie mogiły i podniósł ręce ku niebu. Po wschodniej stronie kipiało morze i księżyc uciekał przez postrzępione chmury. Wiatr miótł śnieg z deszczem.

Skaflok wymówił zaklęcie, które skrzyło mu ciało i osmaliło gardło. Wstrząśnięty mocą, jaka w nim powstała, uniesionymi dłońmi nakreślił w powietrzu tajemne znaki.

Niebieskobiałe płomienie wystrzeliły w górę. Wiatr zajęczał jak ryś i chmury pochłonęły księżyc. Skaflok zawołał:

Zbudźcie się wodzowie,

*Umarli wojowie!
Skaflok was przyzywa,
Budzi ze snu pieśnią.
Zaklinam was,
Przybądźcie piekielnymi drogami
Zmarli wojowie runami spętani.
Zbudźcie się i odpowiadajcie!*

Kurhan jęknął. Coraz wyżej i wyżej strzelały lodowate płomienie nad nim. Skaflok śpiewał:

*Grób się rozewrze.
Wychodźcie, umarli!
Polegli bohaterzy,
Wyjdźcie znów na świat.
Wyjdźcie trzymając
Zardzewiałe miecze,
Pęknięte tarcze
I skrwawione lance.*

I kurhan rozwarł się. W wejściu stanęli Orm i jego synowie, otoczeni widmowymi językami ognia. Duński wódz zawołał:

*Kto śmie rozbijać
Kurhan i każe mi
Zmartwychwstać
Mocą run i zaklęć?
Uciekaj przed gniewem
Umarłych, zuchwalcze!
Niech śpią spokojnie
W ciemnościach.*

Orm stał oparty o włócznię. Odzież miał zbrukaną ziemią, twarz bezkrwistą i oszronioną. Jego oczy świeciły wśród płomieni, które Pływały wokół niego. Po jego prawej stronie stał Ketil, sztywny

i blady, a rana w jego czaszce czerniała na tle włosów. Po lewej zaś trwał Asmund — nieruchomy, osłonięty cieniem, zakrywający skrzyżowanymi na piersi rękoma śmiertelną ranę. Za nim Skaflok dojrzał niewyraźnie grzebalny statek i budzącą się do życia załogę.

Opanował strach i rzekł:

*Strach nie
Zmieni mych zamiarów.
Wstańcie i odpowiadajcie!
Oby szczury się zaległy
W waszych żebrach,
Jeśli nie odpowiecie na
Pytania, które wam zadam!*

Przytłumiony, dziwny głos Orma rozszedł się daleko:

*Głęboki jest
Sen śmierci, czarownika.
Przebudzeni umarli
Wrzą gniewem.
Duchy zemszczą się
Okrutnie za to,
Ze niepokoisz
Ich kości w kurhanie.*

Freda podeszła bliżej. — Ojczy! — zawołała. — Ojczy, czy nie poznajesz swojej córki?
Orm spojrział na nią i gniew zgąsł w jego oczach. Pochylił głowę i stał milcząc wśród płasów i syku płomieni. Ketil rzekł:

*Radzi jesteście
Pięknej niewieście.
Witaj, słoneczna panno,
Siostró ukochana!
Chłód mogiły
Przenika nasze piersi,
Lecz ty, siostró,
Grzejesz nas miłością.*

Elfryda powoli podeszła do Orma. Popatrzyli na siebie w widmowej poświacie. Wzięła go za ręce. Były zimne jak ziemia, w której spoczywały. Orm rzekł:

*Straszny był dla
Mnie sen śmierci.
Od twych łez, najdroższa,
Serce mi się krajało.
Żmije sączyły węń
Swoją jad,
Kiedy słyszałem
Twoją gorzki płacz.*

*Odtąd proszę cię,
Kochana: wesel się,
Śpiewaj i śmieć.
Wtedy śmierć
To lekka drzemka
I śpię spokojnie.
Spowity różami.*

— Nie mam na to sił, Ormie — odparła. Dotknęła jego twarzy. — Masz szron we włosach i ziemię w ustach. Jesteś zimny, Ormie.

— Nie żyję. Dzieli nas grób.

— Więc niech już tak nie będzie. Zabierz mnie ze sobą. Orm dotknął ustami jej ust. Tymczasem Skaflok zwrócił się do Ketila:

*Odezwij się, umarlaku.
Powiedz mi, gdzie
Przebywa olbrzym
Bolwerk, słynny płatnerz.
Powiedz mi też,
Wojowniku,
Jak zmusić Bolwerka,
By pracował dla mnie.*

Ketil odparł:

*Źle czynisz, czarowniku.
Twe poszukiwania
Ściągną na ciebie
Nieszczęść bez liku.
Nie pytaj o Bolwerka,
Gdyż niesie zgryzoty.
Pozostaw nas teraz,
Póki jeszcze żyjesz.*

Skaflok pokręcił głową. Wówczas Ketil oparł się na mieczu i zaśpiewał tak:

*Na północy w Jotunheimie,
W pobliżu Utgardu,
W głębi góry Mieszka Bolwerk.
Sidhowie dadzą statek,
Byś tam dopłynął.
Powiedz mu, że Loki
Prawi o bitwach.*

Teraz przemówił ukryty w cieniu Asmund, a w jego głosie brzmiał wielki smutek:

*Bracie, siostrze,
Okrutny i gorzki
Los wam zgotowały
Bezlitosne Norny.
Twoi zmarli krewni
Żalują, że rzuciłeś czar,
Co każe im mówić prawdę.*

Frede ogarnęło przerażenie. Nie mogła mówić, tylko podeszła do Skafloka i stali obok siebie wpatrując się w mądre, smutne oczy Asmunda. Umarły mówił powoli, a białe języki ognia płąsały wokół jego ciemnej postaci:

*Prawo żywych
Obowiązuje także umarłych.
Niekiedy trudno
Być mu posłusznym.
Lecz muszę wyrzec
Te gorzkie słowa:
Skafloku, Freda
To twoja siostra.*

*Witaj, bracie,
Dzielny wojowniku.
Niewinna jesteś
Siostrze.
Lecz wasza miłość
To kazirodztwo.
Żegnajcie teraz,
Nieszczęsne dzieci!*

Kurhan zamknął się z przeraźliwym jękiem. Płomienie zgasły i znów oświetliły go blade promienie księżyca.

Freda cofnęła się, jak gdyby Skaflok stał się Trollem. Jak ślepiec podszedł do niej chwiejnym krokiem. Dziewczyna stłumiła szloch, odwróciła się i uciekła.

— Matko! — szeptała. — Matko!

Lecz w księżycowej poświacie kurhan był zupełnie pusty. I nikt z ludzi nigdy już nie widział Elfrydy.

Świt rozlał się po niebie. Ołowiane chmury wisiały nisko nad białym pustkowiem. Zaczął padać śnieg.

Freda siedziała na kurhanie i patrzyła przed siebie. Nie płakała. Zastanawiała się, czy to było możliwe.

Skaflok ukrył konie w zaroślach i usiadł obok Fredy. Wyraz jego twarzy i głos były smutne jak świt. — Kocham cię, Fredo.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Po pewnym czasie Skaflok podjął: — Nie mogę cię nie kochać. Cóż znaczy, że przypadkiem w naszych żyłach płynie ta sama krew? To nieważne. Wiem, że istnieją narody, ludzkie narody, w których takie małżeństwa są czymś normalnym. Fredo, chodź ze mną, zapomnij o tym przekętym prawie...

— To boskie prawo — odparła równie smutno jak on. — Nie mogę łamać go świadomie. I tak już ciężko zgrzeszyłam.

— Powiadam ci, że nie chciałbym słuchać boga, który starałby się rozdzielić dwoje ludzi tak bliskich sobie jak my. Gdyby ośmielił się zbliżyć do mnie, odesłałbym go do domu, wyjącego z bólu.

— Tak... ty jesteś poganinem! — wybuchnęła. — Wychowankiem pozbawionych duszy Elfów, dla których odważyłeś się wskrzeszać umarłych na nowe udręki. — Zarumieniła się lekko. — Więc wracaj do nich! Wracaj do Leei!

Skaflok wstał razem z nią. Próbował wziąć Fredę za rękę, ale mu się wyrwała. Zgarbił się z przygnębienia.

— Czy nie mogę mieć nadziei? — zapytał.

— Żadnej. — Ruszyła w drogę. — Poszukam sąsiedniej osady. Może zdołam odpokutować za

to, co zrobiłam. — Nagle odwróciła się do niego. — Chodź ze mną, Skafloku! Zapomnij o swoim pogaństwie, przyjmij chrzest i pogódź się z Bogiem.

Potrząsnął głową.

— Nie z tym bogiem.

— Ale... ja cię kocham, Skafloku. Bardzo cię kocham i pragnę, żeby twoja dusza poszła do Nieba.

— Jeśli mnie kochasz — odparł przytłumionym głosem — zostań ze mną. Nie tknę cię, chyba tylko jako... brat. Ale nie opuszczaj mnie.

— Nie — odpowiedziała. — Żegnaj. I zaczęła biec.

Pobiegł za nią. Śnieg skrzypiał im pod nogami. Skaflok minął Fredę i stanął przed nią, zmuszając do zatrzymania się. Zauważyła, że wykrzywił boleśnie usta, jakby ktoś obracał nóż w jego wnętrznościach.

— Nawet nie pocałujesz mnie na pożegnanie, Fredo? — zapytał.

— Nie — mówiła bardzo cicho i unikała jego spojrzenia. — Nie odważę się.

Znów rzuciła się do ucieczki.

Patrzył, jak się oddalała. Słońce wykrzesало miedziane iskry w jej włosach, które były jedyną barwną plamą w szarobiałym świecie. Okrążyła kępę drzew i zniknęła mu z oczu. Skaflok odszedł powoli inną drogą, pozostawiając za sobą zgliszcza dworu Orma.

XXI

W ciągu kilku następnych dni długa, ciężka zima poczęła ustępować. Pewnego wieczoru o zachodzie słońca, kiedy Gulban Glas Mac Grici stał na szczycie wzgórza, południowy wiatr przyniósł mu nadnaturalnie słabe tchnienie wiosny.

Oparł się na włócznie i — spojrzał w dal ponad ośnieżonym zboczem, które opadało ku morzu. Niebo dopalało się czerwienią na zachodzie. Na wschodzie wzeszły już gwiazdy i czaił się mrok i tam też Gulban spostrzegł zbliżającą się łódź rybacką. Od razu zauważył, że zbudowały ją śmiertelne ręce i że najprawdopodobniej została kupiona w Anglii lub skradziono ją jakiemuś Anglikowi. Mąż siedzący przy wiosle sterowym również wyglądał na człowieka z krwi i kości, lecz emanowało odeń coś dziwnego, a jego przemoczone szaty były elfowego kroju.

Kiedy żeglarz wyskoczył z łodzi i wyciągnął ją na brzeg, strażnik rozpoznał go. Wprawdzie irlandzcy Sidhowie na ogół trzymali się z dala od reszty ludów Krainy Czarów, ale w minionych latach handlowali z Alfheimem i Gulban przypomniał sobie wesołego młodzika imieniem Skaflok, który towarzyszył Imrykowi. Teraz jednak był on chudy i zasepiony bardziej, niż można by wnosić ze złych kolei losu jego plemienia.

Skaflok wszedł na szczyt wzgórza i skierował się ku wysokiemu wojownikowi, którego ciemna sylwetka odcinała się na tle błękitnozielonego, splamionego czerwienią nieba. Gdy się zbliżył, spostrzegł, że był to Gulban Glas, jeden z pięciu strażników Ulsteru, i powitał go.

Sidh pozdrowił go z powagą, pochylając głowę w złotym hełmie tak nisko, że aż długie czarne kędziory zasłoniły mu twarz. Ale cofnął się o krok, gdy wyczuł zło śpiące w tobołku z wilczej skóry na plecach Skafloka.

— Kazano mi czekać na ciebie — powiedział. Młodzieniec spojrzał ze zdumieniem na strażnika.

— Czy Sidhowie mają tak wiele uszu? — zapytał.

— Nie — odparł Gulban — lecz umieją rozpoznawać ważne znaki — a czegoż miałyby one dotyczyć, jak nie wojny między Elfami a Trollami? Dlatego wypatrywaliśmy Elfa przynoszącego niezwykle wieści i przypuszczam, że ty nim jesteś.

— Elfem... tak! — odparł Skaflok. Oczy miał nabiegłe krwią, zmęczenie wyłobilo mu głębokie bruzdy na twarzy, a brak dbałości o wygląd był nietypowy dla Alfheimu, choćby nie wiem jak ciężkie nastały czasy.

— Chodź — rzekł Gulban. — Lug, zwany Długorękiem, musi uważać to za bardzo ważną sprawę, gdyż zwołał na naradę do jaskini Cruachanu wszystkich Tuatha De Danaan oraz wodzów innych plemion Sidhów. Ale jesteś zmęczony i głodny. Najpierw zajdź do mego domu.

— Nie — odparł człowiek ze szczerością obcą Elfom. — To sprawa nie cierpiąca zwłoki, a ja potrzebuję jadła i snu, żeby móc utrzymać się na nogach. Zaprowadź mnie do rady Sidhów.

Gulban wzruszył ramionami i odwrócił się gwałtownie, aż zafurczał jego płaszcz o barwie nocy. Zagwizdał i nadbiegły dwa śliczne długonogie rumaki Sidhów. Konie parskały i trzymały się z dala od wychowanka Elfów.

— Nie podoba im się twoje brzemię — zauważył Sidh.

— Mnie również — odparł krótko Skaflok. Chwytał konia za jedwabistą grzywę i wskoczył w siodło. — Jedźmy szybko!

Sidhańskie rumaki pomknęły niemal tak prędko jak wierzchowce Elfów, unosząc się nad wzgórzami i dolinami, polami i lasami, jeziorami i zamrzniętymi rzekami. W drodze Skaflok spotkał przelotnie innych Sidhów: jeźdźca w błyszczącej zbroi, z siejącą postrach włócznią,

zgarbionego Leprechauna przed wejściem do jego ziemianki, chudego męża o twarzy dziwnie przypominającej ptasi dziób i szarych piórach zamiast włosów, ulotny cień i cichy głos fujarki dobiegający z ustronnych gajów. W chłodnym powietrzu snuła się mgiełka połyskująca nad zamrażającym śniegiem. Zbliżała się noc i zabłysły gwiazdy, jasne jak oczy Fredy... Nie! Skaflok całym wysiłkiem woli odpędził tę myśl.

Niebawem obaj jeźdźcy znaleźli się przed jaskinią Cruachanu. Czwórka wartowników na powitanie przyłożyła miecze do czoła. Zajęli się wierzgającymi końmi, a Gulban zaprowadził Skafloka do środka.

Zielone jak morze światło rozjaśniało obszerną pieczarę. Ze stropu zwisały błyszczące stalaktyty; w zdobiących ściany tarczach odbijał się blask świec. Choć nie rozpalono tu ogniska, w jaskini było ciepło i czuło się słabą woń ogniska z irlandzkiego torfu. Ziemię wysłano sitowiem. Jego cichy szelest pod stopami był jedynym odgłosem, jaki słyszał Skaflok, gdy zbliżał się do stołu rady.

Na końcu stołu siedzieli przywódcy ludu Luprów, mali, silni, w niedbałych strojach: Udan Mac Audain, król Leprechaunów, jego następca Beg Mac Beg, Glomhar O'Glomrach, barczysty i muskularny, wodzowie Conan Mac Rihid, Gaerku Mac Gaird, Methier Mac Mintan i Esirt Mac Beg, odziani w zwierzęce skóry i noszący ozdoby z nie obrobionego złota. Wśród takich śmiertelnicy mogli się czuć jak u siebie w domu.

Szczyt stołu zajmowali Tuatha De Danaan, dzieci bogini ziemi Danu, przybyli ze Złotego Tir-nan-Ogu na radę w jaskini Cruachanu. Siedzieli w milczeniu, piękni i wspaniali, i nawet samo powietrze wydawało się pełne mocy, która była w nich. Gdyż Tuatha De Danaan byli niegdyś bogami Irlandii, zanim Patryk* wprowadził tam Białego Chrystusa, i choć musieli uciekać przed Krzyżem, nadal posiadali wielką moc i jak dawniej żyli w przepychu.

Na honorowym miejscu zasiadał na tronie Lug Długoręki. Po prawej miał młodego wojownika Angusa Oga, a po lewej władcę mórz Mananaan Mac Lira. Byli tam też inni wodzowie z plemienia bogini Danu — Eochy Mac Elathan, zwany Dagda Mor, Dowe Berg, o przydomku Ognisty, Cas Corrach, Coli Słońce, Cecht Pług, Mac Greina, zwany Leszczyną, i wielu innych, a wszyscy wielcy i sławni. Zabrali ze sobą żony i dzieci oraz bardów i wojowników, którym przewodzili. Wspaniały, choć straszny był to widok.

Ale nie dla Skafloka, który już nie przejmował się majestatem, cudami czy niebezpieczeństwami. Podszedł do nich z podniesioną głową i gdy pozdrowiał ich, patrzył prosto w ciemne oczy i surowe oblicze Luga.

Lug odpowiedział głębokim głosem, który brzmiał jak daleki odgłos gromu: — Witaj, Skafloku z Alfheimu, i napij się wina z wodzami Sidhów.

Dał znak, żeby wychowanek Elfów usiadł na pustym krześle po jego lewej stronie, za Mananaanem i jego żoną Fand. Podczaszowie przynieśli złote puchary z winem z Tir-nan-Ogu, a bardowie zagrali na harfach tęskną melodię.

Wino było słodkie i mocne; uderzyło Skaflokowi do głowy i jak płomień wypaliło w nim zmęczenie. Lecz tym wyraźniej dojrzał w swym życiu pustkę, której nic nie wypełni.

Angus Og, jasnowłosy wojownik, zapytał:

— Co się dzieje w Alfheimie?

— Dobrze wiecie, że źle się dzieje — warknął Skaflok. — Elfowie walczą samotnie i giną — podobnie jak jeden po drugim padną podzielone ludy Krainy Czarów i zostaną wchłonięte przez Trollheim.

Lug odpowiedział stanowczym tonem:

* Św. Patryk (ok. 389 — 461 r. n.e.) w roku 432 n.e. rozpoczął działalność misyjną w Irlandii.

— Dzieci Danu nie lękają się Trollów. Zwyciężyliśmy Fomorów* i nawet gdy później pokonali nas Milezjanie*, staliśmy się ich bogami, czegoż więc mielibyśmy się obawiać? Radzi byśmy przyjść z pomocą Alfheimowi...

— Zaiste, radzi! — Dowe Berg uderzył pięścią w stół. W zielonym półmroku jaskini jego włosy nabrały barwy płomienia, a okrzyk obudził echo. — Od ponad stu lat nie było takiej walki, w której można by zyskać wielką sławę! Dlaczego nie mielibyśmy pomóc?

— Dobrze znasz odpowiedź — odpowiedział Eochy Mac Elathan, Ojciec Gwiazd. Siedział okręcony w płaszcz utkany z błękitnego zmierzchu i usiany jasnymi świetlnymi punkcikami, które migotały również w jego włosach i w głębi oczu. Kiedy rozłożył ręce, strumień takich iskier zatańczył w powietrzu. — Tu chodzi o coś większego niż zwykła wojna w Krainie Czarów. Jest to gra w odwiecznej walce między bogami z północy i ich wrogami z Krainy Wiecznego Lodu i trudno zdecydować, której strony należy się bardziej wystrzegać. Nie zaryzykujemy naszej wolności, żeby stać się pionkami na szachownicy świata.

Skaflrok zacisnął ręce na poręczy krzesła tak mocno, że aż zbieleły. Głos drżał mu lekko, gdy rzekł: — Nie przychodzę prosić o pomoc w tej wojnie, chociaż jest bardzo potrzebna. Chcę pożyczyć od was statek.

— Czy możemy wiedzieć, dlaczego? — odezwał się Coli. Blask bił mu z twarzy i płomyki płąsały nad lśniąca kolczugą i przypiętą pod szyją broszą w kształcie słońca.

Skaflrok szybko powiedział o imieninowym darze Asów i zakończył takimi oto słowy: — Wyprawiłem się, żeby ukraść miecz z Elfheugh, i dzięki czarom dowiedziałem się, że będę mógł otrzymać od Sidhów statek, którym dotrę do Jotunheimu. Przeto przybyłem, by o to prosić. — Pochylił głowę. — Tak, przybyłem jako żebrak. Ale jeśli zwyciężymy, Elfowie nie okażą się skąpi.

— Chciałbym zobaczyć ten miecz — wtrącił Mananaan Mac Lir. Był wysoki, silny i gibki; jego biała skóra i srebrzystozłote włosy miały lekko zielonkawy odcień. Senne oczy władcy mórz mieniły się zielenią, szarością i błękitem, a cichy głos mógł w każdej chwili zmienić się w donośny ryk. Odziany był bogato, rękojeść i pochwę jego noża zdobiło złoto, srebro i kamienie szlachetne, lecz na ramionach nosił obszerny skórzany płaszcz, który przetrwał niejedną niepogodę.

Skaflrok pokazał złamany miecz i Sidhowie, którzy mogli dotykać żelaza i nie obawiali się dziennego światła, skupili się wokół niego. Ale zaraz cofnęli się, wyczuwszy, jaka trucizna kryła się w tym brzeszczocie. Poszedł wśród nich głośny szmer.

Lug podniósł głowę i wbił w Skafloka twarde spojrzenie.

— Masz do czynienia ze złymi przedmiotami — powiedział. — Demon śpi w tym mieczu.

— A czego oczekiwałaś? — Człowiek wzruszył ramionami. — On przynosi zwycięstwo.

— Tak, ale niesie ze sobą również śmierć. Stanie się powodem twej zguby, jeśli będziesz nim walczył.

— I cóż z tego? — Skaflrok podniósł tobolek. Gdy obie części miecza zderzyły się, szczęk metalu rozszedł się daleko w głuchej ciszy, jaka zapadła po słowach śmiertelnika. I było w tym dźwięku coś, co sprawiało, że zebranych przeniknął zimny dreszcz.

— Proszę was o statek — ciągnął Skaflrok. — Proszę w imię przyjaźni, która łączyła Sidhów i Elfów, w imię waszego honoru wojowników i w imię miłosierdzia — jako dzieci bogini Danu. Czy pożyczycie mi go?

Znów zapadła cisza. Wreszcie Lug rzekł: — Trudno jest ci nie pomóc...

— A dlaczego nie pomóc? — zawołał Dowe Berg. Wyciągnął nóż z pochwy i rzucił go w

* Fomorowie — jednookie, jedno nogie potwory, pierwotni mieszkańcy Irlandii.

* Milezjanie — synowie Mila, legendarni przodkowie dzisiejszych Irlandczyków.

górze. Nóż spadł, wirując do jego ręki. — Czemu nie zmobilizować armii Sidhów i walczyć z barbarzyńskim Trollheimem? Jakże szara i uboga będzie Kraina Czarów, jeśli Elfowie zostaną pokonani!

— Uspokójcie się — rozkazał Lug. — Musimy dobrze się zastanowić nad tym, jak powinniśmy postąpić. — Wyprostował swą olbrzymią postać. — Jesteś naszym gościem, Skafloku Wychowanku Elfów. Siedziałeś przy naszym stole i piłeś nasze wino, Sidhowie zaś dobrze pamiętają, jak niegdyś goszczono ich w Alfheimie. Nie możemy ci odmówić przynajmniej tak małej przysługi, jak pożyczanie statku. Poza tym nazywam się Lug Długoreki, a Tuatha De Danaan robią co chcą, nie pytając o zdanie ani Asów, ani Jotunów.

Na te słowa zebrani zakrzyknęli wyciągając miecze i uderzyli nimi o tarcze, bardowie zaś zaintonowali pieśni bojowe. Mananaan Mac Lir, spokojny i opanowany pośród ogólnej wrzawy, zwrócił się do Skafloka: — Pożyczę ci statek. Choć nie większy od zwykłej łodzi, to najlepszy korab w mojej flocie. Ponieważ jednak trudny jest w obsłudze, a podróż zapowiada się interesująco, popłynę z tobą.

Skaflok ucieszył się bardzo. Liczna załoga nie byłaby lepsza od malej — może nawet gorsza, gdyż łatwiej mogła zwrócić na siebie uwagę — a władca mórz powinien być najlepszym towarzyszem podróży. — Mógłbym ci podziękować słowami — rzekł — ale rad uczyniłbym to przysięgając braterstwo.

— Nie tak szybko, zapaleńcze — uśmiechnął się Mananaan, spoglądając na Skafloka z większym zainteresowaniem, niż się wydawało. — Jakiś czas będziemy odpoczywać i ucztować. Widzę, że przyda ci się nieco wesołości, a poza tym podróż do Krainy Olbrzymów wymaga wielu przygotowań.

Młodzieniec nie mógł nic na to powiedzieć, lecz w głębi duszy był wściekły. Nie pragnął teraz radości, wino zaś tylko przypominało mu...

Ktoś dotknął lekko jego ramienia. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Fand, małżonką Mananaana.

Niewiasty Tuatha De Danaan były piękne i majestatyczne, gdyż narodziły się jako boginie. Nie sposób opisać słowami ich piękna, a wśród nich Fand wyróżniała się urodą.

Jej jedwabiste włosy, złote jak promienie słońca w pogodny letni wieczór, spływały w splotach diademu aż do stóp, suknia mieniła się wszystkimi barwami tęczy, kragłe, białe ramiona błyszcząły od bransolet zdobnych drogimi kamieniami, a przecież ona sama przyćmiewała najpiękniejsze stroje.

Mądre, fiołkowe oczy Fand zajrzały Skaflokowi w głąb duszy. Jej głos brzmiał jak nieziemska muzyka: — Czyżbyś chciał samotnie popłynąć do Jotunheimu? — zapytała.

— Oczywiście, pani — odparł młodzieniec.

— Nikt z ludzi nie powrócił stamtąd żywy, poza Thialfim i Roskwą, którzy byli w towarzystwie Thora. Jesteś albo bardzo dzielny, albo bardzo lekkomyślny.

— Co to za różnica? Jeśli umrę w Jotunheimie, będzie to taka sama śmierć jak gdzie indziej.

— A jeżeli przeżyjesz? — Fand wydawała się bardziej smutna niż przestraszona. — A jeżeli przeżyjesz, czy naprawdę przywieziesz z powrotem ten miecz i będziesz nim walczył... wiedząc, że musi w końcu zwrócić się przeciw tobie?

Skaflok obojętnie skinął głową.

— Myślę, że patrzysz na śmierć jak na przyjaciela — szepnęła. — Dziwny to przyjaciel dla młodzieńca takiego jak ty.

— Jest to najwierniejszy przyjaciel na świecie — odparł. — Śmierć zawsze będzie u twego boku.

— Myślę, że tracisz rozum, Skafloku Wychowanku Elfów, i smuci mnie to. Od czasów Cu

Chulaina* — przez chwilę oczy jej zamglily się łzami — nie było wśród śmiertelników podobnego do ciebie męża. Martwi mnie, gdy widzę, że wesoły chłopiec, którego pamiętam, stał się taki ponury i zamknięty w sobie. Jakiś robak wżera ci się w serce, a ból sprawia, że szukasz śmierci.

Skaflak nic nie odpowiedział, skrzyżował ramiona na piersi i utkwiał wzrok w oddali.

— Ale smutek także umiera — ciągnęła Fand. — Możesz go przetrzymać. Spróbuję osłonić cię moim kunsztem, Skaflaku.

— To świetnie! — warknął, nie mogąc dłużej tego znieść. — Ty będziesz czarami chronić moje ciało, a ona modliła się za moją duszę!

Odwrócił się gwałtownie w stronę pucharów z winem. Fand westchnęła.

— Popłyniesz w smutnym towarzystwie — powiedziała do swego małżonka.

Władca mórz wzruszył ramionami.

— Niech się zadrecza czarnymi myślami. A ta podróż i tak mi się spodoba.

* Cu Chulain — mityczny bohater irlandzki, syn Luga Długorękiego, kochanek Fand.

XXII

Trzy dni później Skaflok stał na brzegu morza i przyglądał się, jak jeden z Leprechaunów wyciąga statek Mananaana z grotu, w której był ukryty. Była to mała, smukła łódź o srebrzystym kadłubie, który wydawał się zbyt kruchy do morskich podróży. Jej maszt był inkrustowany kością słoniową, a żagiel i takielunek przeplatany barwnym jedwabiem. Na dziobie stał piękny złoty posąg Fand jako tancerki.

Ona sama odprowadziła Skafloka i Mananaana. Pozostali Tuatha De Danaan pożegnali się wcześniej i nie było żadnego z nich na brzegu morza w ów chłodny, mglisty poranek. Mgła połyskiwała jak krople rosy w splotach Fand, a jej fiołkowe oczy wydawały się ciemniejsze i bardziej błyszczące niż zwykle, gdy życzyła Mananaanowi pomyślności.

— Niech ci się szczęści w podróży — powiedziała do niego — i obyś wkrótce powrócił do zielonych wzgórz Erynu* i złotych ulic Krainy Młodości. Za dnia będę spoglądać w stronę morza, nocą zaś wsłuchiwać się w fale, oczekując wieści o powrocie Mananaana.

Skaflok stał na uboczu. Pomyślał, jak mogłaby żegnać go Freda, i powiedział sobie w duchu:

*Nieszczęsny to chłopak,
Co odplywa wczesnym rankiem,
Nie żegnany przez swą ukochaną.
Pył wodny jest
Zimniejszy niż
Jej pocałunki.
Ciężko mi na sercu,
Lecz jak mógłbym ją zapomnieć?*

— Odplywamy — powiedział Mananaan. Wraz z Skaflokiem wsiadł do łodzi w małym basenie portowym i podniósł jarzący się żagiel. Człowiek ujął w dłonie wiosło sterowe, a morski bożek zaśpiewał, wtórując sobie na harfie:

*Stary, niespokojny wietrze,
Przyzywam cię z głębin morza i nieba.
Prowadź mnie na wyprawę,
Odpowiedz mi rześkim podmuchem.
Z ojczystych wzgórz,
Przez morskie fale,
Dmij, wietrze, dmij! Moja pieśń cię spęta.
Południowy wietrze, morski wietrze,
Przybądź, by uwolnić mój statek.*

Kiedy tak śpiewał, zerwał się silny wiatr i statek pomknął po zielonych, zimnych falach, które opryskiwały ich słonym pyłem wodnym. Łódź Mananaana była równie szybka, jak elfowe statki i już wkrótce żeglarze nie mogli odróżnić szarego wybrzeża Erynu od szarych chmur na krawędzi świata.

— Wydaje mi się, że odnalezienie Jotunheimu będzie wymagało czegoś więcej niż zwykłego

* Eryn — dawna nazwa Irlandii.

żeglowania na północ — przerwał milczenie Skaflok.

— To prawda — odparł Mananaan. — Konieczne będą pewne czary, ale najbardziej będziemy potrzebować nieulekłych serc i mocnych ramion.

Zmrużył oczy wpatrując się w dal. Wiatr mierzwił włosy okalające oblicze morskiego bożka, które było majestatyczne i zarazem wesołe, pełne entuzjazmu i opanowane. — Pierwsze tchnienie wiosny przechodzi przez świat ludzi — powiedział. — Była to najsurowsza zima od stuleci i myślę, że stało się tak za sprawą czarów rzuconych przez Jotunów. A my płyniemy do krainy wiecznego lodu, która jest ich ojczyzną.

Spojrzał znów na Skafloka. — Już dawno powinienem był wyruszyć w podróż do krańców stworzenia. Czyż nie jestem królem Oceanu? Złe się stało, że czekałem tak długo i nie zrobiłem tego, kiedy Tuatha De Danaan byli bogami i znajdowali się u szczytu potęgi. — Pokręcił głową. — Nawet Asowie, którzy nadal są bogami, nie wyszli bez szwanku z kilku wypraw do Jotunheimu. Co do nas dwóch — to nie wiem. Naprawdę, nie wiem.

Po czym dorzucił śmiało: — Ale popłynę tam, gdzie zechcę! W Dziewięciu Światach nie będzie wód, których nie przeorały statki Mananaana Mac Lira.

Zajęty własnymi myślami Skaflok nie odpowiedział. Łódź zachowywała się niczym żywa istota. Wiatr grał na takielunku, a wodny pył opadał jak tęczowa zasłona na piękny posąg Fand. Powietrze było chłodne, lecz słońce zaświeciło jasno, wypilo mgłę i rozsypało diamentowy kurz na falach. Fale baraszkowały i szemrały pod błękitnym niebem usianym puchatymi białymi obłokami. Ster wibrował w dłoni Skafloka. Młodzieniec nie mógł nie odczuć świeżości poranka. Powiedział cicho:

*Piękny jest ten dzień
Przemawiający głosem wiatru
Do morza, gdzie igrają
Tysiąc fal.
Najdroższa, gdybyś tylko
Stała ze mną na pokładzie,
Jak wesołe byłoby moje życie.
(Czy tęsknisz za mną, Fredo?).*

Mananaan przyjrzał mu się uważnie. — Ta podróż będzie wymagała wszystkiego, co mąż może z siebie dać — rzekł. — Nie zostawiaj nic na brzegu.

Skaflok poczerwieniał z gniewu. — Nie prosiłem na towarzysza podróży tego, kto lęka się śmierci — warknął.

— Mąż, który nie ma po co żyć, nie jest zbyt niebezpieczny dla wrogów — zauważył władca mórz. Później szybko wziął do ręki harfę i zagrał jedną z dawnych sidhańskich pieśni bojowych. Dziwnie zabrzmiała ona na przestworzach morza, nieba i wiatru. Przez jakiś czas Skafloкови wydawało się, że widzi widmowe wojsko szykujące się do walki, słońce błyszczące w hełmach zdobnych piórami i w lesie włóczni, igrające na rozwiniętych sztandarach, słyszy głos rogów i dudnienie zaopatrzonych w kosy kół rydwanów, które mknęły po niebie.

Płynęli bez przerwy przez trzy dni i trzy noce. Wiatr wiał stale z południa i łódź Mananaana mknęła po falach jak jaskółka w powietrzu. Kolejno stali na warcie, spali w śpiworach pod małym pokładem dziobowym, żywili się sztokfiszami, serem, sucharami i co tam jeszcze było na statku, odsalając wodę morską za pomocą czarów. Zamienili ze sobą niewiele słów, gdyż Skaflok nie miał ochoty na pogawędki, a Mananaan, jako nieśmiertelny, znajdował zadowolenie we własnych myślach. Lecz wraz z ciężką pracą rósł ich wzajemny szacunek i życzliwość, więc

razem śpiewali czarodziejskie pieśni, które przeprowadziły ich przez granice Jotunheimu.

Statek płynął bardzo szybko. Gdy tak mknęli na północ do serca zimy, czuli, że z każdą godziną robi się wciąż chłodniej i ciemniej.

Słońce wschodziło coraz niżej nad horyzontem, aż w końcu stało się dalekim, bladym krążkiem przelotnie oglądanym przez chmury burzowe. Mróz był srogi, przenikał przez odzież, ciało i kości do głębi duszy. Pył wodny zamarzał na takielunku i szron pokrył złoty posąg Fand. Dotknięcie metalu znaczyło zedrzeć skórę z palców. Oddech zamarzał im w wąsach.

Zagłębiali się coraz dalej w świat nocy. Płynęli po czarnych, iskrzących się srebrem morzach, między górami lodowymi, które majaczyły jak widma w poświacie księżyca. Niebo było bardzo ciemne, usiane niezliczonym mnóstwem jasnych gwiazd, między którymi płasły zorze polarne, przywodzące Skaflokowi na myśl niesamowite płomienie nad kurhanem Orma. W potwornej lodowej pustce słychać było jedynie świst wiatru i szum morza.

Nie przybyli do Jotunheimu jak do jednego z królestw Krainy Czarów. Po prostu popłynęli dalej, niż ośmieliłby się uczynić to ludzki statek, na wody, które stawały się coraz zimniejsze i czarniejsze, aż w końcu przyświecały im już tylko gwiazdy, księżyc i zorze polarne. Skaflok uważał, że ta kraina wcale nie leży na ziemi, lecz w dziwnym wymiarze w pobliżu skraju wszystkiego, gdzie świat na powrót pogrąża się w Przepaści, z której się wyłonił. Wyobrażał sobie, że płynie ze świata żywych po Morzu Śmierci.

Teraz zaś, po upływie trzech dni odkąd po raz ostatni ujrzeli słońce, podróżnicy utracili rachubę czasu. W jakiś sposób księżyc i gwiazdy obracały się na opak, a wśród wiatru, fal i morza czas przestał istnieć. Czary Mananaana poczęły zawodzić, gdyż oddalił się od świata, w którym działały poprawnie. Nadleciał przeciwny wiatr, z którym poradziłoby sobie niewiele statków poza łodzią władcy mórz. Rozpętała się zadyмка, wiatr sypał śniegiem i deszczem. Statek kołysał się na wszystkie strony, nabierał przeraźliwie zimnej wody, trzepotał żaglem i walczył ze sterem. Potworne góry lodowe wynurzały się z mroku i żeglarze ledwie uniknęli katastrofy.

Najstraszniejsza jednak była mgła — nieruchoma, bezdźwięczna, szara wilgoć, która kapiała i zamarzała, zasłaniała widoczność do pół łokcia, przesiąkała przez ubranie i spływała po skórze do trzewików, aż wędrowcy szczękali zębami. Łódź nieruchomiała, kołysząc się lekko na niewidzialnych drobnych falach, i w ogromnej ciszy słychać było jedynie plusk morza i mgły, skapującej z oblodzonego takielunku. Posuwając się po omacku, klnąc i trzęsąc się z zimna, Skaflok i Mananaan starali się zmienić niepokogę za pomocą czarów — lecz nie na wiele to się zdało. Czuli, że nieznanne Moce pełzły przez zasłonę mgły i zaglądały chciwie do wnętrza statku.

Później zrywał się sztorm, najczęściej z niewłaściwej strony, i żeglarze w walce zapominali o niepokoju. Maszt jęczał, szoty kaleczyły ręce, grzywacze awanturowały się pod nadburciem, statek wspinał się na fali ku niebu, żeby zaraz potem zjechać w dół jak do piekieł.

Skaflok rzekł:

*Czarne fale z rykiem
Wdzierają się na statek,
Buntują się liny i ster,
I wiatry odziały się w śnieżny płaszcz.
Żeglarze klną i potykają się,
Żalując, że podnieśli kotwicę.
Trudno jest warzyć piwo,
Gdyż woda morska jest słona.*

Ale nie przestawał pracować. Mananaan, który uważał, że narzekanie lepiej świadczy o zdrowiu niż lament, uśmiechnął się do oszalałego nieba.

Wreszcie nadszedł czas, kiedy ujrzeni łąd. Zobaczyli go w świetle gwiazd i zorzy polarnej, która płąsała i migotała nad nagimi skałami i zielonkawymi lodowcami. Fale rozbijały się na klifach, za którymi łąd podnosił się stopniowo, wielki martwy świat skał, pól lodowych i wiatru, zawadającego nad przedwiecznymi śniegami.

Mananaan skinął głową. — Tam jest Jotunheim — powiedział usiłując przekrzyczeć wycie wiatru i huk fal. — Utgard, w którego pobliżu mieszka, jak mówisz, olbrzym Bolwerk, moim zdaniem powinien się znajdować na wschód od tego miejsca.

— Skoro tak sądzisz — mruknął Skaflok, który już dawno stracił wszelką orientację. Zresztą żaden Elf, poza strasznymi pogłoskami, niewiele więcej wiedział o tej krainie.

Młodzieniec nie czuł zmęczenia, miał to już za sobą. Było to tak, jakby stał się statkiem, z uwiązany wiośłem sterowym, który płynie przed siebie, ponieważ nie może postąpić inaczej i nikogo nie będzie obchodził, jeśli zatonie.

Lecz gdy tak stał, patrząc na przerażającą twarz Krainy Olbrzymów, pomyślał, że Freda nie może być bardziej nieszczęśliwa od niego. Wręcz przeciwnie: przecież on mógł poświęcić się poszukiwaniom Bolwerka i nie niepokoić się o nią, podczas gdy ona wiedziała tylko, że wyruszył na bardzo niebezpieczną wyprawę i musiała mieć niewiele do roboty, poza rozmyślaniami o tym.

— Wcześniej nie przyszło mi to do głowy — szepnęła ze zdziwieniem i nagle poczuł, że łyzy zamierzają mu na policzkach. Rzekł:

*Moja ukochana
Zapomni później ode mnie.
Wędrować będę
Samotnie drogami.
Smutne jest moje serce,
Choć przedtem się radowało.
A najbardziej smuci mnie
Jej cierpienie.*

I znów się zasepił. Mananaan zostawił Skafloka w spokoju, gdyż wiedział już, że bezcelowe jest budzenie go z takich napadów melancholii. Łódź pomknęła na wschód.

Nic się nie ruszało w lodowej pustyni poza kruszonymi przez fale skałami, śnieżnymi demonami szalejącymi w górach i ogniami zorzy polarnej. Ale morski bożek wyczuwał czyjaś obecność. Przecież była to ziemia rodzinna tych, którzy zagrażali bogom Wikingów: Asa–Lokiego, Utgard–Lokiego, Hel, Fenrisa, Jormungandra* i Garma*, który przy końcu świata pożre księżyc.

Do czasu, gdy Skaflok otrząsnął się z przygnębienia, statek przebył daleką drogę i Mananaan podpływał do każdego fiordu w poszukiwaniu celu ich podróży. Władca mórz był niespokojny, gdyż mógł niemal wyczuć bliskość Utgardu, a sam nie chciał się zbliżyć do tego mrocznego miasta.

— Powiedziano mi, że Bolwerk mieszka w jakiejś górze — rzekł Skaflok — a to oznacza

* Asa Loki — bóg zła i kłótni, uosobienie ognia, ojciec wilka Fenrisa, władczyni zaświatów Hel i Jormungandra, potwornego węża otaczającego swym cielskiem ziemię, zaliczany do bogów Asgardu. Utgard–Loki — jego odpowiednik w Jotunheimie, uosobienie niszczycielskiego pożaru.

* Garm — w mitologii skandynawskiej demoniczny pies strzegący wejścia do krainy umarłych, Fenris — potworny wilk, syn olbrzymki Angurboddy i boga ognia Lokiego.

jaskinię.

— Tak, ale ta przeklęta kraina roi się od jaskiń.

— Musi to być duża jaskinia, jak sądzę, i ze śladami kuźni wokoło.

Mananaan skinął głową i skierował statek do następnej wysepki. Kiedy się zbliżyli do nadmorskich skał, Skaflok począł zdawać sobie sprawę z ich rozmiarów. Były tak ogromne, że zakreśliło mu się w głowie, gdy próbował dojrzeć ich wierzchołki, nad którymi przepływało kilka chmur. Wychowanek Elfów miał wrażenie, że skalne ściany wałą się na niego — że same boki świata rozpadają się na kawałki, gdy ten tonie w głębinach morza!

Podobna do mrówki łódź Mananaan podpełzła pod klify i zajrzała do fiordu. Szybko ginął im z oczu ten labirynt niewielkich wysepek i skał sterczących na tyle wysoko, że zasłaniały gwiazdy. Ale Skaflok zwęszył słabą woń dymu, gorącego żelaza — i usłyszał dalekie uderzenia młota.

Nie potrzebowali słów. Mananaan skierował łódź do fiordu. Niebawem skały zamknęły dostęp wiatrowi znad morza i podróżnicy musieli chwycić za wiosła. Płynęli szybko, lecz fiord był taki wielki, iż wydawało im się, że niemal nie ruszają się z miejsca.

Robiło się coraz ciszej, jakby zamarzyły wszelkie dźwięki i zorza polarna tańczyła na ich grobie. Z rozgwieżdżonego nieba spadło kilka śnieżynek. Mróz przenikał do szpiku kości. Skaflok miał wrażenie, że cisza to drapieźnik, który szykuje się do skoku, wpatrując się chciwie w intruzów i uderzając gniewnie ogonem. W jakiś sposób wyczuwał, że jest obserwowany.

Statek władcy mórz powoli okrążał liczne zakręty fiordu, zdążając w stronę lądu. Raz Skaflok usłyszał na brzegu odgłos ślizgania, które dotrzymywało im kroku. Wiatr zawodził nad szczytami skał tak wysoko, że mógłby niemal dąć między gwiazdami.

Dziwnie było oglądać podobiznę Fand, która tańcząc coraz dalej zagłębiała się w Jotunheim.

Wreszcie statek dotarł do szerokiego, nierównego zbocza góry, której szczyt wieńczyła Gwiazda Polarna. Spelzał po nim do morza wielki lodowiec połyskujący zielenią. — Tutaj wylądujemy — powiedział Mananaan.

Coś zasyczało za stosami lodowych bloków, spiętrzonych z boku lodowca.

— Myślę, że najpierw trzeba ominąć strażnika — zauważył Skaflok. Wychowanek Elfów i jego towarzyszy przygotowali się do drogi wkładając hełmy i kolczugi, na które narzucili futrzane płaszcze dla ochrony przed siarczystym mrozem. Każdy ujął w lewą rękę tarczę i przypasał miecz. Ale Skaflok trzymał w garści jeszcze jeden brzeszczot, a Mananaan uzbroił się w wielką włócznię, której grot zmieniał słabe światło krainy Jotunów w snop księżycowego blasku.

Łódź osiadła łagodnie na lodzie i skałach, tak że Skaflok mógł wyskoczyć na brzeg nie zamoczywszy nóg. Wyciągnął statek z wody i przywiązał go, podczas gdy Mananaan stał na straży wpatrując się w głąb lądu. Docierał stamtąd zgrzytliwy dźwięk, jak gdyby ktoś ciągnął coś ciężkiego po kamieniach.

— Nasza droga jest spowita w mrok i okropnie cuchnie — zauważył władca mórz — ale nie staniemy się bezpieczniejsi, jeśli będziemy tracić czas.

Wszedł pomiędzy odłamki lodu i skał wielkości domu. Było tam tak ciemno, że wędrowcy musieli iść po omacku w świetle nielicznych gwiazd widocznych między głazami. Smród stawał się coraz silniejszy i miał w sobie coś zimnego, a syczenie i odgłosy pełzania zbliżały się.

Mijając parów, który prowadził w stronę lodowca, Skaflok zauważył tam długi, białawy kształt. Zacisnął mocniej rękę na rękojeści miecza.

Nieznany stwór wypełził prosto na nich. Bojowy okrzyk Mana — naana obudził echo wśród skał. Władca mórz wycelował włócznię w wielkie cielsko. — Z drogi, biały robaku! — zawołał.

Robak zasyczał i zaatakował. Jego cielsko otarło się o głazy, aż zagrzechotały. Skaflok odskoczył i gdy płaska głowa znalazła się w pobliżu, ciął w nią mieczem. Od impetu uderzenia

zabolało go ramię. Robak odwrócił się ku niemu otwierając paszczę. Młodzieniec ledwie widział potwora w mroku, ale zdawał sobie sprawę, że może połknąć go w całości.

Mananaan wbił włócznię w białawą szyję, Skaflok zaś znów ciął mieczem w potworny pysk. Od gnilnego smrodu ścisnęło go w gardle. Wciągnął powietrze do płuc i obsypał bestię gradem ciosów. Kropla krwi lub jadu kapnęła na niego, przeżarła kaftan i sparzyła mu ramię.

Zaklął i ciął mocniej w głowę robaka. A potem poczuł, że skorodowany żrącą posoką brzeszczot rozpadł się na kawałki. W tej samej chwili usłyszał, jak złamała się włócznia Mananaana.

Wyciągnąwszy miecze z pochew, Skaflok i morski bożek rzucili się znów do ataku. Robak cofnął się, a oni ruszyli za nim w górę lodowca.

Ohydny był to potwór. Jego zwoje wiły się w pół drogi do szczytu, białe jak skórą trędownego i grubsze od końskiego kadłuba. Wysoko w górze chwiała się węzowa głowa ociekająca posoką i jadem. Złamana włócznia Mananaana tkwiła w jednym oku, drugie zaś spoglądało wściekle w dół. Bestia szybko wysuwała i chowała jęzor, sycząc jak śnieżna zawierucha.

Skaflok poślizgnął się na lodzie. Biały robak rzucił się na niego z góry, lecz Mananaan był szybszy. Osłonił tarczą towarzysza i ciął mieczem. Brzeszczot rozplątał szyję bestii. Skaflok zerwał się na nogi i zrobił to samo co morski bożek.

Rozwścieczony potwór zaatakował, wyrzucając jeden ze zwojów do przodu. Skaflok potoczył się na bok w śnieżną zaspę. Mananaan został schwytany w żelazny uścisk, ale zanim wielki robak zdołał go zmiażdżyć, władca mórz wbił mu miecz między żebra.

Wtedy biały potwór uciekł w stronę morza, staczając się jak lawina. Dysząc ciężko i drżąc z wysiłku, wędrowcy długo siedzieli w blasku zorzy polarnej, nim wyruszyli w dalszą drogę.

— Nasze zapasowe miecze są skorodowane — powiedział Skaflok. — Lepiej wróćmy po nowe.

— Nie, gdyż tamten robak może czaić się na nas w pobliżu wybrzeża, a jeśli nie, to nasz widok mógłby na nowo rozpalić jego gniew — zaproponował Mananaan. — Te muszą nam wystarczyć do chwili, gdy będziemy mieli runiczny miecz.

Powoli pięli się po gładkim, tajemniczo połyskującym lodowcu. Przed nimi czarna góra zasłaniała pół nieba. Wiatr przyniósł z oddali odgłosy uderzeń młota.

Szli w górę, aż serca poczęły im kołatać i płucom zabrakło powietrza. Musieli często odpoczywać, a nawet ucinać krótkie drzemki na grzbiecie lodowca. Okazało się, że dobrze zrobili zabierając ze sobą jadlo, gdyż lodowy jęzor był stromy i zdradziecki.

Nic się nie poruszało, nie dostrzegli też żadnych oznak życia w mroźnej pustyni, tylko coraz wyraźniej słyszeli uderzenia kowalskiego młota.

Wreszcie Skaflok i Mananaan stanęli w górze lodowca, w pół drogi do szczytu turni zwieńczonej Gwiazdą Polarną. Prowadziła tam odgałęziająca się w lewo wąska ścieżka, nierówna, usiana głazami i ledwie widoczna w mroku. Zwisały z niej strome skały opadające w bezdenne czeluście. Wędrowcy przewiązali się linami i popęzli w górę.

Po wielu upadkach, kiedy jeden ratował drugiego czepiając się kurczowo skał, wyszli na półkę skalną przed wejściem do jaskini. Z głębi góry dobiegał szczeł żelaza.

Przed wejściem biegał na łańcuchu wielki rudy pies. Zwierzę zawyło i rzuciło się na nich. Skaflok uniósł miecz, żeby je zabić.

— Nie — powstrzymał go Mananaan. — Czuję, że zabicie tego psa przyniosłoby nam nieszczęście. Lepiej spróbujmy przemknąć się koło niego.

Trzymając tarcze w taki sposób, że zachodziły na siebie, wpełzli do środka jak kraby, prawym ramieniem przyciskając się do skały. Pies rzucił się na nich całym ciałem i wyszczerzył zębami

krawędzie tarcz. Od głośnego wycia rozboleły ich uszy. Ledwie udało im się wydostać poza zasięg łańcucha.

Znaleźli się w ciemnościach. Wzięli się za ręce i szli po omacku tunelem wiodącym w głąb góry. Starając się omijać doły i często wpadając na stalagmity. Powietrze nie było tam tak mroźne jak na zewnątrz, ale za to przesycone wilgocią, więc praktycznie nie wyczuwali żadnej różnicy. Usłyszeli huk wody i pomyśleli, że może to być jedna z rzek przepływających przez piekło. Coraz głośniejsze dźwięczały uderzenia młota.

Dwukrotnie usłyszeli szczekanie, które obudziło echo w tunelu, zatrzymali się więc gotowi do walki. Raz zaatakowało ich coś dużego i ciężkiego i poodgryzało kawałki tarcz. Choć nic nie widzieli w ciemnościach, udało im się zabić nieznanego potwora, jednak nie dowiedzieli się, jak wyglądał.

Niebawem ujrzeli czerwonawą poświatę, podobną do światła jednej z gwiazd w gwiazdozbiornie Myśliwego*. Przyśpieszyli kroku i dotarli, choć wolniej, niż im się wydawało, do wielkiej oszronionej skalnej komnaty i weszli do środka.

Oświetlała ją duże, lecz palące się słabym płomieniem ognisko. W jego czerwonym blasku, przywodzącym na myśl świeżo zakrzepłą krew, dostrzegli niewyraźne ogromne przedmioty, które mogły być narzędziami kowalskimi. Przy kowadło stał jakiś Jotun.

Był ogromny i bardzo wysoki, więc wędrowcy z trudem mogli dostrzec w cuchnącym półmroku jego głowę, a zarazem tak szeroki, że wydawał się niemal kwadratowy. Nosił tylko fartuch ze smoczjej skóry. Jego owłosione ciało było chropawe jak pień starego drzewa, a mięśnie widać pod skórą niczym kłębowisko węży. Zmierzwił czarne włosy i broda sięgała mu do pasa. Nogi miał krótkie i krzywe, prawą zaś kulawą. Był garbaty i tak przygięty, że dotykał rękami ziemi.

Kiedy Skaflok i Mananaan weszli do jaskini, olbrzym zwrócił w ich stronę pokrytą bliznami twarz o szerokim nosie i ustach od ucha do ucha. Pod wydatnymi łukami brwiowymi czerniały głębokie jamy — wylupiono mu oczy.

Głos Jotuna miał w sobie huk i syk rzek przepływających przez piekło:

— Ho! Ho! Przez trzysta lat Bolwerk pracował samotnie. Teraz trzeba wyklepać brzeszczot. — Zdjął z kowadła to, nad czym pracował, i rzucił na drugą stronę jaskini. Upadło z brzękiem na stos innych, budząc drzemiące echo, które długo nie milkło.

Skaflok śmiało podszedł bliżej, spojrzął w puste oczodoły olbrzyma i rzekł: — Mam dla ciebie nowe zadanie, które jednak jest ci dobrze znane, Bolwerku.

— Kim jesteś? — zawołał Jotun. — Czuję zapach śmiertelnika, który ma w sobie wiele z Krainy Czarów. Wyczuwam też drugiego. Ten jest półbogiem, ale nie należy ani do Asów, ani do Wanów. — Pomacał wokół siebie. — Nie podoba mi się żaden z was. Podejdźcie bliżej, żebym mógł rozerwać was na kawałki.

— Mamy do spełnienia misję, która musi się powieść. — odezwał się Mananaan.

— Co takiego? — zapytał Bolwerk, napelniając jaskinię echem, które umilkło dopiero w środku ziemi.

Skaflok rzekł:

*Rozgniewany Asa–Loki,
Zmęczony więzieniem,
Pragnie orężnych zmagañ.
Oto broń,*

* Tzn. Orion.

*Którą ma władać:
Przyjmij, Bolwerku,
Zabójcę bohaterów.*

Otworzył tobolek z wilczej skóry i rzucił do stóp olbrzyma złamany miecz.

Bolwerk obmacał brzeszczot. — Tak — szepnął. — Dobrze pamiętam ten miecz. To mojej pomocy szukali Niziołkowie — Dyrin i Dwalin, kiedy musieli wykuć taki brzeszczot, żeby jednocześnie móc wykupić się Swafrlamiemu i zemścić się na nim. Zakuliśmy w nim lód, śmierć i burzę, potężne runy i czary, i żywą wolę czynienia zła. — Wyszczерzył zęby w uśmiechu. — Wielu wojowników władało tym mieczem, gdyż przynosi zwycięstwo. Wszystko w nim zadaje rany, a ostrze nigdy nie tępieje. Sama stal przepojona jest jadem i rany, które zadaje, nie można uleczyć żadnym lekarstwem, czarami czy modlitwą. Ale ciąży na nim klątwa: za każdym razem, gdy zostanie wyciągnięty z pochwy, musi napić się krwi i w końcu zawsze w jakiś sposób spowoduje śmierć tego, kto nim włada.

Pochylił się do przodu. — Dlatego — powiedział powoli — dawno temu Thor złamał go, czego nie mógł uczynić nikt poza nim w Dziewięciu Światach. Odtąd miecz ten leżał zapomniany w ziemi, ale teraz — teraz, jeśli Loki wzywa do broni, jak powiadasz, znowu będzie potrzebny.

— Ja tego nie mówiłem — mruknął Skaflok — chociaż chciałem, żebyś tak myślał.

Bolwerk nie usłyszał go. Zwrócił puste oczodoły w dal i pogrążywszy się w myślach, gładził złamany brzeszczot. — Więc zbliża się koniec — szepnął. — Nadchodzi ostatni wieczór świata, kiedy bogowie i olbrzymi zabijając się wzajemnie spustoszą ziemię. Surt* będzie zionął płomieniem sięgającym nieba, słońce szernieje, ziemia utonie w morzu i gwiazdy spadną. Kończy się — kończy się moja niewola ślepcy uwięzionego we wnętrzu góry, kończy się w blasku płomieni! Tak, dobrze, wykuję ten miecz, śmiertelniku!

I zabrał się do roboty. Szczęk metalu napełnił jaskinię, buchały snopy iskier, sapały miechy. Pracując Bolwerk rzucał czary, od których drżały ściany. Skaflok i Mananaan schronili się w tunelu za jaskinią.

— Nie podoba mi się to i wolałbym nigdy tu nie przybyć — powiedział morski bożek. — Zło budzi się do nowego życia. Nikt nigdy nie nazwał mnie tchórzem, ale nie tknę tego miecza. Ty również, jeśli jesteś mądry. Stanie się twoim przeznaczeniem.

— I cóż z tego? — odparł ponuro Skaflok.

Usłyszeli syk, kiedy olbrzym studził miecz w jadzie. Trujące opary piekły w miejscu, gdzie dotknęły gołej skóry. Śmiercionośna pieśń Bolwerka grzmiała w jaskiniach.

— Nie odtrącaj życia z powodu zawodu miłosnego — argumentował Mananaan. — Jesteś jeszcze młody.

— Wszyscy ludzie są śmiertelni — odrzekł Skaflok i na tym zakończyli rozmowę.

Czas im się dłużył — chociaż nie mogli zrozumieć, jak olbrzym mógł tak szybko skończyć pracę, bo przecież był ślepy i nie miał pomocników — póki nie zawołał: — Wejdźcie, wojownicy!

Weszli w krwawą poświatę. Bolwerk trzymał w ręku miecz. Brzeszczot jaśniał w półmroku, podobny do błękitnego jezora, i wydawało się, iż wzdłuż jego krawędzi płasają jęczyczki ognia. Oczy smoka na rękojeści błyszcząły jak żywe i złoto zdawało się świecić własnym światłem.

— Weź go! — krzyknął olbrzym.

Skaflok pochwycił miecz. Brzeszczot był ciężki, lecz młodzieniec poczuł, że przybywa mu sił

* Surt — w mitologii skandynawskiej ognisty olbrzym, który ma spalić świat

i że może swobodnie nim władać. Czarodziejski miecz był tak cudownie wyważony, iż stał się częścią jego samego.

Zatoczył nim łuk i uderzył w skałę, która pękła na dwoje. Krzyknął z radości i zakręcił mieczem młynka nad głową. Brzeszczot zaśnił w mroku jak letnia błyskawica.

— Hej, halo! — zawołał Skaflok i zaśpiewał:

*Trwają orężne zmagania!
Już wkrótce wróg usłyszysz
Jękliwą pieśń mieczy.
Czarodziejski brzeszczot jest spragniony!
Wyjąc z głodu
Rozbija żelazo,
Śpiewa w rozplatanych czaszkach
I syci się w krwi strumieniu.*

Bolwerk również wybuchnął śmiechem. — Tak, władaj nim z radością — powiedział. — Zabijaj wrogów — bogów, olbrzymów czy śmiertelników — to nie ma znaczenia. Miecz znów jest cały i zbliża się koniec świata!

Podał człowiekowi ozdobioną złotem pochwę. — Lepiej schowaj go teraz — rzekł — i nie wyjmuj, chyba że chcesz zabijać. — Wyszczrzył zęby. — Ale ten miecz stara się o to, żeby wyjmowano go w nieodpowiedniej chwili — i w końcu, nie bój się, zwróci się przeciw tobie.

— Niech wprawdzie powali moich wrogów — odparł Skaflok — a niewiele mnie obchodzi, co się stanie później.

— Ale może będzie cię obchodzić... wtedy — mruknął pod nosem Mananaan i dodał głośno: — Chodźmy stąd. Nie możemy tu pozostać.

Odeszli. Bolwerk stał, zwróciwszy ku nim puste oczodoły.

Kiedy wydostali się na zewnątrz — pies na łańcuchu skulił się skomląc żałośnie — szybko zeszli w dół lodowca. Lecz gdy byli już blisko łodzi, usłyszeli głośny grzmot i odwrócili się.

Na tle gwiazd ciemniały wyższe od gór sylwetki trzech olbrzymów, którzy szli w ich stronę. Mananaan powiedział gramoląc się do łodzi: — Myślę, że Utgard-Loki w jakiś sposób dowiedział się o twojej sztuczce i nie chce, żebyś zrealizował, nie wiem jakie, plany Asów. Trudno będzie opuścić ten kraj.

XXIII

Zaiste, warto by opowiedzieć o wojnie, jaką Mananaan Mac Lir i Skaflok Wychowanek Elfów stoczyli w Jotunheimie. Należałoby też wspomnieć o zmaganiach z rozszalałą zawieruchą i nieruchawą mgłą, z falami, skalistymi wysepkami, z lodową krwią i ze zmęczeniem, które było tak wielkie, że tylko posąg Fand jaśniejący w wiecznej nocy dodawał im otuchy. Ten najlepszy ze statków powinien zostać nagrodzony pozłotą i pieśnią.

Jotunowie, chcąc skończyć z intruzami, rzucili mnóstwo czarów i nieproszeni goście wiele przez to wycierpieli. Lecz i oni władali czarodziejską mocą, i zrewanżowali się z nawiązką, nie tylko osłaniając się przed magią olbrzymów, ale wywołując burze, które pustoszyły krainę wiecznej nocy, i spuszczać kamienne lawiny na osady Jotunów.

Nigdy jednak nie starali się stanąć do otwartej walki z olbrzymami, chociaż zdarzyło się dwukrotnie, że kiedy napotkali samotnego Jotuna, zabili go. Stawiali mężnie czoło nasłanym na nich lądowym i morskim potworom. Niejeden raz z trudem umknęli pogoni, zwłaszcza wtedy, gdy podczas złej pogody plądrowali okolicę, i każda z ich ucieczek mogłaby się stać tematem osobnej opowieści.

Trzeba by też opowiedzieć, jak napadli na wielkie gospodarstwo, żeby ukraść konie. Podpalili je i zabrali łupy, z których konie stanowiły zaledwie część zdobyczy. Zrabowane zwierzęta były uważane w Jotunheimie za najmniejsze z kucyków, lecz w świecie ludzi i Krainie Czarów uznano by je za największe i najcięższe ogiery. Były to czarne, kosmate rumaki o ognistych oczach i sercach demonów. Ale przywiązały się do nowych panów i stały spokojnie w łodzi, która z trudem mogła je pomieścić. W dodatku nie obawiały się ani światła dziennego, ani żelaza, ani nawet miecza Skafloka, i nigdy się nie męczyły.

Nie każdy Jotun był olbrzymem — ohydny czy nienawistnym. Przecież niektórzy z ich rodu stali się bogami w Asgardzie. Samotny zagrodnik mógł powitać nieznajomych gości i nie wypytywać zbyt dokładnie, czym się zajmują. Wiele niewiast miało ludzkie wymiary, zdarzały się też niebrzydkie i przychylnie nastawione. Obdarzonemu giętkim językiem Mananaanowi spodobało się życie wygnańca. Ale Skaflok nie spojrzął po raz drugi na żadną z jotuńskich niewiast.

Jest jeszcze wiele do opowiedzenia, o smoku i jego złotym skarbie, o ognistej górze, o bezdennej przepaści i o młynku olbrzymki. Trzeba by wspomnieć i o tym, jak wędrowcy łowili ryby w jednej z rzek wypływających z piekła i co tam złowili. Historia o nie kończącej się walce i o czarownicy z Żelaznego Lasu, o pieśni, którą podsluchali, gdy nucila ją sobie zorza polarna — każda z tych przygód warta jest uwiecznienia i sama w sobie stałaby się odrębną sagą. Ale ponieważ nie należą one do głównego wątku naszej opowieści, musimy pozostawić je w kronikach Krainy Czarów.

Wystarczy powiedzieć, że Skaflok i Mananaan wydostali się z Jotunheimu i popłynęli na południe, na wody Midgardu.

— Jak długo nas nie było? — zastanowił się człowiek.

— Nie wiem. Na pewno dłużej niż tu. — Władca mórz wciągnął w nozdrza rzeński powiew wiatru i spojrzął w błękitne niebo. — A tutaj jest wiosna. — Po czym ciągnął: — Teraz, kiedy już masz miecz — i upuściłeś nim wiele krwi — co chcesz zrobić?

— Postaram się przyłączyć do Króla Elfów, jeżeli jeszcze żyje. — Skaflok spojrzął ponuro ponad falami na niewyraźną linię horyzontu. — Wysadź mnie na południowym brzegu Kanału, a znajdę go. I niech Trollowie spróbują mnie zatrzymać! Kiedy oczyścimy z nich kontynentalny

Alfheim, wylądujemy w Anglii i odbijemy ją. Na koniec zaś udamy się do ich ojczyzny i zgnieciemy to przekłete plemię.

— Jeżeli zdołacie — nachmurzył się Mananaan. — No cóż, oczywiście musicie spróbować.

— Czy Sidhowie nie przyjdą nam z pomocą?

— To sprawa rady królewskiej. Na pewno nie możemy tego zrobić, dopóki Elfowie nie wylądują w Anglii, żeby nasz kraj nie został spustoszony, kiedy wojownicy będą gdzie indziej. Ale możliwe, że właśnie wtedy uderzymy, tak dla samej walki i sławy, jak i po to, by usunąć zagrożenie ze skrzydła. — Władca mórz podniósł dumnie głowę. — Lecz cokolwiek by się stało — przez wzgląd na wspólnie przelaną krew, na trudy i znoje, na przebyte niebezpieczeństwa i na życie, które sobie wzajemnie zawdzięczamy — Mananaan Mac Lir i jego armia będzie z tobą, kiedy wkroczysz do Anglii!

W milczeniu uściśnieli sobie dłonie. Wkrótce potem Mananaan wysadził na ląd Skafloka i jego jotunskiego wierzchowca, a sam popłynął do Irlandii i do Fand.

* * *

Skaflok jechał na swoim czarnym ogierze do Króla Elfów. Koń był chudy i choć nadal rwał z kopyta, dręczył 'go głód. Sam wychowanek jarla Elfów również nie wyglądał na bogacza: jego szaty wyblakły i podarły się, kolczuga zardzewiała, narzucony zaś na ramiona płaszcz przetarł się w wielu miejscach. W czasie swych podróży wychudł i jego potężne mięśnie rysowały się tuż pod skórą, ciasno naciągniętą na masywne kości. Zryta zmarszczkami twarz Skafloka bezpowrotnie utraciła młodzieńczy wygląd i przypominała oblicze boga — wygnańca: w chwilach słabości miała lekko ironiczny wyraz, a przez większość czasu malowała się na niej wyniosła powściągliwość. Tylko rozwiewające się na wietrze jasne włosy pozostały młode. Tak mógł wyglądać Loki jadący na równinę Wigrid w ostatni wieczór świata.

Skaflok jechał wśród wzgórz, w otoczeniu odrodzonej przyrody. Rano spadł deszcz i ziemia była błotnista, a sadzawki i strumyki błyszcząły w słońcu. Jak okiem sięgnąć, młoda trawa słała się zielonym kobiercem i drzewa pokryły się pąkami, kruchą barwą nowego życia, zapowiedzią wiosny.

Było nadal zimno; wicher hulał wśród wzgórz i szarpał płaszcz Skafloka. Ale był to wiosenny wiatr, co harcował i hałasował, chłoszcząc ziemię, by wypędzić z niej zimowe lenistwo. Niebo było błękitne, słońce przebijało się przez białe-szare chmury i włócznie światła uderzały w trawę wśród refleksów i lśnień. Choć na południowym wschodzie grzmiało, na tle szarej masy chmur jaśniała tęcza.

W górze rozległo się gęganie dzikich gęsi, wędrowne ptaki powracały do ojczyzny. Drozd śpiewał w tańczącym na wietrze gaju, a dwie wiewiórki bawiły się w gałęziach drzew jak małe rude płomyki.

Już niedługo nadejdą ciepłe dni i jasne noce, zielone lasy i kwietne łąki. Coś drgnęło w sercu Skafloka, jakby przebudziła się w nim dawno zapomniana czułość.

O Fredo, gdybyś była ze mną...

Dzień chylił się ku zachodowi. Skaflok jechał prosto przed siebie na swym niezmordowanym koniu, nie starając się ukrywać. Podróżowali powoli jak na możliwości jotunskiego rumaka, tak by czarny ogier mógł pożywić się w drodze, a mimo to ziemia drżała pod jego kopytami. Wjeżdżali do Krainy Czarów, do centralnej prowincji Alfheimu, kierując się w stronę górskiej twierdzy, gdzie musiał przebywać Król Elfów, jeżeli jeszcze nie uległ Trollom. Mijali ślady wojny — spalone dwory, połamaną broń, ogryzione kości, szybko rozpadające się w proch jak wszystko z Krainy Czarów. Od czasu do czasu Skaflok napotykał świeże ślady Trollów i wtedy

oblizywał wargi.

Nadeszła noc, dziwnie ciepła i jasna po krainie śniegu i mrozu, z której przybył. Jechał dalej, czasem drzemiąc w siodle, lecz nie przestając nasłuchiwać. Na długo zanim spotkał na drodze nieprzyjacielskich jeźdźców, Skaflok usłyszał ich i zapiął hełm.

Było ich sześciu, potężne ciemne sylwetki niewyraźnie rysujące się w gwiazdnej poświacie. Zaintrygował ich — śmiertelnik w szatach i kolczudze na poły elfowch, na poły sidhańskich, na koniu spokrewnionym z ich wierzchowcami, ale jeszcze większym i bardziej niezgrabnym. Zajechali mu drogę i jeden zawołał: — W imieniu Illredego, Króla Trollów, zatrzymaj się!

Skaflok spał konia ostrogami, wyciągnął miecz i zaatakował Trollów. Brzeszczot Bolwerka zabłysnął w mroku widmowym, błękitnym ogniem. Młodzieniec wjechał ukosem w sam środek patrolu, rozplątał hełm i czaszkę jednego Trolla i ściął głowę drugiemu, nim pozostali zorientowali się, co się dzieje.

Jeden z jeźdźców uderzył na Skafioka maczugą z lewej strony, inny zaś toporem z prawej. Kierując koniem kolanami, wychowanek Imryka osłonił się tarczą przed pierwszym napastnikiem, a zaczarowany miecz pomknął na spotkanie drugiego, rozciął trzonek topora i zagłębił się w piersi żołnierza. Zatoczywszy brzeszczotem szeroki łuk, Skaflok rozciął atakującego z lewej Trolla od ramienia po pas. Szarpnął palcem cugle. Jego potworny koń stanął dęba i zmiażdżył kopytami czaszkę piątego jeźdźcy.

Ostatni krzyknął przeraźliwie i próbował uciec. Skaflok cisnął mieczem jak włócznią. Brzeszczot przeszył Trolla od tyłu i wyszedł na piersi.

Później znów wyruszył na poszukiwanie obleganego przez Trollów Króla Elfów. Przed świtem zatrzymał się nad rzeką, żeby się zdrzemnąć.

Obudził go szelest liści i lekkie drżenie ziemi. Dwóch Trollów skradało się ku niemu. Młodzieniec zerwał się na równe nogi, wyciągając miecz, gdyż nie miał czasu na przygotowania do obrony. Zaatakowali go. Przebił mieczem tarczę, ramię i serce pierwszego, po czym podniósł ociekający krwią brzeszczot. Drugi Troll nie zdążył się zatrzymać i nadział się na zaklęty miecz. Skaflok wytrzymał impet uderzenia, wspierany niezemską siłą płynącą z broni Bolwerka.

— Właściwie to było zbyt łatwe — powiedział — ale nie wątpię, że trafi mi się jakaś lepsza zabawa.

Jechał przez cały dzień. Koło południa znalazł jaskinię, w której spało kilku Trollów. Zabił ich i spożył ich jadło. Niewiele go obchodziło, że zostawia za sobą usiany trupami ślad i że każdy może go wytropić. A niech tam!

Przed wieczorem dotarł do gór. Były wysokie i piękne i ich ośnieżone szczyty zdawały się płynąć w powietrzu na tle zachodzącego słońca. Słyszał plusk wodospadów i szum sosen. To dziwne, pomyślał, że taki spokój i piękno można znaleźć na polu bitwy. Prawdę mówiąc, powinien być tu z Fredą i myśleć o ich miłości, a nie na ponurym czarnym koniu z zaczarowanym mieczem.

Ale co ma być, to będzie. Co się z nią teraz dzieło?

Jechał wciąż w górę, w poprzek lodowca, na którym zadzwoniły kopyta jego konia. Noc rozpostarła swój płaszcz na niebie, jasna i chłodna na tej wysokości. Bliski pełni księżyc oświetlał widmowym blaskiem szczyty gór. Po pewnym czasie Skaflok usłyszał z oddali dźwięki elfowej trombity, niesamowicie brzmiące w cichych przestworzach. Serce zabiło mu mocniej, spał konia ostrogami i rzucił go w cwał, z turni na turnię, ponad przepaściami. Wiatr świszczął mu w uszach, a tętent żelaznych podków budził drzemiące echa w górach.

Usłyszał ochryply ryk trollowego rogu i zaraz potem przytłumione odległością okrzyki wojowników i szczęk broni. Strzała przeleciała obok niego. Skaflok zaklął i skulił się w siodle. Nie miał czasu, by rozprawić się z łucznikiem, w pobliżu była grubsza zwierzyna.

Przeskoczył przez skalną grań i obejrzał z dołu do góry zalane księżycem miejsce, gdzie toczył się bój. Ludzie mogliby ujrzeć tylko górski szczyt, nad którym wirowały śnieżne demony, i usłyszeć niezwykle ton w szumie wiatru. Lecz obdarzony czarodziejskim wzrokiem Skaflok dostrzegł znacznie więcej. Zobaczył ową górę jako potężny zamek, którego oszronione wieże sięgały gwiazd. Otaczały go szerokim pierścieniem czarne namioty wielkiej armii Trollów rozbite na zboczach. Jeden z namiotów był większy od pozostałych i łopotał nad nim na wietrze ciemny sztandar, a na najwyższej wieżycy zamku powiewała chorągiew Króla Elfów. Władcy zwaśnionych ludów się spotkali.

Trollowie szturmowali elfową twierdzę. Szczekając jak psy podnosili drabiny, usiłując wspiąć się na nie, a było ich tak wielu, że zasłonili sobą podnoże murów obronnych. Mieli wiele machin wojennych: mangonele strzelające ognistymi kulami, które przelatywały ponad blankami, pełzące ku murom wieże oblężnicze pełne zbrojnych mężów, tarany do rozbijania bram i katapulty miotające wielkie głazy. Okrzyki, tupot nóg, tętent kopyt, szczęk metalu, dudnienie bębnow i granie rogów napępiały noc burzą dźwięków, od której lawiny zsuwały się ze stoków i pola lodowe dzwoniły w odpowiedzi.

Elfowie stali na blankach i odpierali ataki Trollów. Miecze rzucały świetlne refleksy, chmura strzał i włóczni przesłaniała księżyc, wrzący olej chlustał z kotłów, drabiny spadały z murów — lecz Trollowie nadal nacierali, a Elfów było niewielu. Oblężenie zbliżało się do końca.

Skaflok wyciągnął miecz. Brzeszczot z sykiem zabłysnął w chłodnej poświacie księżyca. — Hej—ha! — zawołał młodzieniec, spiął konia ostrogami i zjechał ze zbocza w śnieżnym obłoku.

Nie przedzierał się mozolnie przez wąwóz, który zagradzał mu drogę. Na jego krawędzi ścisnął kolanami boki konia i znalazł się na środku nieba, otoczony zewsząd gwiazdami. Opadł na przeciwległą krawędź z takim impetem, że aż zadzwonił zębami, ale natychmiast pomknął w górę zbocza.

Obóz Trollów był prawie pusty. Skaflok zebrał wodze tak, że jego koń stanął dęba. Wychylił się z siodła, by pochwycić żagiew z ogniska. Rozgorzała w pędzie, gdy cwałując wokół obozu kolejno podpalał namioty. Po krótkiej chwili wiele buchało już ogniem, a iskry docierały do pozostałych. Młodzieniec pośpieszył teraz do bram elfowego zamku, po drodze szykując się do walki.

Jak przedtem ścisnął uchwyt tarczy w lewej dłoni, miecz trzymał w prawej, kierując koniem kolanami i słowami. Zanim dostrzegli go Trollowie szturmujący bramę, Skaflok zarąbał trzech, a jego rumak stratował tyłu.

Później zwróciły się przeciw niemu zewnętrzne szeregi napastników. Jego miecz mknął do przodu, wirował i świszczwał, rozcinał hełmy i kolczugi, ciało i kości, i powracał zlanym krwią. Ten taniec śmierci trwał bez końca i Skaflok kosił Trollów niczym dojrziałą pszenicę.

Otoczyli zewsząd Imrykowego wychowanka, lecz żaden Troll nie mógł dotknąć żelaznej kolczugi i Skafloka dosięgły tylko nieliczne ciosy. Ale i tak prawie ich nie czuł, gdyż trzymał w dłoni miecz Bolwerka!

Zamachnął się i jakaś głowa spadła na ziemię. Jeszcze jeden zamach i młodzieniec rozplątał brzuch innemu jeźdźcowi. Trzeci cios rozciął hełm, głowę i mózg wroga. Pieszy wojownik pchnął włócznią i drasnął go w ramię. Skaflok pochylił się i zarąbał Trolla. Lecz większość wrogów zginęła od kopnięć i ukąszeń jotuńskiego konia.

Szczęk i zgrzyt metalu sięgały nieba. Krew dymiła na śniegu, trupy nurzały się w zielonkawych kałużach. Jeździec na czarnym koniu ze straszliwym mieczem w dłoni górował nad polem bitwy, wyrąbując sobie drogę do bramy zamku.

— Rąb, mieczu, rąb!

Panika ogarnęła Trollów. Tłumnie rzucili się do ucieczki. Skaflok zawołał: — Hej, Alfheimie!

Zwycięstwo jedzie z nami tej nocy! Zróbcie wypad, Elfowie, wyjdźcie i zabijajcie!

Pierścień ognia, płonący obóz Trollów, otaczał pole bitwy. Trollowie zobaczyli to i przerazili się. Poznali też jotuńskiego rumaka i zaczarowany miecz. Jakaż to istota walczyła z Trollheimem?

Skaflok jeździł tam i z powrotem pod bramą zamku. Jego zbryzgana krwią kolczuga połyskiwała w księżycowej poświacie i w blasku ognia, a z oczu, tak jak z miecza, strzelały niebieskie błyskawice! Drwił z wrogów i wzywał Elfów do walki.

Pełen przerażenia szept poszedł po tłumie Trollów:

— ...To sam Odyn, przybył, żeby z nami wojować... nie, on ma dwoje oczu... to musi być Thor... to Loki, który zerwał łańcuchy, zbliża się koniec świata... to jest śmiertelnik opętany przez demona... to sama śmierć.

Zagrały trombity, brama otworzyła się i wyjechali z niej Elfowie. Było ich znacznie mniej niż Trollów, lecz nowa nadzieja rozjaśniała ich wymizerowane twarze i błyszczała w oczach. Na ich czele, na mlecznobiałym koniu, w koronie lśniącej w blasku księżyca, z rozwianymi włosami i brodą, narzuciwszy na kolczugę płaszcz o barwie zmierzchu, jechał Król Elfów.

— Nie spodziewaliśmy się, że jeszcze ujrzymy cię żywego, Skafloku — zawołał.

— Ale zobaczyłeś — odparł człowiek bez cienia dawnego lęku, gdyż nic już nie mogło przstraszyć tego, kto jak on, rozmawiał z umarłymi, pływał do Jotunheimu i nie miał nic do stracenia.

Król Elfów utkwiał wzrok w runicznym mieczu.

— Wiem, co to za brzeszczot — mruknął — i wcale nie jestem pewny, czy dobrze się stało, że znalazł się on po stronie Alfheimu. No, cóż... — podniósł głos. — Naprzód, Elfowie!

Jego woje zaatakowali Trollów i był to krwawy bój. Miecze i topory unosiły się i opadały, opadały i znów unosiły ociekając krwią, metal zgrzytał i pękał, włócznie i strzały zasłaniały niebo, konie tratowały poległych lub, ranne, rżały boleśnie, wojownicy walczyli, jęczeli i osuwali się na ziemię.

— Hola, Trollheim! Do mnie, do mnie! — Illrede zebrał swych żołnierzy, ustawił część w klin i sam stanął na ich czele, żeby rozbić Elfów. Jego czarny ogier parsknął głośno, topór nigdy nie spoczął i nigdy nie chybiał, tak że w końcu Elfowie poczęli odsuwać się od niego. Bładozielona w blasku księżyca twarz władcy Trollów ziała wściekłością, frędzle brody skręcały się, a oczy płonęły niby czarne kaganki.

Skaflok zobaczył go i zawył jak wilk. Zatoczył koniem i skierował go w stronę wrogiego wodza. Jego miecz świszczął i uderzał z łoskotem rąbiąc nieprzyjaciół, jak drwał rąbie młode drzewa. Wyglądał jak smuga błękitnego płomienia w nocy.

— Ha! — ryknął Illrede. — Rozstąpcie się! On jest mój! Popędzili ku sobie w pustej nagle przestrzeni. Ale kiedy Król Trollów zobaczył runiczny miecz, zakrztusił się i zebrał wodze koniowi.

Skaflok zaśmiał się urągliwie: — Tak, twój los się dopełnił. Mrok ogarnie ciebie i całe twoje złe plemie.

— Zło, jakiego dokonano na świecie, nigdy nie było dziełem Trollów — odparł spokojnie Illrede. — I wydaje mi się, że postąpiłeś po stokroć gorzej niż ktokolwiek z nas, przynosząc ten miecz znów na ziemię. Nie uczyniłby tego żaden Troll, bez względu na to, jaką naturą obdarzyły go Norny.

— Żaden Troll nie ośmieliłby się tego zrobić! — zadrwił Skaflok i zaatakował go.

Illrede bronił się dzielnie. Jego topór trafił jotuńskiego konia w bark. Choć rana nie była głęboka, ogier zarżał i stanął dęba. Kiedy Skaflok usiłował utrzymać się w siodle, Illrede ciął toporem.

Człowiek podstawił tarczę, która pękła, choć wychwyciła impet uderzenia. Skaflok zachwiał się. Illrede podjechał bliżej, żeby rozbić mu głowę. Helm wgiął się i Skaflok nie stracił przytomności tylko dzięki niezwykłej sile, jakiej użył mu runiczny brzeszczot.

Illrede znów podniósł topór. Skaflok zasłonił się mieczem, lecz słabo i niezdecydowanie. A jednak miecz i topór zderzyły się, buchnął snop iskier i broń władcy Trollów pękła z głośnym trzaskiem. Skaflok potrząsnął głową, by odzyskać jasność myśli. Roześmiał się i odciął Illredemu lewe ramię.

Król Trollów zwił w siodle. Brzeszczot Skafloka zaświszczał i odciął przeciwnikowi prawe ramię. — Wojownikowi nie przystoi igrać z bezsilnym wrogiem — jęknął Illrede. — To dzieło miecza, nie twoje.

Skaflok zabił go.

Teraz strach ogarnął wszystkich Trollów i poczęli się cofać w nieładzie. Elfowie parli wściekle do przodu. Bitewny zgiełk budził echa w górach. W tyle elf owych zastępów walczył ich władca, zachęcając wojowników do boju. Ale to Skaflok szerzył obłędne przerażenie wśród wrogów, docierając wszędzie, rąbiąc mężów mieczem, który zdawał się ociekać błękitnym płomieniem jak krwią.

W końcu Trollowie nie wytrzymali i rzucili się do ucieczki. Elfowie ścigali ich zawzięcie, wycinając w pień lub zapędzając do płonącego obozu. Niewielu uszło z życiem.

O brzasku Król Elfów siedział na koniu i spoglądał na stopy trupów piętrzące się wokół murów zamku. Chłodny wiatr rozwiewał mu włosy, a jego wierzchowcowi grzywę i ogon. Skaflok podjechał do władcy, wychudły, zmęczony, zbryzgany krwią i mózgiem, lecz nadal płonący żądzą zemsty.

— To było wielkie zwycięstwo — powiedział Król Elfów. — Ale byliśmy prawie ostatnią elfową twierdzą. Trollowie zagarnęli niemal cały Alfheim.

— Nie na długo — odparł Skaflok. — Wystąpimy przeciw nim. Są rozproszeni i przyłączy się do nas każdy wolny Elf, który teraz wie dzie żywot banity. Jeżeli nie będzie w co, możemy się zaopatrzyć w ekwipunek zabitych Trollów. Ciężka będzie to wojna, ale mój miecz przynosi zwycięstwo.

— A poza tym — dodał — mam nowy sztandar, który będziemy nieść na czele naszej armii. Powinien wstrząsnąć wrogami. — I podniósł włócznię z wbitym nań głową Illredego. Martwe oczy zdawały się patrzeć, a usta uśmiechać się groźnie.

Król Elfów skrzywił się. — Kamienne masz serce, Skafloku — rzekł. — Bardzo się zmieniłeś od czasu, gdy widziałem cię ostatni raz. No cóż, niech będzie jak chcesz.

XXIV

O świcie Freda dowlokła się do domu Thorkela syna Erlenda.

Gospodarz właśnie wstał i wyszedł na dwór, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda. Przez chwilę nie chciał wierzyć własnym oczom — wojownicza, z bronią i w kolczudze z nieznanego, podobnego do miedzi metalu, w szatach cudzoziemskiego kroju, idąca po omacku jak ślepa — przecież to niemożliwe!

Sięgnął po włócznię, którą trzymał za drzwiami. Lecz ręka mu opadła, kiedy uważniej przyjrzał się dziewczynie i rozpoznał ją: choć wyczerpana i zubożona na wszystko, była to Freda córka Orma.

Thorkel wprowadził ją do środka. Jego żona Aasa wyszła im naprzeciw.

— Długo cię tu nie było, Fredo — powiedziała. — Witaj w domu!

Dziewczyna próbowała odpowiedzieć, ale nie mogła wykrztusić ani słowa. — Biedne dziecko — mruknęła Aasa. — Biedne, zagubione dziecko. Chodź, pomogę ci się położyć do łóża.

Audun, najstarszy syn Thorkela po zabitym Erlendzie, wszedł do domu. — Na dworze panuje większy mróz niż w sercu dobrze urodzonej panny — rzekł, a potem dodał: — Kto to jest?

— To Freda, córka Orma — odparł Thorkel. — W jakiś sposób powróciła.

Audun podszedł do dziewczyny. — To cudownie! — powiedział z zadowoleniem. Objął ją wpół, ale nim zdążył pocałować w policzek, wyczuł rozpacz targającą jej duszę. Odszedł na bok. — O co chodzi? — zapytał.

— O co chodzi? — odburknęła Aasa. — Nie zadawaj takich pytań nieszczęsnej dziewczynie. A teraz wynoście się obaj i pozwólcie mi położyć ją do łóża.

Kiedy w końcu Aasa przyniosła jej posiłek i nakłoniła do jedzenia, a potem szeptała i gładziła ją po włosach jak matka, dziewczyna rozplakała się. Płakała długo, choć dziwnie cicho. Aasa objęła ją i pozwoliła się wypłakać. Później Freda usnęła.

Na prośbę Thorkela zgodziła się na razie zamieszkać z nimi. Chociaż wkrótce przyszła do siebie, nie była to już ta wesoła dziewczyna, jaką zapamiętali.

Thorkel zapytał ją, co się stało. Freda zbłądła i opuściła wzrok. Thorkel dodał szybko: — Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

— Nie ma powodu, żebym ukrywała prawdę — powiedziała ledwie dosłyszalnie. — Walgard wywiózł mnie i Asgerd za morze, chcąc oddać nas pewnemu pogańskiemu królowi, którego łaski pragnął sobie zaskarbić. Zdążył tylko wylądować, kiedy... napadł na niego inny Wiking i rzucił swoich ludzi do walki. Walgard uciekł, a Asgerd zginęła w zamieszaniu. Ten drugi wódz zabrał mnie ze sobą. Ale później, ponieważ musiał załatwić pewną... sprawę, i nie mógł mnie zabrać, więc pozostawił mnie w pobliżu dworu mego ojca.

— Miałś dziwny ekwipunek.

— Dał mi go tamten Wiking. Sam otrzymał go od kogoś innego. Często walczyłam u jego boku. Był dobrym człowiekiem jak na poganina. — Freda zapatrzyła się w ogień płaszący na palenisku w izbie, w której siedzieli. — Tak, był najlepszym, najdzielniejszym i najłagodniejszym z ludzi. — Wykrzywiła usta. — Dlaczego nie miałby takim być? Przecież pochodził z dobrego rodu.

Wstała i szybko wyszła na dwór. Thorkel odprowadził ją spojrzeniem, targając brodę. — Nie powiedziała nam całej prawdy — mruknął do siebie — ale to jest wszystko, co kiedykolwiek usłyszymy.

Freda nie powiedziała nic więcej nawet księdzu, który ją wyspowiadał. Potem poszła samotnie

na przechadzkę i stała na szczycie wzgórza wpatrując się w niebo.

Zima miała się ku końcowi i był jasny, niezbyt chłodny dzień. Śnieg lśnił bielą na milczącej ziemi, a w górze rozpościerało się bezchmurne niebo.

Freda powiedziała spokojnie:

— Teraz popełniłam śmiertelny grzech, gdyż nie wyznałam, z kim żyłam bez ślubu. Ale wzięłam to brzemię na moją duszę i zabiorę je ze sobą do grobu. Ojczy Niebieski, Ty wiesz, że nasz grzech był zbyt cudowny, żeby skalać go teraz najpotworniejszą z nazw. Ukarz mnie jak chcesz, lecz oszczędź go, gdyż nie wiedział, co czyni. — Zarumieniła się. — Poza tym myślę, że noszę pod sercem to, co ty, Maryjo, musisz pamiętać — lecz on nie będzie cierpiał za grzechy swoich rodziców. Ojczy, Matko, Synu, uczyńcie ze mną, co chcecie, ale oszczędźcie to niewinne dziecko.

Kiedy zeszła na dół, zrobiło się jej lżej na sercu. Zimne powietrze całowało rozpalone policzki dziewczyny, promienie słoneczne zapalały miedziane błyski w jej włosach, a szare oczy iskrzyły się. Uśmiech błąkał się na jej ustach, gdy spotkała Auduna syna Thorkela.

Chociaż niewiele od niej starszy, Audun był wysoki i silny. Uważano go za dobrego gospodarza i obiecującego szermierza w orężnych zmaganiach. Jego jasne kędziory okalały oblicze rumieniące się równie często jak twarz dziewczyny. Uśmiechnął się nieśmiało w odpowiedzi na uśmiech Ormowej córki i podbiegł do niej.

— Ja... szukałem cię... Fredo — powiedział.

— Dlaczego, czy ktoś chciał czegoś ode mnie?

— Nie, tylko... no... tak, chciałem... porozmawiać z tobą — wymamrotał. Szedł obok dziewczyny z opuszczonymi oczami, tylko od czasu do czasu zerkał na nią.

— Co zamierzasz zrobić? — wypalił w końcu.

Pogodny nastrój opuścił Fredę. Spojrzała na niebo, później zaś na pola. Nie było stąd widać morza, ale wiatr wiał tego dnia tak silnie, że przeniósł do uszu dziewczyny jego niezmordowany, niespokojny szum.

— Nie wiem — odparła. — Nie mam nikogo...

— Ależ masz! — zawołał. Język mu skołowaciał i nie mógł już powiedzieć nic więcej, choćby nie wiem jak przeklinał siebie za to w duchu.

Zima krwawiła pod radosnymi ciosami wiosny. Lecz Freda nadal przebywała w domu Thorkela. Nikt nie robił jej wyrzutów, że nosi w łonie bękarta. Byłoby z nią niedobrze, gdyby się tak nie stało po tym, co przeszła! Ponieważ była zdrowa i silna, a może z powodu pozostałości elfowej magii, niemal nie dokuczały jej poranne mdłości. Mogła więc ciężko pracować i kiedy nie było już nic do roboty, wychodziła na długie przechadzki, zazwyczaj samotnie, chociaż często w towarzystwie Auduna. Aasa rada była z pomocy i z możliwości przyjacielskiej pogawędki, gdyż nie miała córek i niewiele służebnych; to gospodarstwo w niczym nie przypominało Ormowego. Ale to małżonka Thorkela mówiła niemal przez cały czas. Freda odpowiadała uprzejmie, kiedy się do niej zwracała, jeżeli usłyszała.

Początkowo czas był dla niej oprawcą, mniej z powodu brzemienia grzechu i żalu za bliskimi — to mogła znieść, a nowe życie w jej łonie zastąpiło ich w części — bardziej z tęsknoty za Skaflokiem.

Nie dał znaku życia i nie zobaczyła go od chwili, gdy po raz ostatni spojrział na nią smutno przy kurhanie Orma owego zimowego poranka. Odszedł otoczony zewsząd wrogami, do najbardziej ponurego ze wszystkich krajów po skarb, który miał się stać przyczyną jego zguby. Gdzie był tego dnia? Czy jeszcze żył, czy też już leżał martwy i kruki wydziobywały mu oczy, które niegdyś świeciły tylko dla niej? Czy tęsknił za śmiercią tak jak kiedyś za Fredą? A może zapomniał o tym, czego nie mógł znieść, i wyrzekł się człowieczeństwa dla pociechy, którą

znalazł w chłodnych objęciach Leei? Nie to niemożliwe, nie odrzuciłby miłości, póki żył.

Ale czy jeszcze żył — i jak, i jak długo?

Od czasu do czasu śniła o nim, stał przed nią jak żywy: trzymał w objęciach, a ich serca były jednym rytmem. Szeptał jej do ucha, śmiał się, układał miłosne wiersze i zabawa stawała się miłością... Obudziła się w nocy, dusząc się w nie wietrzanej izbie...

Freda zmieniała się... Po wspaniałościach elf owego zamku i szalonych, tak radosnych dniach polowań na Trollów w leśnej gruszy, życie ludzi wydawało się jej szare i ograniczone. Ponieważ Thorkel przyjął chrzest tylko po to, żeby móc handlować z Anglikami, więc dziewczyna rzadko widywała księdza, a wiedząc, że zgrzeszyła w sercu, pragnęła tego. Po cudach lasu, wzgórz i morza kościół wydawał się jej ponury. Nadal kochała Boga — czyż ziemia nie była Jego dziełem, a kościół — tylko człowieka? — lecz nie mogła się zmusić, żeby widywać Go bardzo często.

Czasami wymykała się w nocy, wsiadała na konia i jechała kawałek na północ. Dzięki czarodziejskiemu wzrokowi mogła przelotnie dostrzec mieszkańców Krainy Czarów — uciekającego Gnoma, sowę, która nie wykluła się z żadnego jajka, czarny statek płynący wzdłuż wybrzeża. Jednak ci, których ośmieliła się zaczepić, uciekali przed nią i nie mogła się wywiedzieć o koleje wojny między Elfami a Trollami.

Nawet ten przelotnie dostrzeżony świat, niezwykle i szalony, był światem Skafloka — i przez krótki, cudowny czas — także i ona należała do niego.

Wynajdowała sobie dodatkową pracę, żeby nie rozmyślać za wiele, a jej młode, zdrowe ciało rozkwitało. Kiedy tygodnie zamieniły się w miesiące, poczuła w sobie to samo poruszenie, które sprowadziło ptaki zza mór i kazało rozwijać się pąkom podobnym do piąstek niemowlęcia. Zobaczyła siebie w sadzawce i zrozumiała, że z dziewczyny przemieniła się w niewiastę — jej smukła postać zaokrągliła się, piersi nabrzmiały, krew zaś szybciej krążyła w żyłach. Stawała się matką.

Gdyby mógł ją teraz zobaczyć... Nie, nie, to niemożliwe. Ale Kocham go, Kocham go tak bardzo.

Zima odeszła wśród deszczu i grzmotów. Pierwsza zieleń pokryła drzewa i łąki. Ptaki powróciły do domu. Freda zobaczyła znajomą parę bocianów, kiedy ze zdumieniem zataczały kręgi nad włościami Orma. Zawsze gnieździły się na dachu jego dworu. Płakała równie cicho jak wiosenny deszcz. Czuła pustkę w sercu.

Lecz nie, znów wypełniało je uczucie, już nie dawna bezgraniczna radość, ale spokojniejsze od niej zadowolenie. Jej dziecko rosło w jej łonie. W nim — lub w niej, to nie miało znaczenia — odżyły wszystkie zapomniane nadzieje.

Stała w półmroku mając nad głową kwiaty jabłoni, które spadały na nią przy każdym powiewie. Zima odeszła. Skaflok żył w wiosnie, w chmurze i w cieniu, w świetle i w zachodzie słońca, w tarczy księżycy, przemawiał głosem wiatru i śmiał się razem z morzem. W wielkim nie kończącym się tańcu pór roku za kilka miesięcy przyjdzie zima, później zaś następną. Ale ona nosiła pod sercem tamto lato i wszystkie, które nadejdą.

Teraz Thorkel przygotowywał się do podróży handlowej na wschód, którą on i jego synowie planowali od dawna. Nie podobało się to Audunowi i w końcu rzekł do ojca: — Nie mogę popłynąć.

— Co to ma znaczyć? — zawołał Thorkel. — Ty, który marzyłeś o tym bardziej, niż ktokolwiek z nas, teraz chciałbyś zostać w domu?

— No, tak... ktoś tu musi być.

— Mamy dobrych drużynników.

Audun odwrócił głowę. — Orm również ich miał.

— Nasze gospodarstwo jest mniejsze od Ormowego, więc znajduje się bliżej sąsiadów. A czy zapomniałeś, że po tym, co się stało, okoliczni gospodarze postanowili trzymać strażników nad morzem? — Thorkel bystro spojrzął na syna. — Co ci dolega, chłopcze? Powiedz prawdę. Czy boisz się walki?

— Wiesz, że nie — wybuchnął Audun — i chociaż nigdy nie przelałem krwi, zabiję każdego, kto to powie. Po prostu nie chcę popłynąć w tym roku i to wszystko.

Thorkel pokiwał głową.

— Więc chodzi o Fredę. Tak myślałem. Ale ona nie ma krewnych.

— Cóż z tego? Ziemie Orma należą teraz do niej. A ja będę miał pieniądze, kiedy popłynę z wami w przyszłym roku.

— A dziecko spłodzone przez wędrowca, o którym nic nie mówi, lecz zdaje się zawsze myśleć?

Rozgniewany Audun wbił wzrok w ziemię.

— Więc co z tego? — wymamrotał. — To nie była jej wina ani dziecka, które, jeśli już o tym mowa, chętnie wziąłbym na kolana. Freda potrzebuje kogoś, kto jej pomoże... tak, i sprawi, że zapomni o mężu, który porzucił ją bez powodu. Gdybym mógł go znaleźć, zobaczyłbyś, czy boję się walki!

— No cóż. — Thorkel wzruszył ramionami. — Mogę rozkazywać tobie, ale nie twojej woli. Zostań w domu, jeśli musisz. — I po jakimś czasie dodał: — Masz rację, te rozległe włości nie powinny leżeć odłogiem. A z niej może być dobra małżonka, która da ci wielu silnych synów. — Uśmiechnął się, chociaż jego spojrzenie pełne było niepokoju. — Więc zabiegaj o jej względy i zdobądź ją, jeśli zdołasz. Mam nadzieję, że los będzie dla ciebie łaskawszy niż dla Erlenda.

Kiedy obsiano pola, Thorkel odплыnął z pozostałymi synami i z młodzieńcami z okolicy. Ponieważ mieli odwiedzić kilka krajów na przeciwległym brzegu Morza Północnego, oczekiwano ich powrotu dopiero późną jesienią lub na początku zimy. Audun patrzył smutno na odplywający statek. Ale kiedy odwrócił się i zobaczył obok siebie Fredę, uznał, że dobrze zrobił.

— Czy naprawdę zostałeś, żeby nadzorować żniwa? — zapytała.

Zaczerwienił się po białka oczu, ale odparł śmiało:

— Myślę, że znasz odpowiedź. Odwróciła wzrok i nic nie powiedziała.

Dni były coraz dłuższe i wiosna ogarnęła ziemię. Ciepły wiatr, plusk deszczu, ptasie trele, obfitość zwierzyny, ryby srebrzące się w rzekach, kwiaty i jasne noce... I coraz częściej Freda czuła ruchy dziecka.

A jeszcze częściej Audun był u jej boku. Od czasu do czasu w przyplwywie przygnębienia kazała mu odejść i jego smutna mina zawsze budziła w niej wyrzuty sumienia.

Zalecał się do niej w chaotycznych słowach, których prawie nie słuchała. Wtuliła twarz w bukiet kwiatów, który dla niej zerwał, i poprzez wonne płatki dostrzegła jego nieśmiały uśmiech — dziwiło ją, że taki rosły i zaradny młodzian, był słabszy od niej.

Jeżeli się pobiorą, to ona otrzyma go na małżonka. Nie był przecież Skaflokiem, lecz tylko Audunem. O mój kochany!

Z czasem wszakże wspomnienia o Skafloku stawały się pamięcią o zeszłorocznym lecie. Radowały serce Fredy, lecz nie raniły go, a tęsknota za ukochanym przypominała spokojne wody górskiego stawu, na którym tańczą słoneczne zajaczki. Opłakiwać go bez końca byłoby słabością niegodną uczucia, które ich łączyło.

Lubiła Auduna. Będzie mocną tarczą dla dziecka Skafloka.

Aż nadszedł taki wieczór, kiedy stali oboje na brzegu morza, fale szumiały u ich stóp, a słońce zachodziło w powodzi złota i czerwieni. Audun wziął Fredę za rękę i powiedział poważnie: — Fredo, wiesz, że kochałem cię jeszcze zanim zostałaś porwana. W minionych tygodniach

otwarciem starałem się o twoją rękę. Najpierw nie chciałaś słuchać, a później odpowiadać. Proszę cię teraz o szczerą odpowiedź i jeśli taka jest twoja wola, nie będę cię więcej niepokoił. Czy wyjdiesz za mnie, Fredo?

Spojrzała mu w oczy i powiedziała cicho i wyraźnie:

— Tak.

XXV

Pod koniec lata na północy Anglii było zimno i deszczowo. Dniami i nocami wiatr smagał elfowe wzgórza i otulał je szarością pełną migotu błyskawic. Trollowie rzadko odważali się opuszczać Elfheugh, gdyż oddziały ich wrogów były zbyt liczne, dobrze wyekwipowane i urządziły chytre zasadzki. Tak więc Trollowie łazili po zamku, pili, grali, kłócili się i znowu pili. W ponurym nastroju, jaki ogarnął wszystkich, każde słowo mogło stać się powodem do walki na śmierć i życie. Tymczasem ich elfowe miłośnice stały się tak przewrotne, że nie było dnia bez zerwania przyjaźni, a często i utraty życia dla niewiasty.

Trwożne pogłoski obiegały ciemne korytarze zamku. Illrede — tak, poległ, a jego głowa leżała w beczce słonej wody do czasu bitwy, kiedy stawiała się nieprzyjacielskim sztandarem. Nowy król Guro nie mógł utrzymać w kupie trollowych armii, jak to czynił Illrede, i za każdym razem, kiedy stawał w boju, musiał się wycofywać w popłochu. Demon na olbrzymim koniu z mieczem i sercem z piekła rodem prowadził Elfów do zwycięstwa nad dwukrotnie liczniejszym przeciwnikiem.

Niektórzy szeptali, że Wendlandia padła, a groźny wódz Elfów okrążył tam Trollów i nie oszczędził nikogo. Mówiono, że można było iść po trupach Trollów od końca do końca tego straszego pola.

Inni powiadali, że twierdze w Norwegii, Szwecji, Gotlandii i Danii zostały zaatakowane i — w jakiś sposób, chociaż były elfowymi zamkami, zbudowanymi z elfowym kunsztem tak, by mogły wytrzymać niejeden szturm — padły równie szybko, jak przedtem poddały się Trollom, a ich garnizony wycięto w pień. W zatoce Jutyjskiej wróg zdobył całą flotę, której używał później do napaści na sam Trollheim.

Sojusznicy i żołnierze najemni, którzy jeszcze żyli, opuszczali Trollów. Szeptano, że kompania Szenów zwróciła się przeciw trollowym towarzyszom broni w Gardarice i wymordowała ich. Powstanie Goblinów starło z powierzchni ziemi trzy miasta — albo pięć czy też tuzin — w Trollheimie.

Elfowie wdarli się do Walonii w ślad za wycofującą się armią Trollów... i odwrót ten zmienił się w druzgocącą klęskę, a w końcu i w rzeź, gdy trollowe zastępy zostały przyparte do morza wśród kromlechów i menhirów* Dawnego Ludu. Po zamku krążyły opowieści o straszliwym koniu tratującym wojowników i o znacznie odeń gorszym mieczu, który przecinał metal, jakby to była tkanina, i nigdy się nie tępił.

Walgard, coraz chudszy, bardziej ponury i małowówny w miarę jak płynęły miesiące, starał się podnieść Trollów na duchu. — Elfowie przegrupowali się — powiedział — i zyskali pewne moce. Ale cóż z tego? Czyż nie widzieliście, jak konający rzuca się, nim umrze? Wytężają resztki sił, a to nie wystarczy.

Lecz Troiło wie jedno wiedzieli na pewno: że coraz mniej statków docierało do nich przez Kanał czy ze wschodnich mórz i że przywoziły one coraz gorsze wieści, aż w końcu Walgard zabronił swoim wojom rozmawiać z ich załogami; że elfowi banici pod wodzą Flama i Ognistej Włóczni z każdą nocą stawali się coraz zuchwalsi, tak iż w końcu nawet cała armia nie była bezpieczna od wypuszczonych z zasadzki strzał i szybkich napadów konno lub wodą; że irlandzcy Sidhowie zbroili się jak na wojnę; i że zmęczenie, rozpacz i nienawiść do

* **Kromlechy i menhiry** — zabytki z okresu neolitu. **Menhir** — pojedynczy nie ociosany blok kamienny, ustawiony na sztorc, **kromlech** — krąg monolitów otaczający dolmen, grobowiec złożony z dwóch lub więcej płyt kamiennych ustawionych pionowo i przykrytych wielkim płaskim blokiem.

współtowarzyszy szerzyły się wśród nich jak płomień, podsycane przez intrzygi Elfin.

Walgard krążył po zamku od najwyższych wież, gdzie gnieździły się kruki i kobuzy, do najgłębszych lochów, będących kryjówkami ropuch i pajaków, warcząc, bijąc, a nawet zabijając w przystępie wściekłości. Czuł się osaczony przez białobłękitne ściany Elfheugh, przez banitów, przez rosnące w siłę zastępy Króla Elfów i przez całe swoje życie. I nic nie mógł na to poradzić.

Wypadki nie miały sensu. Było to jak walka z cieniami. Napastnicy zniknę, gdzieś z tyłu strzała wbije się jakiemuś Trollowi w plecy, pętla zaciśnie wokół szyi, a jama z ostrymi palami na dnie rozewrze pod jego koniem. Nawet przy stole nikt nie czuł się pewnie, gdyż ciągle ktoś umierał, najwyraźniej otruty, a obojętne wyjaśnienia sług nie naprowadzały na żaden trop, ponieważ mógł to uczynić jakiś urażony Troll.

Elfowie byli przebiegli i cierpliwi, zmieniali swoje słabe strony w siłę, czekając na odpowiednią chwilę. Trollowie nie potrafili ich zrozumieć i z czasem poczęli bać się ludu, który jeszcze tak niedawno uważali za pokonany.

A on teraz zwyciężał ich samych, pomyślał Walgard niewesoło. Lecz prawdę tę ukrywał starannie przed swoimi żołnierzami, chociaż nie był w stanie powstrzymać szeptów ani kłótni.

Mógł tylko siedzieć na jarlowskim krześle Imryka i pić na umór ogniste wino. Usługiwała mu Leea i jego czara nigdy nie była pusta. Siedział w milczeniu, z zamglonymi oczyma, aż osuwał się nieprzytomny na podłogę.

Często jednak, gdy choć pijany, mógł jeszcze chodzić, wstawał powoli. Zataczając się przechodził przez jadalnię, gdzie wodzowie Trollów leżeli rozwaleni wśród kałuż wina i wymiocin. Brał pochodnię i chwiejnym krokiem schodził po wykutych w skale stopniach. Opierając się o zimną, śliską ścianę docierał do drzwi pewnego lochu i otwierał je.

Pokryte czarnymi smugami zakrzepłej krwi białe ciało Imryka majaczyło w półmroku w blasku węgla żarzących się pod jego stopami. Opiekujący się ogniskiem Dżinn pilnował, żeby zawsze były gorące. Elfowego jarla powieszono nad ogniem za kciuki, bez jedzenia i picia. Jego brzuch zapadł się, skóra ciasno opinała żebra, język miał czarny, ale był Elfem i nie mógł od tego umrzeć.

Nieodgadniony wyraz skośnych, błękitnobiałych oczu więźnia zawsze w jakiś sposób mroził krew w żyłach odmienca. Walgard uśmiechnął się szeroko, żeby ukryć strach.

— Czy domyślasz się, dlaczego tu jestem? — zapytał ochryple. Chwiał się na nogach.

Imryk nic nie opowiedział. Walgard uderzył go w usta. Odgłos uderzenia, które rozkołysało ciało więźnia, zabrzmiał niezwykle głośno w ciszy lochów. Dżinn cofnął się, a jego oczy i kły zabłyśły w mroku.

— Dobrze wiesz, jeśli mózg nie wysechł ci w czaszce — powiedział odmieniec. — Przychodziłem tu już i znowu przyjdę.

Zdjął bicz z półki na ścianie i przesunął palcami po rzemieniach. Jego oczy zabłyśły. Zwilżył spieczoną wargi.

— Nienawidzę cię — rzekł. Zbliżył twarz do twarzy Imryka. — Nienawidzę cię za to, że mnie spłodziłeś. Nienawidzę cię za to, że pozbawiłeś mnie należnego mi dziedzictwa. Nienawidzę cię za to, że jesteś tym, czym ja nigdy nie będę i nie chciałbym być — przeklętym Elfem! Nienawidzę cię za twoje złe czyny. Nienawidzę cię, ponieważ nie mam pod ręką twego przekłętą wychowankę i ty mi musisz wystarczyć — teraz!

Podniósł bicz. Dżinn wcisnął się w kąt celi, najdalej jak mógł. Imryk nie wydał żadnego dźwięku ani się nie poruszył.

Kiedy Walgarda rozboleła jedna ręka, używał drugiej. A gdy ta się zmęczyła, rzucił bicz na podłogę i odszedł.

Zaczynał trzeźwieć i ból głowy pospołu z chłodem w sercu zastąpiły opary wina. Kiedy

podszedł do okna, usłyszał szum deszczu.

Znienawidzone przez Trollów lato, za którym Walgard tak tęsknił w zimie, marząc, by mógł leżeć w zielonych dolinach nad brzegami rzek, a które spędził na próżno uganiając się za elfowymi banitami albo dusząc się w murach Elfheugh — wreszcie się kończyło. Bliski był też koniec Trollheimu. Nie było żadnych wieści z Walonii. Ostatnia mówiła o polu pełnym trupów.

Czy ten deszcz nigdy nie przestanie padać? Walgard wzdrygnął się, spoglądając przez okno na przemoczony świat. Błyskawica rozdarła niebo, a huk gromu przeszył odmieńca do szpiku kości.

Powłókł się na górę do swoich komnat. Trollowi wartownicy leżeli pogrążeni w pijackim śnie — ha, czy oni wszyscy byli opojami i mordercami współplemieńców? Gdzie wśród tej cuchnącej i kłótlivej hordy znaleźć kogoś, przed kim mogły otworzyć serce?

Poszedł do sypialni i stanął w drzwiach, Leea usiadła na łożu. Ona przynajmniej nie robiła z siebie suki jak inne Elfiny, pomyślał odmieniec, i dawała mu pocieszenie, gdy lękał się o siebie.

Błyskawica znów przeszła powietrze. Podłoga zadrżała od łoskotu gromu. Wiatr zawył i cisnął deszcz o szyby. Gobeliny zafalowały i światło świec zamrugęło w zimnym powiewie.

Walgard usiadł ciężko na brzegu łoża. Leea zarzuciła mu ramiona na szyję. Spoglądała na niego tajemniczo jak księżyc; jej uśmiech, jedwabista skóra i zapach kusity, choć pozbawione były ciepła. Zapytała słodko: — Co robisz, panie mój?

— Wiesz co — mruknął — i zastanawiam się, dlaczego nigdy nie próbowałaś mnie powstrzymać.

— Silni robią ze słabymi, co zechcą. — Wsunęła mu rękę pod odzienie, dając jasno do zrozumienia, co może z nią zrobić, lecz Walgard nie zważał na to.

— Tak — odparł i zacisnął zęby. — Dobre to prawo, kiedy jest się silnym. Ale teraz Trollowie przegrywają — ponieważ Skaflok, a wszystko wskazuje na to, że to musi być on — wrócił z mieczem, który zmiata przed sobą wszystko. Więc jakie jest teraz prawo?

Odwrócił się i spojrzał na nią ponuro. — Rzeczą, której zupełnie nie mogę zrozumieć, jest upadek wielkich twierdz. Nawet zwycięska w polu armia Elfów powinna połamać sobie zęby na takich fortyfikacjach. Przecież niektórych z nich Elfowie nigdy nie wypuścili z rąk pomimo sił, które rzuciliśmy przeciwko nim. Część wzięliśmy głodem, większość poddała się bez walki, tak jak ta. Wszystkie były silnie obsadzone wojskiem i dobrze zaprowiantowane — i utraciliśmy je, skoro tylko dotarł do nich jakiś oddział Króla Elfów. — Potrząsnął głową. — Dlaczego?

Chwycił ją szorstko za ramiona. — Elfheugh nie padnie. Nie może! Utrzymam je, nawet gdyby sami bogowie wystąpili przeciwko mnie. Ha, tęsknię za bitwą — nic tak nie rozweseliłoby mnie i moich zmęczonych żołnierzy. I pobijemy ich, słyszysz? Odrzucimy ich i umieszczę głowę Skafloka na pice na murach.

— Tak, panie mój — zamruczała Elfina, nadal uśmiechając się tajemniczo.

— Jestem silny — warknął. — Kiedy byłem Wikingiem, zabijałem mężów gołymi rękami. Nie boję się niczego i jestem chytry. Odniosłem wiele zwycięstw i odniosę jeszcze więcej.

Ręce opadły mu bezwładnie, a oczy pociemniały.

— Ale co z tego? — szepnął. — Dlaczego jestem taki? Dlatego, że Imryk takim mnie uczynił. Ukształtował na obraz i podobieństwo Ormowego syna. Tylko dlatego żyję, a moja siła, wygląd i mózg są identyczne jak u Skafloka.

Podniósł się z trudem, wpatrzył się przed siebie jak ślepiec i wrzasnął: — Czymże jestem, jak nie cieniem Skafloka?! Błyskawica przeleciała po niebie, rozwidniając je piekielnym ogniem. Zagrzało. Wiatr zawył. Deszcz zabębnił o szyby. Zimny powiew zdmuchnął świece.

Walgard chwiał się na nogach i szukał po omacku ścian. — Zabiję go — mamrotał. — Pogrzebię głęboko pod dnem morza. Zabiję Imryka, Fredę i ciebie, Leo — wszystkich, którzy wiedzą, że naprawdę nie żyję, że jestem duchem ukształtowanym na podobieństwo człowieka...

zimnym ciałem, moje ręce są zimne...

Koła wozu Thora zaturkotały na niebie. Walgard zawył: — Tak, rzuć tu młotem! Hałasuj, póki jeszcze możesz! Tymi zimnymi rękami uchwycę kolumny boskich pałaców i zniszczę je! Zdepczę cały świat. Przywołam burzę, mrok i lodowce z północy i wiatr będzie rozsypywał popioły na moich śladach. Jestem Śmiercią!

Ktoś jak szalony walił w drzwi, lecz ledwie było go słychać poprzez szum deszczu i wycie wichury. Walgard warknął jak dzikie zwierzę. Chwycił za szyję zmęczonego, przemoczonego Trolla.

— Zacznę od ciebie — powiedział. Piana wystąpiła mu na usta. Posłaniec szamotał się, ale jego siły okazały się niewystarczające, żeby rozerwać ten uścisk.

Kiedy Troll runął martwy na podłogę, szal bojowy opuścił Walgarda. Drżący i słaby oparł się o framugę drzwi. — To było nierozsądne — szepnął.

— Może byli z nim inni — odezwała się Leea. Wyszła na półpiętro i zawołała: — Hej, tam! Jarl chce mówić z kimś, kto niedawno przybył.

Drugi Troll, równie zmęczony jak pierwszy, z otwartą raną na policzku, chwiejnym krokiem wszedł po schodach tak, aby mogli go widzieć, lecz nie próbował dotrzeć do komnat jarla. — Wyruszyło nas piętnastu — wyjęczał. — Pozostało tylko dwóch, Hru i ja. Banici nie odstępowali nas przez całą drogę.

— Jakie wieści nieśliście?

— Elfowie wylądowali w Anglii, panie. Słyszeliśmy też, że irlandzcy Sidhowie pod wodzą Luga Długorękiego są w Szkocji.

Walgard skinął głową.

XXVI

Pod osłoną jesiennej burzy Skaflok przeprowił przez Kanał najlepszych elfowych wojowników. Dowodził tą armią, gdyż Król Elfów pozostał, by pokierować resztą zastępów, które miały wyprzeć ostatnich Trollów z kontynentalnych ziem Alfheimu. Król przestrzegł go, że zdobycie Anglii nie będzie łatwe, a gdyby Trollowie odparli ten atak, Brytania stanie się dla nich punktem zbornym, później zaś bazą dla przeciwnatarcia.

Skaflok wzruszył ramionami. — Mój miecz przynosi zwycięstwo — rzekł.

Król Elfów przyjrzał mu się uważnie, nim odpowiedział:

— Uważaj na tę broń. Jak dotąd służyła nam dobrze, ale jest zdradziecka. Prędzej czy później musi zwrócić się przeciw temu, kto nią włada, może wtedy, gdy będzie jej najbardziej potrzebował.

Skaflok nie przejął się zbyt słowami władcy. Nie chciał zaraz umierać — przecież na świecie było zbyt dużo do zrobienia — ale kto wie, czy nie będzie mu to oszczędzone jeszcze przez wiele lat? Jakkolwiek było, nie zamierzał nawet próbować pozbyć się zaklętego miecza. Brzeszczot Bolwerka dawał mu to, czego nie mogło mu dać nic innego. W walce nie ogarniał go szal bojowy, wręcz przeciwnie, nigdy nie był bardziej opanowany, a jego umysł stawał się wtedy niezwykle giętki i rzutki. Lecz płonął wewnątrz, nie był już tylko sobą, złączony w jedno z tym, co robił i za pomocą czego walczył. Tak musiał się czuć bóg. Podobne uczucie, choć w inny sposób, ogarniało Skafloka, gdy był z Fredą.

Zgromadził statki, żołnierzy i konie w ukrytych zatokach Bretanii. Przesłał wieść wodzom Elfów w Anglii, że powinni zacząć gromadzić rozproszonych wojowników. I pewnej nocy, kiedy burza szalała na północy, przeprowił swą flotę przez Kanał.

Deszcz ze śniegiem padał z nieba, które było czarne jak smoła, z wyjątkiem chwil, gdy rozdzierała je błyskawica. Wówczas każda kropla i każde źdźbło trawy stawały się oślepiająco białe. Były ogłuszająco pioruny. Wiatr bałwaniał morze. Białe od piany i pyłu wodnego fale huczały na zachodzie i wszędzie wdzierały się na brzegi. Nawet Elfowie nie ośmielili się postawić żagle i tylko wiosłowali. Deszcz i pył wodny były ich w twarze i moczyły szaty. Niebieskie płomyki pełzały po wiosłach i smoczych głowach zdobiących elfowe korabie.

Z mroku wyłoniła się Anglia. Elfowie wiosłowali z takim zapałem, aż wydawało się, że naderwą sobie ścięgna. Fale kipiały na plaży i rafach. Wiatr pochwycił statki i chciał pchnąć je na skały lub na siebie. Skaflok uśmiechnął się szeroko i rzekł:

*Zimne i zmysłowe
Są pocałunki
Białoramiennych cór Ran*.
Roześmiane, rozkrzyczane,
Siwe i słone
Warkocze
Spadają im na piersi.*

Z dziobu swego statku zobaczył cypel, do którego zmierzali, i na chwilę tęsknota ścisnęła mu serce. Powiedział cicho:

* Ran — w mitologii skandynawskiej małżonka Egira, władcy mórz, chwytająca żeglarzy w sieci.

*Znów przywiał mnie do domu
Niespokojny wiatr.
Podpływam do przylądka
Pięknej Anglii.
Ona jest gdzieś za tym brzegiem.
Czy ujrzę ją jeszcze kiedy?
Biada mi, ta młoda niewiasta
Nie opuszcza moich myśli.*

Potem musiał skupić całą uwagę, aby jego flota mogła bezpiecznie okrążyć cypel. A kiedy się to stało, znaleźli zaciszną zatokę i mały oddział Elfów czekających, by im pomóc. Statki zostały wyciągnięte na brzeg i przywiązane.

Później ich załogi zajęły się przygotowaniami do wojny. Jakiś kapitan rzekł tak do Skafloka: — Nie powiedziałaś nam, kto ma zostać i pilnować statków.

— Nikt — odparł wychowanek Imryka. — Potrzebujemy wszystkich naszych wojów na lądzie.

— Co? Przecież Trollowie mogą się natknąć na naszą flotę i spalić ją! Wtedy odetną nam odwrót.

Skaflok rozejrzał się po rozświetlanym blaskiem błyskawic wybrzeżu. — Dla mnie — oświadczył — nie będzie odwrotu. Żywy czy martwy, po raz drugi nie opuszczę Anglii, dopóki Trollowie nie zostaną z niej wyparci.

Elfowie spojrzeli na niego z lękiem. Wysoki, zakuty w żelazo, z demonicznym mieczem u pasa, wcale nie wyglądał na śmiertelnika. Zielonkawe wilcze ogniki tańczyły w jego niebieskich oczach. Pomyśleli, że jest bliski oblędu.

Skaflok wskoczył na swego jotuńskiego konia. Zawołał, przekrzykując wycie wiatru: — Zadmijcie w trombity! Zapolujemy dzisiejszej nocy!

Armia ruszyła w drogę. Mniej więcej jedna trzecia wojowników jechała konno. Reszta miała nadzieję, że niedługo zdobędzie rumaki. W przeciwieństwie do Anglów czy Duńczyków, a podobnie jak Francuzi czy Normanowie, Elfowie woleli walczyć na lądzie jako kawaleria. Moczył ich deszcz, opadłe liście chrzęściły pod nogami, błyskawice przesywały powietrze, wiatr przejmował chłodem — było to pierwsze tchnienie nadciągającej zimy.

Po jakimś czasie usłyszeli daleki ryk trollowych rogów bojowych. Elfowie unieśli broń i uśmiechnęli się. Wzięli ociekające deszczem tarcze w lewe dłonie i zadęli znów w trombity.

Skaflok jechał na czele klina elfowych wojowników. Nie czuł radości, a myśl o jeszcze jednej rzezi budziła w nim obrzydzenie. Ale wiedział, że będzie inaczej, skoro tylko wyciągnie miecz, więc nie mógł doczekać się bitwy.

Pojawili się Trollowie, ciemna ruchoma masa na tle wielkiej wydmy. Musieli wyczuć napastników i przybyć z najbliższego zamku, prawdopodobnie z Alfarhi. Choć było ich mniej niż Elfów, nie należało lekceważyć. Ponad połowę sił przeciwnika stanowili jeźdźcy i Skaflok usłyszał, jak ktoś za nim powiedział wesoło: — Już niedługo będę miał pod sobą konia.

Jadący z jego prawej strony dowódca był mniejszym optymistą: — Jest nas więcej, ale nie tylu, żebyśmy mogli ich rozgromić. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy dzielni wojowie pokonali liczniejszego wroga.

— Nie boję się, że nas zwyciężą — odparł Skaflok — lecz źle by się stało, gdyby zabili wielu naszych. Wówczas następny bój mógłby być dla nas ostatnim. — Sposepniał. — A niech to lichy, gdzie są główne siły angielskich Elfów? Przecież mieli się z nami wkrótce spotkać. Chyba że posłańcy zostali schwytani w drodze... Zagrały trollowe rogi, wzywając do boju. Skaflok

wyciągnął miecz z pochwy i zakręcił nim nad głową. Błyskawica rozdarła niebo i w jej świetle zaklęty brzeszczot spłynął niebieskim płomieniem.

— Naprzód! — zawołał wychowanek Imryka i spiął konia ostrogami. Zawładnęła nim moc siła miecza.

Włócznie i strzały mknęły nad głowami walczących, lecz nikt ich nie widział i nie słyszał wśród szalejącej nawałnicy. Wiatr utrudniał celowanie, więc niebawem zabrzmiał szczęk broni.

Skaflok pochylił się w siodle i zamachnął się. Zaatakował go jakiś Troll, lecz zaklęty miecz przeciął uniesione ramiona wroga. Podjechał następny, unosząc do góry topór. Brzeszczot Bolwerka ze świstem wbił mu się w kark. Jakiś piechur pchnął wodza Elfów włócznią. Grot odbił się od tarczy Skafloka, który przeciął drzewce na pół, a jego rumak stratował Trolla.

Topór i miecz! Szczęk metalu i snopy iskier! Rozłupany metal, zranione ciało, wojownicy osuwający się na ziemię, demoniczny taniec błyskawic!

A wśród bitewnego zgiełku parł Skaflok, rażąc nieprzyjaciół. Jego broń ugrzęzła w kolczudze i w kości i czuł boleśnie impet uderzeń. Miecze i włócznie mknęły w jego stronę, lecz wychwytywał je tarczą lub rozcinał zaklętym brzeszczotem. Przeciągły skwir jego miecza słyhać było poprzez szum wiatru i huk gromu. Nikt nie mógł mu się przeciwstawić. Przebił się przez szeregi Trollów i zaatakował ich od tyłu.

Ale przeciwnicy walczyli zaciekle. Przegrupowali się, tworząc kręgi, które trzymały się mocno. Stamtąd zasypywali Elfów strzałami. Konie atakujących nadziewały się na podstawione włócznie. Elfowie padali pod ciosami toporów i maczug. Gdzie była pomoc? Gdzie była pomoc?

Jakby w odpowiedzi zagrał róg — potem następny i jeszcze jeden — okrzyk bojowy, grad pocisków i setki wojowników wylaniających się z mroku!

— Ha, Alfhaimie! — Ognista Włócznia jechał na czele. Krew spływała z jego lancy jak deszcz z jego hełmu. Radość biła z twarzy. Obok pędził Flam z Orkadów ściskając w ręku ociekający krwią topór. W bitwie też wzięli udział inni elfowi dowódcy, powstający jakby spod ziemi, aby oczyścić ją z rabusiów.

Teraz nie było trudno wyciąć w pień przeciwnika i niebawem już tylko trupy Trollów czekały świtu. Skaflok naradzał się z Ognistą Włócznią, Flamem i innymi wielmożami.

— Przybyliśmy tak szybko, jak tylko mogliśmy — rzekł Ognista Włócznia — Musieliśmy zatrzymać się w Runehill i zabezpieczyć go, gdyż wrota stanęły przed nami otworem i pozostało tam niewielu Trollów. Nasze niewiasty dzielnie się sprawiły! Myślę, że skończą wszystko w Alfarhi, gdyż większość garnizonu leży tutaj.

— To dobrze — skinął głową Skaflok. Po skończonej bitwie, gdy schował miecz, znów poczuł nawrót zmęczenia. Burza oddalała się, wiatr ucichł, padał rześisty deszcz i niebo pojaśniało na wschodzie.

— Sidhowie z Erynu również wyruszyli na wojnę — wtrącił Flam. — Lug wylądował w Szkocji, a Mananaan wypiera Trollów z północnych wód i wysp.

— Ach — więc dotrzymał słowa — Skaflok poweselał. — Prawdziwy z niego przyjaciel. To jedyny bóg, któremu zaufałbym.

— I to tylko dlatego, że jest półbogiem, który utracił większość dawnej potęgi, i został zepchnięty do poziomu mieszkańców Krainy Czarów — mruknął Ognista Włócznia. — Nierozsądnie jest zadawać się z bogami... albo z olbrzymami.

— Taak, lepiej ruszajmy w drogę, żebyśmy mogli schronić się przed świtem — rzekł Flam. — Dzisiaj śpimy w Alfarhi. Och, jak dawno nie spałem w elfowym zamku u boku Elfiny!

Skaflok skrzywił się, ale nic nie powiedział.

* * *

Chociaż początek jesieni był w owym roku bardzo burzliwy, niebawem pogoda poprawiła się i pozostała wyjątkowo długo niezmienna. Było to tak, jakby sama ziemia witała dawnych kochanków. Niektórzy spoczęli z nią na zawsze i klony przypominały o tym barwą swych liści. Inne drzewa pokryły się tysiącem odcieni złota i brązu i szumiały wśród wzgórz pod sennym niebem. Wiewórki krzątały się, gromadząc zimowe zapasy, jelenie potrząsały rogami i ryczały dumnie, a na niebie rozbrzmiewał przeciągły krzyk dzikich gęsi odlatujących na południe. W pogodne noce niezliczone roje gwiazd świeciły tak jasno, że wydawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę i zerwać je z krystalicznej czerni.

Elfom sprzyjało szczęście. Na północy i południu, na wschodzie i na zachodzie gromili wrogów z niewielkimi własnymi stratami. Albowiem mieli nie tylko strasznych sojuszników, ale z każdym tygodniem byli coraz lepiej wyekwipowani i otrzymywali posiłki, w miarę jak Król Elfów oczyszczał z wrogów kontynentalne ziemie Alfheimu. Z łatwością więc odbijali swoje zamki. Natomiast Trollowie zostali całkowicie odcięci od swej ojczyzny po tym, jak Mananaan ustanowił szczelną blokadę angielskich wód. Pod koniec jesieni niektórzy Elfowie zaczęli się uskarżać, że muszą się niezłe naszukać, nim znajdą jakiegoś Trolła, który mogły z nimi walczyć.

Lecz ta sytuacja nie cieszyła Skafloka, gdyż wiedział, co się za nią kryło. Skoro tylko Walgard zorientował się, że jego oddziały zostałyby rozbite w polu, począł ściągać je, najszybciej jak mógł, w stronę Elfheugh. Na miejscu pozostały niewielkie grupy Trollów, które tak bardzo dawały się Elfom we znaki, że nie byli w stanie napadać na większe zgrupowania przeciwnika. Chociaż Skaflok nie wątpił, że zdobędzie tę ostatnią redutę, wiedział, iż cena tego może być wysoka.

Tak naprawdę wcale go to nie martwiło, lecz urażało poczucie fachowości, więc rozważał różne warianty, chcąc zakończyć całą sprawę z jak najmniejszymi stratami. Myślał wolniej niż zwykle, gdyż inny problem nie dawał mu spokoju.

A wynikało to z pokoju, który przynosił umęczonej ziemi. Walne bitwy zamieniły się w potyczki, potyczki w pościgi, aż wreszcie zanikły. Jego miecz spał całymi dniami i tygodniami. Później powróciły wspomnienia. Przedtem miał nadzieję, że rana w jego sercu jakoś się zagoiła, ale okazało się, że nie. Nie wiedział, co sprawiało mu większy ból: bezsenne noce czy sny.

Tak się rzeczy miały, gdy nadeszła zima. Duchowe rozterki Skafloka zakończyły się pewnej nocy w kraju Duńczyków, kiedy Ognista Włócznia, któremu powiedział to samo co innym, pozwalając się domyślać, że albo znudziła mu się śmiertelna dziewczyna, albo że pozostawił ją wśród ludzi dla jej bezpieczeństwa — odszukał go i rzekł: — Pewnie chciałbyś wiedzieć, że o zmierzchu przejeżdżałem obok pewnego gospodarstwa położonego niedaleko stąd i zobaczyłem tam młodą niewiastę podobną do Fredy córki Orma. Była ciężarna i bliska rozwiązania, ale wydawało mi się, że nosi w łonie również i smutek.

* * *

Tego wieczoru Skaflok wyjechał samotnie. Czarny jotuński ogier szedł stępą, nie szybciej niż śmiertelny wierzchowiec. Zeschłe liście szeleściły mu pod kopytami i tańczyły przed nim na wietrze. Te, które pozostały na gałęziach, zachowały jaskrawe ubarwienie, jakby miano z nich uwić wieniec dla jego jeźdźca. Zapadał zmierzch, gdy dotarł do lasów, które tak dobrze znał dosiadający go mąż.

Skaflok nie nosił hełmu, kolczugi czy miecza o smoczej rękojeści. Wiatr rozwiewał mu włosy

wymykające się spod drucianego czepca. Jego ogorzała twarz o wyrazistych rysach stężała jak odlana z metalu, lecz serce waliło mu jak oszalałe, krew szumiała w uszach, ręce miał wilgotne, a usta wyschłe na wiór.

Zmierzch zamienił się w mrok pełen tajemniczych szelestów. Skaflok przejechał przez strumyk i dzięki czarodziejskiemu wzrokowi dojrzał zeschnięte liście płynące w stronę morza jak małe, brązowe statki. Usłyszał pohukiwanie sowy i skrzypienie drzew — ale ponad wszystkim królowała tylko cisza, w której śpiewało jego serce.

O Fredo, Fredo, czy naprawdę jesteś tak blisko?

Na niebie rozbłysło wiele gwiazd, kiedy Skaflok wjechał na dziedziniec domu Thorkela syna Erlenda. Syknął jakieś słowo, które sprawiło, że psy uciekły bez szczekania, a kopyta konia jęły uderzać bezgłośnie o ziemię. W domu było ciemno, tylko spod frontowych drzwi wydobywało się słabe światło ogniska.

Skaflok zsiadł z konia. Nogi ugiwały się pod nim. Całym wysiłkiem woli zmusił się, żeby podejść do drzwi. Rygiel był na miejscu i młodzieniec stał przez chwilę, szykując czar, który miał go odsunąć.

Thorkel był zamożnym gospodarzem, ale nie wodzem. Dlatego główna izba w jego dworze nie była duża i nikt w niej nie spał, kiedy nie mieli gości. Swoim zwyczajem Freda siedziała do późna przy niewielkim ognisku. Audun przyszedł z głębi domu. Oczy błyszczały mu jaśniej niż ognisko. — Nie mogłem spać — powiedział. — Inni mogą — jak to możliwe! — więc ubrałem się, mając nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać z dala od ciekawskich spojrzeń.

Usiadł obok niej na ławie. Blask ognia niecił czerwonawą aureolę wokół jej głowy. Freda nie zakrywała włosów, jak czyniły to mężatki, ale zaplatała je w warkocze. — Trudno mi uwierzyć w moje szczęście — rzekł Audun. — Lada dzień możemy się spodziewać powrotu mego ojca i wtedy się pobierzemy.

Freda uśmiechnęła się: — Najpierw muszę urodzić dziecko i wydobrzeć po porodzie — przypomniała mu. — Ono także może przyjść na świat lada dzień.

Spoważniała. — Czy naprawdę nie masz nic przeciwko mnie ani jemu? — zapytała powoli.

— Jakże bym mógł? — odparł Audun. — Jak często mam ci to powtarzać? Jest twoim dzieckiem i to mi wystarczy. Będzie jakby moim własnym.

Otoczył ją ramionami.

Rygiel odsunął się. Drzwi otworzyły się i do wnętrza wpadł nocny wiatr. Freda zobaczyła wysoką postać na tle mroku. Nie mogła wykrztusić ani słowa. Wstała i cofała się, aż oparła się o ścianę.

— Fredo — wykrakał Skaflok.

Dziewczynie wydało się, że żelazna obręcz zacisnęła się wokół jej piersi. Uniosła ramiona rozwierając je szeroko, z dłońmi zwróconymi do wewnątrz.

Skaflok podszedł do niej jak lunatyk. I ona zrobiła krok w jego stronę, a potem drugi.

— Stój! — Głos Auduna przerwał milczenie. Jego cień zachwiał się na ścianie. Syn Thorkela pochwycił włócznię, która stała w kącie, i wcisnął się między tych dwoje.

— Stój... ja, ja, ja ci to mówię, stój! — wyjąkał. — Kim jesteś? Czego chcesz?

Skaflok nakreślił w powietrzu jakiś znak i wymówił zaklęcie. Mieszkańcy domu nie obudzą się, póki jest w środku. Uczynił to podświadomie, tak jak człowiek odpędza uprzykrzoną muchę. — Fredo — powtórzył.

— Kim jesteś? — zawołał Audun. Głos mu się załamał. — Czego chcesz? — Zobaczył, jak tych dwoje patrzyło na siebie i chociaż nic nie rozumiał, jęknął z bólu.

Skaflok spojrział ponad ramieniem chłopca, niemal go nie dostrzegając. — Fredo — rzekł. — Moje kochanie, moje życie. Chodź ze mną.

Pokręciła smutnie głową, ale nadal wyciągała do niego rękę.

— Popłynąłem do Jotunheimu i wróciłem, żeby wojować. Myślałem, że Czas i miecze uwolnią mnie od ciebie — powiedział chrapliwie. — Nie zdołały. Nie mógł tego uczynić zabójca, którego noszę u pasa, ani prawo, ani bogowie, ani cokolwiek, co istnieje w Dziewięciu Światach. Więc cóż one dla nas znaczą? Chodź ze mną, Fredo.

Dziewczyna pochyliła głowę. Twarz miała wykrzywioną bólem, targały nią sprzeczne uczucia. Zaszlochała cicho, chociaż wydawało się jej, że serce pęknie i łzy jak groch popłynęły jej z oczu.

— Zrobiłeś jej krzywdę! — wrzasnął Audun.

Pchnął niezręcznie włócznią. Odbiła się od kolczugi i przeorała Skaflokowi policzek. Elfowy wielmoża prychnął jak ryś i sięgnął po miecz.

Audun ponownie pchnął włócznią. Skaflok nieludzko szybkim ruchem odskoczył w bok. Miecz zasyczał wychodząc z pochwy. Przeciął drzewce włóczni na dwoje. — Zejdź mi z drogi! — stęknął wychowanek Elfów.

— Nie za życia mojej narzeczonej! — Audun z gniewu i strachu już nie panował nad sobą — nie ze strachu przed śmiercią, lecz przed tym, co zobaczył w oczach Fredy — i poczuł, że łzy cieką mu z oczu. Wyciągnął sztylet i skoczył Skaflokowi do gardła.

Miecz Bolwerka zapłonął niebieskim ogniem, zaświszczał i pogrążył się w czaszce chłopca. Audun poślizgnął się i uderzył o ścianę, po czym znieruchomiał.

Skaflok wpatrzył się w zakrwawiony brzeszczot, który trzymał w ręku. — Ja tego nie chciałem — szepnął. — Zamierzałem tylko go odtrącić. Zapomniałem, że ta rzecz musi się napić krwi za każdym razem, kiedy zostanie wyciągnięta...

Podniósł wzrok na Fredę. Patrzyła na niego drżąc niczym liść osiki. Usta miała otwarte jak do krzyku.

— Ja tego nie chciałem! — zawołał. — I jakie to ma znaczenie? Chodź ze mną!

Nie mogła wykrztusić ani słowa. Wreszcie powiedziała zduszonym głosem: — Odejdź. Zaraz. Nigdy nie wracaj.

— Ale... — Zrobił krok do przodu.

Dziewczyna pochyliła się i podniosła sztylet Auduna. Zabłysnął w jej dłoni. — Wynoś się — wyrzekła głucho. — Podejdź bliżej, a wbiję ci go w pierś.

— Chciałbym, żebyś to zrobiła — odparł. Stał chwiejąc się lekko. Krew sączyła się z jego rozciętego policzka i kapłała na podłogę.

— Albo zabiję się sama, jeśli będę musiała — powiedziała stanowczo Freda. — Tylko dotknij mnie, ty morderco, poganinie, który chciałbyś spać z własną siostrą jak zwierzę lub Elf, tylko dotknij mnie, a wbiję sobie ten nóż w serce. Bóg wybaczy mi mniejszy grzech, jeżeli przez to uniknę większego.

Skaflok wpadł we wściekłość. — Tak, wzywaj swego boga, módl się do niego, skomlij! Czy tylko do tego się nadajesz? Byłaś gotowa sprzedać się za łyżkę strawy i dach nad głową, a to jest wszeteczeństwo czystej wody, bez względu na to, ilu kapłanów rozczuła się nad tym... po tym, co mi wcześniej przysięgałaś. — Podniósł miecz. — Lepiej, żeby mój syn nigdy się nie urodził, niż miałby zostać oddany twemu bogu.

Freda wyprostowała się. — Uderz, jeśli chcesz — powiedziała szyderczo. — Chłopcy, niewiasty i nie narodzone dzieci — czy to są twoi wrogowie?

Skaflok opuścił wielki brzeszczot i nagle, nie oczyściwszy go, schował do pochwy. Kiedy to zrobił, opadła w nim wściekłość, a jej miejsce zajęło zmęczenie i żal.

Zgarbił się i pochylił głowę. — Czy naprawdę wyrzekasz się mnie? — zapytał cicho. — Ten miecz jest przeklęty. To nie ja wypowiedziałem tamte plugawe słowa, ani nie zabiłem tego

biednego chłopca. Kocham cię, Fredo, kocham cię tak bardzo, że kiedy jesteś przy mnie, świat jest piękny jak wiosenny dzień, i staje się ponury jak noc, gdy cię nie ma. Błagam cię jak żebrak, wróć do mnie.

— Nie — jęknęła. — Daj mi spokój. Odejdź. — A potem krzyknęła: — Nie chcę cię więcej widzieć! Wynoś się!

Odwrócił się w stronę drzwi. Usta mu drżały. — Kiedyś poprosiłem cię o pożegnalny pocałunek — powiedział bardzo spokojnie — i nie chciałaś mi go dać. Czy zrobisz to teraz?

Freda podeszła do skulonej postaci Auduna, uklękła i pocałowała go w usta. — Mój drogi, mój kochany — szepnęła jękliwie, pogłaskała po zakrwawionych włosach i zamknęła mu oczy. — Niech Bóg ma cię w Swej opiece, mój Audunie.

— A więc żegnaj — rzekł do niej Skaflok. — Może kiedyś znów poproszę cię o pocałunek, a będzie to po raz ostatni. Nie sądzę, żebym miał przed sobą wiele lat życia, ale nie dbam o to. Kocham cię, Fredo.

Wyszedł zamykając za sobą drzwi. Jego czary przestały działać. Szczekanie psów i tętent kopyt obudził mieszkańców domu. Przyszli do frontowej izby i zobaczyli, co tam się stało. Freda powiedziała im, że jakiś banita usiłował ją porwać.

Nad ranem przyszedł jej czas. Dziecko było duże, a ona miała wąskie biodra. Chociaż prawie nie jęczała, poród był ciężki i trwał długo.

Nie można było od razu posłać po księdza, gdyż morderca kręcił się po okolicy. Kobiety pomogły Fredzie najlepiej jak umiały, lecz twarz Aasy była zaszepiona.

— Najpierw Erlend, a teraz Audun — mruknęła do siebie. — Córki Orma nikomu nie przynoszą szczęścia.

O świcie zbrojni mężowie wyruszyli na poszukiwanie śladów mordercy. Nic jednak nie znaleźli i powrócili o zachodzie słońca mówiąc, że jutro jedna lub dwie osoby będą mogły bezpiecznie pojechać do kościoła. Tymczasem przyszło na świat dziecko, ładny i rozkrzyczany chłopiec, który zaraz zaczął chciwie ssać pierś Fredy. Po południu leżała wyczerpana w bocznej izbie, którą jej przydzielono, z synem w ramionach.

Uśmiechnęła się do maleństwa: — Jesteś ślicznym dzieckiem — na poły powiedziała, na poły zanuciła, gdyż jeszcze niezupełnie powróciła z krainy cienia, gdzie ostatnio przebywała, i nic nie wydawało się jej w pełni rzeczywiste poza dzieckiem. — Jesteś cały czerwony, pomarszczony i bardzo piękny. I takim byłbyś dla swego ojca.

Łzy płynęły jej z oczu spokojnie jak leśny strumień, aż poczuła w ustach ich słony smak. — Kocham go — szepnęła. — Niech mi Bóg wybaczy, ale zawsze będę go kochała. I tylko ty mi po nim pozostałeś.

Słońce wypaliło się krwawo i zapadł zmierzch. Księżyc w fazie między kwadrą a pełnią przemykał się przez gnane wiatrem chmury. W nocy będzie burza, gdyż minęła już długa jesień, która powitała powrót Elfów, i zbliżała się zima.

Dwór Erlenda kulił się pod nieboskłonem. Drzewa jęczały na wietrze, a z oddali docierał huk morza.

Nadeszła noc i wiatr zamienił się w zawieruchę, pędząc przed sobą tumany suchych liści. Grad bębnił o dach jak banda nocnych złodziei. Freda nie spała.

Koło północy usłyszała z oddali głos rogu. Przebiegł ją zimny dreszcz. Dziecko zapłakało, więc przytuliła je mocniej.

Znów zagrał róg, tym razem głośniej i bliżej, zagłuszając na chwilę wycie wiatru i huk fal. Rozległo się szczekanie psów niepodobne do żadnego, jakie kiedykolwiek słyszała Ormowa córka. Donośny tętent kopyt napełnił niebo. Ziemia zadudniła echem.

Jeźdźcy Asgardu, Dzicy Myśliwi — Freda leżała sparaliżowana ze strachu. Jak to możliwe, że

nikt tego nie usłyszał? Dziecko płakało na jej piersi. Wiatr szarpnął okiennice.

Na dziedzińcu zahuczał tętent kopyt i znowu zagrał róg, lecz tak głośno, że zatrzęsły się ściany dworu. Szczekanie nieziemskich psów, szczęk mosiądzu i żelaza otoczyły dom.

Drzwi izdebki Fredy wychodziły na podwórze. Ktoś zapukał.

Rygiel odsunął się i drzwi otwarły na oścież. Wiatr wpadł do izby, wydymając płaszcz tego, kto wszedł do środka.

Chociaż w izbie nie paliło się ognisko, Freda dostrzegła wyraźnie przybysza. Musiał się schylić pod krokwiemi, a grot włóczni, którą trzymał w ręku, zabłysnął jak jego jedyne oko. Siwe jak wilcza sierść włosy i broda wymykały się spod szerokiego kapelusza, który osłaniał mu twarz.

Przemówił głosem wiatru, morza i pustego nieboskłonu:

— Fredo, córko Orma, przybyłem po to, co przysięgłaś mi oddać.

— Panie... — cofnęła się, za całą osłonę mając tylko koc. Gdyby Skaflok był tutaj... — Panie, pasek jest w tamtej skrzyni.

Odyn roześmiał się: — Czy sądzisz, że chciałem lekarstwa na

sen? Nie, miałaś mi dać to, co znajdowało się pod nim, a nosiłaś już w łonie to dziecko.

— Nie! — Nawet nie usłyszała własnego krzyku. Schowała za siebie płaczące niemowlę. — Nie, nie, nie! — Usiadła i zerwała ze ściany krucyfiks, który wisiał nad jej głową. — W imię Boga Ojca i Chrystusa, rozkazuję ci odejść!

— Nie muszę przed tym uciekać — powiedział Odyn — gdyż składając przysięgę, wyrzekłaś się ich pomocy. A teraz oddaj mi dziecko!

Odepchnął dziewczynę i położył maleństwo w zgięciu wolnego ramienia. Freda wypelzła z łoża i rzuciła mu się do nóg. — Czego od niego chcesz? — jęknęła. — Co z nim zrobisz?

Nocny Wędrowiec odpowiedział z bezbrzeżnych dali: — Jego los jest wspaniały i straszny, gdyż gra pomiędzy Asami, Jotunami a nowymi bogami jeszcze się nie zakończyła. Tyrfing nadal błyszczy na szachownicy świata. Thor złamał go, żeby nie podciął korzeni Yggdrasilu*. Później wydobyłem go i dałem Skafloкови, ponieważ Bolwerk, który jako jedyne w Dziewięciu Światach mógł uczynić go znów całym, nigdy nie zrobiłby tego dla Asa czy Elfa. Miecz ten był potrzebny do odparcia najazdu Trollów, którym potajemnie pomagał Utgard-Loki, żeby lud przyjazny wrogom bogów nie zagarnął Alfheimu. Lecz Skaflok nie może zatrzymać Tyrfinga, ponieważ zawarta w tym brzeszczocie moc sprawi, że będzie chciał wybić wszystkich Trollów. Na to nigdy nie zgodzą się Jotunowie, którzy na pewno wtrąciliby się do wojny Elfów z Trollami. A wówczas bogowie musieliby wyruszyć przeciw lodowym olbrzymom i koniec świata byłby już bardzo bliski. Dlatego Skaflok musi zginąć. Wiele lat tkąłem sieć, dzięki której ten chłopiec został splodzony i wydany w moje ręce. Pewnego dnia weźmie Tyrfinga i będzie nosić go do końca życia.

— Skaflok ma umrzeć? — Freda chwyciła go za nogi. — On także? Och, nie, nie!

— A po co ma dalej żyć? — zapytał zimno Odyn. — Gdybyś udała się do Elfheugh, dokąd podążyła, i naprawiła to, co pękło owego dnia koło kurhanu Orma, z radością odłożyłby zaklęty miecz i nie musiałby umierać. Inaczej zginie. Tyrfing go zabije.

I Dziki Myśliwy odszedł. Zagrał jego róg, psy zaszczekały i zawyły, zadzwieczał tętent kopyt i uciekł w oddali. Jedynymi słyszalnymi odgłosami były świst wiatru, ryk morza i płacz Fredy.

* Yggdrasil — w mitologii skandynawskiej wiecznie zielony jesion podtrzymujący wszechświat.

XXVII

Walgard stał w izdebce na szczycie najwyższej wieży Elfheugh i obserwował koncentrację wojsk przeciwnika. Stał nieruchomy jak skała, ze skrzyżowanymi na piersi rękami i stężoną twarzą, w której żyły tylko oczy. Obok niego byli inni dowódcy trollowego garnizonu i rozproszonej armii, która ukryła się w ostatniej i najpotężniejszej ze zdobytych twierdz. Byli zmęczeni i przygnębieni, wielu osłabło z ran, a wszyscy spoglądali z lękiem na zastępy Alfheimu.

Z prawej strony Walgarda Leea iskrzyła się w promieniach zachodzącego księżyca, które wpadały przez nie oszklone okna. Chłodny wiatr rozwiewał jej szaty i włosy. Na ustach Elfiny igrał lekki uśmieszek, a oczy błyszczały tajemniczo.

Za murami Elfheugh, na białych od szronu i księżycowej poświaty wzgórzach rozłożyła się armia Elfów. Szczękały miecze, dzwoniły kolczugi, grały trombity, konie dźwięcznie biły kopytami w zamrażającą ziemię. W tarczach odbijały się snopy księżycowych promieni, a groty włóczy i ostrza toporów lśniły pod gwiazdami. Elfowie rozbijali obóz. Pierścień namiotów i ognisk otaczał zamek. Tu i tam patrzący dostrzegali niewyraźnie sylwetki wojowników.

Wśród wzgórz rozległ się głośny turkot kół i wyjechał stamtąd rydwan bojowy świecący niemal równie jasno jak słońce. Płomyki pełzały wzdłuż kos na jego piastach. Ciągnęły go cztery wielkie białe konie, które potrzasały głowami i parskały niczym wiatr podczas burzy. Uzbrojony we włócznie mężczyzna, który stał obok woźnicy, górował nad pozostałymi wojownikami. Wiatr rozwiewał jego ciemne kędziory otaczające majestatyczne, lecz posępne oblicze. Oczy płonęły własnym światłem.

Jakiś Troll rzekł niepewnie: — To jest Lug Długoręki. To on wiódł przeciw nam Tuatha De Danaan. Kosił nas jak zboże. Szkoockie kruki pokryły ziemię jak czarny płaszcz, gdyż były zbyt nażarte, aby latać. Nie uratowała się nawet setka naszych. Lecz Walgard nadal nie odezwał się ani słowem. Odziany w srebrzystą kolczugę i czerwony płaszcz Ognista Włócznia objeżdżał mury zamku. Na jego przystojnej twarzy malował się kpiący wyraz, nie pozbawiony jednak okrucieństwa. Podnosił do góry lancę, jakby chciał nadzieć na nią gwiazdy. — To on dowodził banitami — mruknął inny Troll. — Ich strzały nadlatywały zewsząd. Napadali na nas w nocy i pozostawiali za sobą trupy i zgliszcza. Walgard nie poruszył się.

W zatoce Elfheugh trollowe korabie tliły się jeszcze lub leżały rozbite na brzegu. Długie statki Elfów stały na kotwicy, połyskując od tarcz i broni. — Tymi drakkarami, które odebrał nam Mananaan Mac Lir, dowodzi Flam z Orkadów — rzekł chrapliwie jakiś oficer. — Na morzach nie ma już naszych okrętów. Jeden się przedarł, aby nam donieść, że Elfowie rabują i palą wybrzeża Trollheimu. Walgard mógłby być wykuty z ciemnego kamienia. Na brzegu morza Elfowie poczuli stawiać namiot większy od innych. Podjechał tam jakiś mężczyzna dosiadający potwornie wielkiego czarnego rumaka i wbił w ziemię swój sztandar — włócznie, na której i szczycie szczyrzyła zęby głowa Illredegó. Martwe oczy spoglądały prosto na ukrytych w wieży współplemieńców.

Jakiś Troll powiedział łamiącym się głosem: — To jest ich dowódca Skaflok, zwany Śmiertelnikiem. Nic nie może mu się oprzeć. Gnał nas na północ jak stado owiec, zabijając bez litości. Miecz, którym włada, przecina kamień i metal tak, jakby to była tkanina. Zastanawiam się, czy naprawdę jest człowiekiem, a nie piekielnym demonem.

Walgard drgnął. — Znam go — odezwał się cicho. — I chcę go zabić.

— Panie, nie możesz. Jego broń...

— Milczeć! — Walgard odwrócił się, spiorunował wzrokiem Trollów i zaczął im wymyślać: — Głupcy, tchórze, łotry! Niech każdy, kto boi się walczyć, wyjdzie do tego rzeźnika. Nie oszczędzi was, ale umrzecie szybko. Co do mnie, zamierzam go rozgromić tu, w Elfheugh.

Począł mówić tubalnym głosem, dudniącym jak koła rydwanu bojowego: — To jest ostatnia trollowa twierdza w Brytanii. Nie mamy pojęcia, jak padły inne. Nasi wycofujący się żołnierze zobaczyli tylko powiewające nad nimi elfowe sztandary. Ale wszyscy wiemy, że w tym zamku, który nigdy nie został wzięty szturmem, zgromadziło się więcej żołnierzy, niż mają ich wrogowie. Jest on zabezpieczony zarówno przed czarami, jak i przed jawnym atakiem. Możemy go stracić tylko dzięki naszemu własnemu tchórzostwu.

Podniósł wielki topór, z którym nigdy się nie rozstawał, i mówił dalej: — Dziś w nocy rozbiją obóz i nie zrobią nic więcej. Zbliża się świt. Dopiero jutrzejszej nocy mogą rozpocząć oblężenie, najprawdopodobniej ruszą do szturm. Jeśli będą szturmować Elfheugh, odrzucimy ich od murów i zrobimy wypad. W przeciwnym razie sami ich zaatakujemy, mając za sobą twierdzę, do której będziemy mogli się wycofać, gdyby sprawy źle się ułożyły.

Jego zęby zabłysły w uśmiechu. — Ale myślę, że ich pokonamy. Jest nas więcej i każdy z osobna silniejszy od przeciwnika w walce wręcz. Skaflok i ja odnajdziemy się w boju, gdyż jak wiecie, nie kochamy się zbyt. Wtedy zabiję go i zdobędę jego zwycięski miecz.

Urwał. Jakiś wielmoża ze Szkocji zapytał:

— A co z Sidhami?

— Oni nie są wszechmocni — warknął Walgard. — Kiedy nakosimy tak dużo Elfów, aby udowodnić wszem i wobec, że ich sprawa jest przegrana, Sidhowie sami poproszą o pokój. Wówczas Anglia stanie się prowincją Trollheimu, broniącą ojczyzny przed atakiem, dopóki nie zgromadzimy dostatecznych sił, żeby znów wyruszyć przeciw Królowi Elfów.

Spojrzał z wieży w martwe oczy Illredeg. — A ja — mruknął — zasiądę na twoim tronie. Tylko po co? Po co to wszystko?

* * *

Jakiś czas po tym, gdy ustały niesamowite nocne hałasy, jeden z drużynników zebrał się na odwagę, opuścił łożo, zapalił kaganek od żarzących się węgli ogniska i poszedł zobaczyć, co się dzieje we dworze Thiorkeła syna Erlenda. Zastał otwarte drzwi do izby Fredy córki Orma, ją samą leżącą na progu, zemdloną i zakrwawioną. Dziecko zniknęło. Zaniósł dziewczynę do środka. Później Freda majączyła w gorączce, wykrzykując takie rzeczy, że sprowadzony do niej ksiądz pokiwał głową i przeżegnał się.

Nikt nie mógł doszukać się sensu w jej słowach. W następnych dniach dwukrotnie próbowała się wymknąć, ale za każdym razem ktoś ją zobaczył i zaprowadził z powrotem do izby. Nie miała sił, żeby się im sprzeciwić.

Aż nadeszła taka noc, kiedy Freda obudziła się wypoczęta — albo tak uważała — i nieco zdrowsza. Leżała przez jakiś czas układając plany. Później spełzła z łoża zaciskając zęby, żeby nie szczękały z zimna, i znalazła skrzynię, w której leżały jej szaty. Odszukała po omacku i włożyła na siebie wełnianą suknię oraz długi płaszcz z kapturem. Wzięła cizmy w rękę i poszła w pończochach do kuchni, żeby wziąć na drogę chleba i sera.

Po powrocie do swej izby Freda zatrzymała się, aby pocałować wiszący nad łożem krucyfiks. — Wybacz mi, Panie, jeśli możesz — szepnęła — że kocham go bardziej niż Ciebie. Jestem zła, ale to mój grzech, a nie jego.

Wyszła z domu pod rozgwieżdżone niebo. Noc była cicha, tylko szron chrząścił pod nogami dziewczyny. Przeniknął ją mróz. Poszła w stronę stajni.

* * *

W zamku było cicho i ciemno przez cały dzień. Leea ujęła w dłonie ramię Walgarda spoczywające na jej piersi. Powoli i ostrożnie podniosła je, położyła na materacu i wyslizgnęła się z łoża.

Walgard odwrócił się, mamrocząc coś przez sen. Opuściła go energia, którą okazał za dnia. Skóra ciasno opinała jego czaszkę, zwisając tylko pod oczami i pod brodą. Leea spojrzała na niego z góry. Chwyciła ze stołu sztylet.

Jakże łatwo byłoby poderżnąć mu gardło... Nie, za wiele od niej zależało. Gdyby się poślizgnęła... a odmieniec był czujny jak wilkołak, nawet we śnie... można by stracić wszystko. Odwróciła się nie głośniejsz niż cień, narzuciła na nagie ciało suknię, przepasała ją paskiem i opuściła jarlowskie komnaty. W prawej dłoni trzymała sztylet, w lewej klucze od zamku, zabrane ze skrytki, którą zasugerowała Walgardowi.

Na schodach minęła inną Elfinę. Tamta niosła miecze ze zbrojowni. Żadna z nich nic nie powiedziała.

Trollowie rzucali się w niespokojnym śnie. Co jakiś czas Leea mijala wartownika, który obrzuciwszy ją pożądlivym spojrzeniem, nie zwracał już na nią uwagi. Wielmoże często posyłali swoje Elfmy z najróżniejszymi poleceniami.

Leea zeszła do lochów. Dotarła do celi, w której więziony był Imryk, i otworzyła potrójny zamek.

Dzinn spojrzał na nią w czerwonym półmroku. Elfina jednym skokiem rzuciła się na niego. Zatrzepotał skrzydłami, ale nim zdążył krzyknąć, poderżnęła mu gardło.

Leea rozrzuciła ognisko i rozcięła Imrykowi więzy. Ciężko wpadł jej w ramiona i leżał jak trup, kiedy złożyła go na podłodze.

Wyryła lecznicze runy na kawałkach zwęglonego drewna i położyła mu je pod językiem, na oczach, poparzonych stopach i okaleczonych rękach. Szeptala zaklęcia. Odrastające ciało wilo się. Imryk jęknął z bólu, lecz nic nie powiedział.

Leea zdjęła z kółka klucze i położyła je obok brata. — Kiedy wyzdrowiejesz — powiedziała cicho — uwolnij uwięzionych Elfów. Dla pewności zamknęto ich w lochach. Broń będzie ukryta w budynku starej studni z tyłu zamku. Nie idźcie po nią, dopóki walka nie rozgorzeje na dobre.

— Dobrze — wymamrotał Imryk suchymi wargami. — Postaram się także o wodę, wino, kawał mięsa... i wszystko, co Trollowie są mi dłużni. — Dziki błysk w jego oczach prawie przeraził Leeę.

Stąpając cicho bosymi stopami poszła podziemnym przejściem do opuszczonej teraz dawnej wieży astrologów, która wznosiła się ponad murami zamku od wschodniej strony. Wspięła się krętymi schodami na górę, aż znalazła się wśród wielkich instrumentów z mosiądzu i kryształu. Stamtąd wyszła na balkon okalający wieżę. Chociaż stała w cieniu, zachodzące słońce omal nie oślepiło jej swym blaskiem i ugodziło znacznie groźniejszymi niewidzialnymi promieniami. Ledwie dostrzegła za murami wysokiego męża w błyszczącej kolczudze, tak jak o to prosiła w posłaniu, które nietoperz dostarczył oblegającym poprzedniego dnia o zmierzchu.

Nie wiedziała, kto to taki. Pewnie jeden z Sidhów, a może — serce w niej zamarło — może to był Skaflok.

Pochyliła się nad balustradą i cisnęła w dół kółko z pękiem kluczy. Zakreśliły w powietrzu lśniący łuk i nadzieły się na włócznię nieznanego wojownika — były to klucze od bram zamku.

Leea z ulgą powróciła do zbawczego półmroku. Pomknęła jak ptak do komnat jarla. Ledwie zdążyła zrzucić odzież i wślizgnąć się do łoża, kiedy Walgard obudził się.

Wstał i wyrzał przez okno. — Już wkrótce zajdzie słońce — rzekł. — Czas przygotować się do bitwy.

Zdjął róg ze ściany, otworzył drzwi wchodzące na schody i zagrał na nim przeciągle. Wartownicy, którzy usłyszeli ten sygnał, przekazali go dalej, do najodleglejszych zakątków zamku, nie wiedząc, że był to znak dla każdej Elfiny, aby, jeśli może, wbiła nóż w serce Trolla, do którego należała.

* * *

Freda traciła przytomność i odzyskiwała ją w czerwonym półmroku w chwilach, gdy groził jej upadek z konia. Budził ją z omdlenia ból nie wygojonego ciała i dziękowała za to spieczonymi wargami.

Zabrała ze sobą dwa konie, w tym jednego luzaka, i biła je niemiłosiernie. Mijane wzgórza i drzewa wyglądały jak kamienie, spoczywające na dnie wartko płynącej rzeki. Czasami wydawały się jej nierealne, jak ze snu. Nie było nic rzeczywistego poza zgiełkiem wypełniającym jej głowę.

Pamiętała, że koń potknął się raz i że spadła do strumienia. Kiedy pojechała dalej, woda zamarzała w jej odzieży i włosach.

Całą wieczność później, gdy słońce znów zachodziło tak krwawo, jak ślady, które za sobą pozostawiała, padł jej drugi koń. Pierwszy nie żył już od dawna, drugi również się nie podniósł. Poszła dalej pieszo. Wpadała na drzewa, gdyż ich nie widziała; przedzierała się przez krzewy, które szarpały jej szaty i ręce.

Zgiełk w jej głowie rósł. Nie wiedziała już, kim jest, ani ją to nie obchodziło. Ważne było tylko to, że idzie na północ, w stronę Elfheugh.

XXVIII

O zachodzie słońca Skaflok polecił zadać w trombity. Elfowie wyszli z namiotów ze szcęką metalu i mściwym okrzykiem. Konie były kopytami i rżały, rydwany dudniły na zamarznętej ziemi i las włóczni wyrósł poza elfowymi sztandarami i głową Illredeggo.

Skaflok dosiadł swego jotuńskiego ogiera. Miecz zwany Tyrfingiem zdawał się poruszać u jego boku. Twarz wychowanka Imryka mogłaby być maską zapomnianego boga wojny, wychudłą, lecz o zaciętych rysach.

Zapytał Ognistą Włócznię: — Czy ty także słyszysz wrzawę za murami Elfheugh?

— Tak — uśmiechnął się szeroko Elf. — Trollowie właśnie odkryli, dlaczego inne zamki padły tak łatwo. Ale nie zdołają schwytać niewiast, ba, nawet nam przyszłoby to z trudem, gdyż tak wiele jest tam przeróżnych kryjówek.

Skaflok podał mu jakiś klucz z kółka zawieszzonego u pasa.

— Poprowadzisz atak od tyłu, z taranem — przypomniał mu niepotrzebnie. — Kiedy otworzymy główną bramę, powinno to przyciągnąć uwagę dostatecznej liczby obrońców, żebyś mógł bezpiecznie dotrzeć do tylnej. Flam i Rukka dla zmylenia wrogów zaatakują z prawa i z lewa, a później udzielą nam pomocy, gdy już będziemy w zamku. Ja sam wraz z Sidhami i gwardzistami przysłanymi przez Króla Elfów uderzę na główny portal.

Nad wschodnim morzem wypłynęła na niebo ogromna tarcza księżycy w pełni. W jego widmowym blasku połyskiwał metal i oczy, bielily się sztandary, oślepiały bielą elfowe rumaki. Zabrzmiały trombity i wojsko Elfów znów wzniosło okrzyk, który obudził echa wśród skał i wygasł pod gwiazdami. Później Elfowie i ich sprzymierzeńcy ruszyli do walki.

W nocy rozległ się przeciągły świst. Na pewno Trollowie przeżyli wstrząs, kiedy dowiedzieli się, że trzecia ich część została zabita podczas snu i że zabójcy są na wolności w labiryncie zamkowych korytarzy. Lecz byli to dzielni żołnierze, a Walgard polecił im zająć wyznaczone pozycje. I teraz ich łucznicy ślali z murów Elfheugh strzałę za strzałą.

Większość pocisków odbijała się od tarcz i kolczug, ale niektóre wzięły w ciele. Mąż za mężem osuwał się na ziemię, konie rżały i stawały dęba, a zabici i ranni usłali zbocze góry.

Wzgórze Elfheugh było urwiste i tylko jedna wąska droga wiodła do głównej bramy. Lecz Elfowie nie potrzebowali dróg. Wznosząc okrzyki bojowe skakali po ospiskach i śliskich od szronu skałach, z głazu na wyżej położony głaz. Zarzucali na szczyty skał zakończone hakami liny i wspinali się po nich, wjeżdżali konno tam, gdzie nie ośmieliłaby się wejść żadna kozica. W końcu przedostali się na płaski teren pod murami i wysłali chmurę własnych strzał.

Skaflok pojechał drogą prowadzącą do głównej bramy, tak by mógł wieść rydwany bojowe Tuatha De Danaan. Dudniły za nim przerażająco, ich koła krzeszały iskry i uderzały o kamienie, a brąz, z którego je odlano, świecił tak, jakby nadal był roztopiony. Chociaż strzały odbijały się od hełmów, kolczug i tarcz Sidhów, ani jeden wojownik czy woźnica nie został ranny. Skaflok również wyszedł bez szwanku, gdy pędził na czarnym koniu drogą utkaną z mroku i ze zwiewnej księżycowej poświaty.

I tak oto Elfowie dotarli do murów twierdzy. Trollowie powitali ich wrzącą wodą, płonącym olejem, śliskim jak lód witriolem, włóczniami, kamieniami i niesamowitym greckim ogniem. Elfowie krzyczeli przeraźliwie, gdy ciało odpadało im płatami. Ich towarzysze się cofnęli.

Skaflok zawołał do nich, chcąc jak najprędzej wyciągnąć miecz. Wojownicy przyciągnęli do niego żółtawą, szopę na kołach, i pod jej osłoną podjechał do bramy.

Stojący na blankach Walgard dał znak swoim żołnierzom obsługującym maszyny bojowe.

Wielkie głazy zmiążdżą żółwia szybciej, nim taran rozwali nabijane brązem wrota.

Skaflok włożył pierwszy klucz do dziurki i przekręcił go, wymawiając zakłęcie. Później drugi i trzeci — Walgard pomógł załadować na balistę gład tak ogromny, że aż zatrzeszczała pod jego ciężarem. Trollowie nawinęli liny.

Siedem kluczy, osiem — Walgard chwycił dźwignię. Dziewięć kluczy i brama się otwarła!

Skaflok ścisnął kolanami boki konia, który stanął dęba, uderzając przednimi nogami o bramę. Otworzyła się i wychowanek Imryka pocwałował przez przebity w grubym murze tunel na dziedziniec wysrebrzony księżycową poświatą. Za nim wpadły, budząc echa w tunelu, rydwany Luga, Dowe Berga, Angusa Oga, Eochyego, Colla, Cechta, Mac Greiny, Mananaana i całego sidhańskiego wojska, tętent końskich kopyt i tupot nóg. Brama została zdobyta!

Stojący za nią wartownicy stawili zacięty opór. Jakiś Troll zranił toporem nogę jotuńskiego rumaka. Ogier stanął dęba i jał kopać i tratować wojowników.

Skaflok wyciągnął Tyrfinga. W półmroku zakłęty miecz palił się błękitnym płomieniem, nucił swą pieśń śmierci, unosił się i opadał, atakując szybko jak żmija. Szczęk i zgrzyt metalu, okrzyki, świst brzeszczotów i dudnienie rydwanów niosły się do gwiazd.

Trollowie wciąż się cofali. Walgard zawył, w jego oczach zapaliły się zielonkawe wilcze ogniki. Poprowadził przeciwnatarcie z murów na dziedziniec. Uderzył z mocą na skrzydło napastników. Powalił toporem jednego Elfa, wyciągnął broń z rany i zarząbał następnego, po czym rozbił twarz trzeciemu — i siekąc na prawo i lewo włączył się do walki.

Od tylnej bramy docierał huk uderzeń tarana. Trollowie obrzucali go kamieniami, garnkami z płonącym olejem, włóczniami i strzałami, zanim nie zaatakował ich od tyłu tłum mężów wychudłych, obdartych, lecz z żądną krwi bronią w dłoniach — byli to uwolnieni przez Imryka więźniowie. Trollowie odwrócili się, by stawić im czoło, a wówczas Ognista Włócznia otworzył bramę.

— Do zamku! — ryknął Walgard. — Do zamku! Utrzymać go!

Trollowie przebili się do niego. Otoczyli go zwartym murem tarcz, od którego odbijały się miecze Elfów, i prac z całej siły doszli do frontowych drzwi Elfheugh.

Były zamknięte.

Walgard rzucił się na nie, lecz topór odskoczył od ich gładkiej powierzchni. Otworzył je dopiero wtedy, gdy wyrąbał zamek.

W ciemności zaświszczały ciężki łuków. Trollowie osunęli się na kamienne płyty dziedzińca. Walgard cofnął się z lewą ręką przeszytą strzałą. Usłyszał z mroku drwiący głos Leei: — Elfiny dzierżą ten dom dla swoich kochanków — lepszych od tych, których miały ostatnio, o Małpo Skafloka!

Walgard odwrócił się, wyrывая strzałę z rany. Zawył i piana wystąpiła mu na usta. Pobiegł z powrotem na dziedziniec wywijając toporem i atakując wszystko, co nawinęło mu się pod rękę. Ogarnął go szal bojowy.

Skaflok bił się, pełen poczucia niezwyklej mocy, jakiej użyczał mu runiczny brzeszczot. Tyrfing był jak ogień w jego dłoni. Tryskała krew i mózg, głowy spadały na kamienie, jego koń ślizgał się po wyprutych trzewiach — walczył bez wytchnienia, zimny, opanowany, myślał trzeźwo jak nigdy, a jednocześnie tak się zatracił w boju, że on i zakłęty miecz tworzyli jedność. Rozrzucał śmierć jak siewca ziarno i tam, gdzie się skierował, pękał trollowy szyk.

Księżyc wyłonił się zza morza — dziw, że było ono tak spokojne — i zbudował most łączący je z murami Elfheugh. Jego promienie oświetlały okropne sceny. Miecze migwały błyskawicą, włócznie zadawały pchnięcia, topory i maczugi uderzały z mocą metal i wojownicy krzyczeli z bólu. Konie stawały dęba, tratowały walczących, rżały boleśnie, z grzywami zlepionymi zakrzepłą krwią. Bój przetaczał się to w jedną, to w drugą stronę po ciałach poległych,

rozdeptując je na miazgę.

Księżyc wędrował coraz wyżej po niebie, aż z dziedzińca Elfheugh wydawało się, że wschodnia wieża przebija mu serce. Później szyk Trollów pękł.

Pozostało ich niewielu. Elfowie ścigali ich jak zwierzyńnię łowną po dziedzińcu i białym zboczach góry.

— Do mnie, do mnie! — zahuczał głos Walgarda. — Tutaj, Trollowie, walczcie!

Skaflak usłyszał go i zawrócił konia. Zobaczył w bramie barczystą postać odmieńca zbryzganą krwią od stóp do głów i otoczoną kręgiem martwych Elfów. Około tuzina Trollów usiłowało dotrzeć do niego i bronić się do ostatniego.

To on był sprawcą wszelkiego zła... Miecz zwany Tyrfingiem mógłby uśmiechnąć się ustami Skaflaka. Walgardzie, Walgardzie, twój los się dopełnił! I Skaflak spiął konia ostrogami.

Gdy tak pędził ku Walgardowi, przez chwilę wydało mu się, że widzi sokoła, który wzniósł się w powietrze gdzieś znad morza i pofrunął w stronę księżyca. Wstrząsnął nim zimny dreszcz i jakąś częścią swej istoty wyczuł, że wkrótce umrze.

Walgard spostrzegł go i uśmiechnął się szeroko. Oparł się o ścianę i podniósł topór. Czarny ogier stanął dęba, by go stratować, lecz odmieniec zamachnął się jak nigdy dotąd i roztrzaskał koniowi czaszkę.

Taki ciężar mógł utrzymać tylko mur. Kiedy ogier runął na dziedziniec, ziemia zadrżała. Skaflak wypadł z siodła. Zręczny jak Elf, skręcił się w powietrzu, by stanąć na nogi, ale uderzył o mur i potoczył się w głąb bramy.

Walgard wyszarpnął topór z czaszki konia i pobiegł, żeby zabić wroga. Skaflak wyczołgał się z portalu na zalane księżycem zbocze góry, u której podnóża leżała zatoka Elfheugh i morze. Złamane prawe ramię zwisło mu bezwładnie. Odrzucił tarczę i ujął miecz w lewą dłoń. Krew kapiała z jego pokaleczonej twarzy i spływała po brzeszczocie.

Walgard podszedł bliżej. — Wiele spraw zakończy się dzisiejszej nocy — powiedział — a wśród nich i twoje życie.

— Urodziliśmy się prawie tej samej nocy — odparł Skaflak. Krew płynęła mu z ust, gdy to mówił. — Więc i umrzemy w niewielkim odstępnie czasu. — Dodał drwiąco: — Jeśli ja umrę, jak ty, mój cień, możesz pozostać przy życiu?

Walgard wrzasnął i zamachnął się toporem. Skaflak podstawił miecz. Topór zwany Bratobójcą zderzył się z zaklętym brzeszczotem i z trzaskiem pękł w powodzi iskier.

Skaflak cofnął się chwiejnym krokiem, odzyskał równowagę i podniósł znów Tyrfinga. Walgard zbliżał się do niego z pustymi rękami, warcząc jak dzikie zwierzę.

— Skaflaku! Skaflaku!

Na dźwięk tego głosu wychowanek Imryka odwrócił się błyskawicznie. Freda biegła ku niemu potykając się, zmęczona, zakrwawiona, w podartych szatach, ale była to Freda, która powracała do niego. — Skaflaku — zawołała — mój najdroższy...

Walgard skoczył i wyrwał miecz z ręki przeciwnika. Uniósł go i opuścił z rozmachem.

Zawył i znów go podniósł. Pod okrywą krwi ostrze płonęło nieziemskim błękitnym ogniem. — Zwyciężyłem! — zawołał. — Jestem władcą świata i depczę go nogami! — Przybądź, ciemności!

Zamachnął się w powietrzu. Miecz skręcił się w śliskiej od krwi ręce odmieńca i runął prosto na niego. Zwalił go z nóg swym ciężarem, przebił mu szyję i wbił się w ziemię. Walgard leżał tam przygwożdżony, mając przed oczami błyszczący brzeszczot i czuł, jak wraz z krwią uchodzi zeń życie. Usiłował go wyciągnąć, lecz rozciął sobie żyły na przegubach. Taki oto był koniec Walgarda Odmieńca.

Skaflak leżał z rozplatanym ramieniem i piersią. W blasku księżyca jego twarz była biała jak

plótno. Ale kiedy Freda pochyliła się nad nim, zdołał się uśmiechnąć.

— Umieram, kochanie moje — szepnął. — Jesteś za dobra dla martwego męża. Jesteś zbyt piękna, żeby płakać. Zapomnij o mnie...

— Nigdy, nigdy. — Jej łzy spadały na niego jak wiosenny deszcz.

— Czy pocałujesz mnie na pożegnanie? — zapytał.

Jego wargi były już zimne, lecz pocałowała je gorąco. A kiedy znowu otworzyła oczy, Skaflok leżał martwy w jej ramionach.

* * *

Pierwsze smugi brzasku pokryły niebo na wschodzie, gdy Imryk i Leea wyszli z zamku. — Po co leczyć tę dziewczynę i odsyłać ją do domu? — W głosie Elfiny nie dźwięczała radość z odniesionego przez jej lud zwycięstwa. — Lepiej odeślij ją do piekła. To ona zabiła Skafloka.

— Takie było jego przeznaczenie — odparł Imryk. — I pomagając jej możemy jeszcze coś dla niego zrobić. Chociaż my, Elfowie, nie znamy uczucia zwanego miłością, możemy jednak zrobić coś, co ucieszyłoby serce przyjaciela.

— Nie znamy miłości? — mruknęła Leea, lecz za cicho, żeby mógł ją usłyszeć. — Jesteś mądry, Imryku, ale twoja mądrość też ma granice.

Spojrzała na Fredę, która siedziała na oszronionej ziemi trzymając w ramionach Skafloka. Usypiała go kołysanką, którą kiedyś chciała śpiewać ich dziecku.

— Los był dla niej łaskawszy niż dla mnie — rzekła Leea. Imryk źle ją zrozumiał, umyślnie lub nie. Skinął głową.

— Wszyscy ludzie są szczęśliwsi od mieszkańców Krainy Czarów czy od bogów, jeśli już o tym mowa — powiedział. — Lepsze życie podobne do spadającej gwiazdy, co świeci w ciemnościach, niż nieśmiertelność, która nie dostrzega nic poza sobą ani ponad sobą. — Spojrzał na miecz, który nadal tkwił w szyi swej ofiary. — Czuję, że bliski jest dzień, kiedy Kraina Czarów zniknie, Król Elfów najpierw zmieni się w leśnego ducha, później zaś rozwieje się jak mgła, a bogowie zginą. I co najgorsze, wcale nie jestem przekonany, że źle się stanie, jeżeli nieśmiertelni nie będą żyli wiecznie.

Podszedł do runicznego miecza. — Co zaś do tego — zwrócił się do niziołkowych niewolników, którzy szli za nim — zabierzemy to i wrzucimy daleko do morza. Nie sądzę jednak, żeby to się na coś zdało. Woli Norn nie można zmienić, a ten brzeszczot jeszcze nie dokonał ostatniego złego czynu.

Wsiadł z nimi do łodzi, żeby przypilnować, by dobrze wykonali jego polecenie. A tymczasem Mananaan Mac Lir zabrał Fredę i ciało Skafloka, aby zająć się pierwszym i uczcić drugie. Kiedy Imryk wrócił, poszedł powoli wraz z Leeą do Elfheugh, gdyż zbliżał się już zimowy poranek.

Tu kończy się saga o Skafloku Wychowanku Elfów.